

ZACZYTAJ SIĘ

Bestseller  
„New York Timesa”

*Słodki świat*  
**JULII**

SARAH ADDISON ALLEN

# Addison Allen Sarah

## Słodki świat Julii

**Podobno przyznałaś się, że pieczesz ciasta z  
mojego powodu...**

**Julia zawsze zostawia szeroko otwarte okna, kiedy  
piecze ciasta. Słodkim aromatem wypieków stara się  
zagłuszyć cierpkie wspomnienie nieszczęśliwej  
miłości i przyciągnąć do domu przyjaciół.**

**Sawyer już od dziecka nie mógł się oprzeć magii tego  
zapachu. Powiedział o tym Julii tuż przed tym, jak  
złamał jej serce. Teraz pragnie ją odzyskać. Czy to  
możliwe, że ciasta, które Julia wciąż piecze,  
świadczą, że ona nadal pamięta o tym, co ich łączyło?**

**Czy to uczucie da się jeszcze ocalić?**



## ROZDZIAŁ 1

Dopiero po chwili Emily zorientowała się, że samochód stanął. Podniosła zmartwiony wzrok znad bransoletki z zawieszka, którą powoli obracała wokół nadgarstka, i wyjrzała przez okno. Dwa olbrzymie dęby rosnące z przodu domu wyglądały jak podenerwowane damy zastygłe w ukłonie, zaś ich wy-krochmalone suknie z zielonych liści kołysały się na wietrze.

- To tutaj? - zapytała taksówkarza.

- Numer szósty przy Shelby Road w Mullaby. To tutaj. Emily zawahała się, po czym zapłaciła za przejazd

i wysiadła. Na zewnątrz powietrze pachniało słodkimi pomidorami i dymem z orzesznika. Ten niezwykły, a zarazem smakowity zapach sprawił, iż odruchowo oblizała wargi. Zmierzchało już, lecz uliczne lampy nie były jeszcze zapalone. Zaskoczyło ją, że panowała tu

taka cisza. Nagle zrobiło jej się słabo. Nie słychać było żadnych odgłosów ulicy: bawiących się dzieci, muzyki ani telewizji. Zupełnie, jakby pokonała jakąś nieprawdopodobną odległość i znalazła się w innym świecie.

Kiedy taksówkarz wyciągał z bagażnika jej dwie wypchane torby podróżne, rozejrzała się po okolicy. Stare, duże domy były w większości reprezentantami znanej ze starych filmów architektury Południa z jej wyszukaną stolarką i malowanymi werandami.

Taksówkarz położył torby na chodniku, po czym skinął jej głową, wrócił za kierownicę i odjechał.

Emily patrzyła, jak taksówka znika za horyzontem. Zgarnawszy kosmyk włosów, który wypadł z jej krótkiego kucyka, złapała za uchwyty toreb i ciągnąc je za sobą, weszła na ścieżkę przecinającą ogród przed domem. Pod sklepieniem gęstych koron drzew zrobiło się ciemno i chłodno, więc przyspieszyła kroku, lecz gdy wyszła z drugiej strony, stanęła jak wryta.

Dom nie był podobny do żadnego innego w sąsiedztwie.

Niegdyś pewnie olśniewał bielą, lecz obecnie był szary, a jego neogotyckie, łukowe okna zmatowiały od brudu. Skandalicznie obnosił się ze swoim wiekiem: strząsał z siebie płaty farby i fragmenty gontu. Wokół całego parteru rozciągała się weranda, której dach stanowił balkon dla pierwszego piętra, oba poziomy zaś były przykryte nawiewaną przez lata warstwą zeschniętych

liści dębu. Gdyby nie ścieżka wydeptana przez środek schodów, dom wyglądałby na niezamieszkaany. To tu dorastała jej matka?

Poczuła, że drżą jej ręce, ale wmówiła sobie, że to od ciężaru bagaży. Weszła po schodkach na werandę, taszcząc za sobą torby podróżne, a wraz z nimi sporo liści. Odłożywszy torby, podeszła do drzwi i zapukała.

Cisza.

Spróbowała ponownie. Nadal nic.

Kolejny raz wetknęła niesforny kosmyk w gumkę, po czym obejrzała się jakby w poszukiwaniu odpowiedzi. Zwróciła się ponownie w stronę pordzewiałych drzwi moskitierowych i zawołała do wnętrza domu: „Jest tam kto?”. Odpowiedziało jej głucho milczenie.

Cisza.

Niepewnie weszła do środka. Światła były pogaszone, ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały przez okna jadalni, która znajdowała się po lewej stronie. Meble w tym pokoju były ciemne i bogato zdobione, ale wydały jej się niewiarygodnie duże - jakby zrobione dla olbrzyma. Po jej prawej znajdował się, rzecz jasna, drugi pokój, lecz zwieńczone łukiem wejście zamknięte było harmonijkowymi drzwiami. Korytarz na wprost niej prowadził do kuchni i szerokich schodów wiodących na piętro. Podeszła do podnóża schodów i zakrzyknęła do góry: „Jest tam kto?”.

Wtedy drzwi harmonijkowe gwałtownie się otworzyły, a Emily odskoczyła do tyłu. Z pokoju wyłonił się staruszek o srebrnoszarych włosach. Przechodząc pod łukiem, musiał się schylić, by nie uderzyć w niego głową. Był niewiarygodnie wysoki i szedł sztywnym krokiem, a nogi miał jak szczudła. Zdawał się źle zbudowany, jak wieżowiec z miękkiego drewna zamiast betonu. Wydawało się, że lada moment może rozpaść się w drzazgi.

- Nareszcie jesteś. Zaczynałem się już martwić. Jego zmienny, południowy akcent zapamiętała z ich

pierwszej i jedynej rozmowy telefonicznej sprzed tygodnia, ale nie spodziewała się kogoś takiego. Mocno wygięła szyję, by na niego spojrzeć.

- Vance Shelby?

Skinął głową. Sprawiał wrażenie, jakby się jej bał. Zdumiało ją, iż ktoś tak wysoki mógł się czegokolwiek obawiać, i by nie płoszyć go po raz wtóry, zaczęła uważać na swoje ruchy.

Powoli wyciągnęła do niego rękę.

- Dzień dobry. Jestem Emily.

Posłał jej uśmiech, który wkrótce zamienił się w gardłowy rechot trzaskający jak ogień w kominku. Jej dłoń stała się zupełnie niewidoczna, gdy ją uściskał.

- Wiem, kim jesteś, dziecko. Wyglądasz zupełnie jak twoja matka, kiedy była w twoim wieku. - Uśmiech zniknął z jego twarzy tak szybko, jak się na niej pojawił.

Opuścił rękę i zakłopotany, rozejrzał się dokoła. - Gdzie są twoje bagaże?

- Zostawiłam je na werandzie.

Zamilkli na chwilę. O swoim istnieniu, dowiedzieli się dopiero niedawno. Czyżby skończyły się im już tematy do rozmowy? Chciała go zapytać o tyle rzeczy.

- Cóż - powiedział w końcu. - Na piętrze możesz robić, co zechcesz. W całości należy do ciebie. Ja już tam nie wejść przez artretyzm w biodrach i kolanach. To jest teraz mój pokój.

- Wskazał na harmonijkowe drzwi. -Możesz sobie wybrać dowolny pokój, ale dawna sypialnia twojej mamy to ostatni po prawej. Powiedz mi, jak wyglądała tapeta, kiedy weszłaś do środka. Chciałbym to wiedzieć.

- Dziękuję. Tak zrobię - odparła, gdy odwrócił się i poszedł w stronę kuchni, stawiając głośne kroki w swoich nadzwyczaj dużych butach.

Zdezorientowana Emily patrzyła, jak się oddala. Tylko tyle?

Wyszła na werandę i przytargała swoje torby. Na piętrze znalazła długi korytarz z drzwiami do sześciu pokoi. Poczula ostrą woń wełny. Kiedy szła korytarzem, szuranie podróżnych toreb odbijało się echem od drewnianej podłogi.

Dotarłszy do ostatnich drzwi po prawej stronie, rzuciła torby i próbowała wyczuć ręką włącznik światła w pokoju. Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, gdy udało

jej się go włączyć, była tapeta z rzędami maleńkich bzów przypominająca papier, który pachnie po potarciu. W pokoju unosił się nawet lekki zapach bzu. Przy ścianie stało łóżko z baldachimem, z którego pozostały jedynie tiulowe strzępy zwisające teraz niczym wstęgi przy majowym słupie.

Z przodu łóżka stała biała skrzynia. Ozdobnymi literami zostało na niej wycięte imię matki Emily, Dulcie. Przechodząc obok skrzyni, przeciągnęła dłonią po wieku, a do jej opuszek palców przyłgnał kurz. Pod jego warstwą, jak pod taflą lodu, kryło się silne wrażenie, iż ta sypialnia należała do kogoś z warstwy uprzywilejowanej.

Nie miało to najmniejszego sensu. Ten pokój w ogóle nie odzwierciedlał charakteru jej matki.

Otworzyła francuskie okno i wyszła na balkon, zapadając się przy tym po kostki w chrzęszczące liście dębu. Od śmierci jej matki wszystko wydawało się tak niepewne jak stąpanie po papierowym moście. Opuszczała Boston z uczuciem nadziei, że przyjazd tutaj wszystko naprawi. Pocieszała ją myśl o schronieniu się tam, gdzie ukołyszą ją opowieści z młodości jej matki, i o zadzierzgnięciu więzi z dziadkiem, o którego istnieniu nie miała pojęcia. .

Osobliwa samotność tego miejsca wydała jej się drwiną z samej siebie.

Nie czuła się tu jak w domu.



Szukając pocieszenia, sięgnęła dłonią do bransoletki, lecz dotknęła nagiej skóry. Zaskoczona, uniosła nadgarstek.

Bransoletka zniknęła.

Spojrzała w dół, a potem rozejrzała się dookoła. Próbując ją znaleźć, rozpaczliwie przekopywała liście na balkonie. Pobiegnęła z powrotem do pokoju i wciągnęła do niego torby, myśląc, iż bransoletka mogła się zaczepić o którąś z nich i wpaść do środka. Wyrzuciła na podłogę swoje ubrania i przez przypadek upuściła laptop, który owinęła białym płaszczem na zimę.

Bransoletki nigdzie jednak nie było. Wybiegłszy z sypialni, Emily wpadła na schody, po czym wyskoczyła przez drzwi wejściowe. Pod sklepieniem z koron drzew było teraz tak ciemno, że musiała zwolnić. Gdy dotarła do miejsca, które oświetlała uliczna lampa, znów zaczęła biec.

Po dziesięciu minutach poszukiwań uświadomiła sobie, że albo upuściła bransoletkę na chodnik i ktoś zdążył ją zabrać, albo ta spadła, gdy bawiła się nią w taksówce, i była teraz w drodze powrotnej do Raleigh, gdzie taksówka odebrała ją z dworca autobusowego.

Bransoletka należała kiedyś do jej matki. Dulcie ją uwielbiała - zwłaszcza zawieszkę w kształcie półksiężyca, obecnie prawie zupełnie wytartą. Dulcie pocierała ją za każdym razem, gdy odpływała myślami w dal.

Emily powolnym krokiem wróciła do domu. Nie mogła uwierzyć, że ją zgubiła.

Usłyszała dźwięk przypominający zamknięcie drzwiczek suszarki do ubrań, po czym z kuchni wyszedł jej dziadek.

- Bzy - powiedziała na powitanie w foyer, gdzie stanęła, czekając na niego, aby zauważył ją pierwszy i się nie przestraszył.

Posłał jej badawcze spojrzenie, jakby zamierzała go oszukać. -Bzy?

- Pytałeś o tapetę w dawnym pokoju mamy. Są na niej bzy.

- Ach tak. To były zawsze kwiaty, zazwyczaj róże, gdy była małą dziewczynką. Kiedy była starsza, tapeta często się zmieniała. Pamiętam, że kiedyś były na niej błyskawice na tle czarnym jak smoła. A znowuż potem miała kolor błękitnych łusek, jak brzuch smoka. Nie znosiła go, ale nie była w stanie go zmienić.

Słyszając te słowa, Emily uśmiechnęła się.

- To do niej niepodobne. Pamiętam, jak raz... - Zamilkła, gdy Vance uciekł wzrokiem na bok. Nie chciał wiedzieć. Po raz ostatni widział swoją córkę przed dwudziestoma laty. Czy nie był choć trochę ciekaw? Urażona Emily odwróciła się na pięcie, mówiąc: - Chyba pójdę już spać.

- Jesteś głodna? - zapytał, podążając za nią w pewnej odległości. - Dziś rano poszedłem do spożywczego, żeby kupić coś, co smakuje nastolatkom.

Doszła do pierwszego stopnia schodów i obróciła się w jego stronę. Zrobił gwałtowny krok w tył.

- Dziękuję, ale jestem bardzo zmęczona. Skinął głową.

- W porządku. To może jutro.

Wróciła do swojej sypialni i opadła na łóżko. Materac cuchnął stęchlizną. Emily zaczęła się wpatrywać w sufit. Do pokoju wlatywały skuszone światłem ćmy i krążyły wokół obleczonego pajęczynami kryształowego żyrandola. Jej matka dorastała w sypialni z kryształowym żyrandolem? Czy mogło chodzić o tę samą kobietę, która czyniła Emily wymówki, jeśli wychodząc z pokoju, zostawiła włączone światło?

Sięgnęła ręką za brzeg łóżka i zgarnęła z podłogi trochę swoich ubrań, po czym zanurzyła w nich twarz. Pachniały znajomo - kadzidłem jej matki. Mocno zacisnęła powieki, starając się nie rozplakać. Jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, że to był błąd. A nawet jeśli był, i tak nie mogła już na to nic poradzić. Przecież zdoła przetrwać ten rok.

Usłyszała, jak wiatr rozrzuca po balkonie zeschnięte liście, co do złudzenia przypominało odgłos czyichś kroków. Odsunęła ubrania od twarzy i zwróciła głowę w stronę otwartych drzwi balkonowych.

Światło z sypialni sięgało koron najbliższych drzew, lecz ich gałęzie nie kołysały się na wietrze. Emily usiadła, po czym zeszła z łóżka. Na zewnątrz rozejrzała się bacznie

dookoła. „Jest tu kto?” zawołała, choć nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli rzeczywiście ktoś jej odpowie.

Wtem coś przykuło jej wzrok. Szybko podeszła do poręczy. Zdawało jej się, iż dostrzegła coś na skraju lasu za altaną stojącą w zarośniętym ogrodzie z tyłu domu.

O rety! Znów tam było. Jaskrawe białe światło - nagłe, silne błyski - przebijające się wśród drzew. Stop-mowo zaczęło przygasać, aż zniknęło zupełnie, stapiając się z ciemnością lasu.

„Witamy w Mullaby w Karolinie Północnej”, pomyślała. „Krainie błędnych ogników, olbrzymów i złodziei biżuterii”.

Odwróciła się w stronę sypialni i zamarła.

Oto na starym metalowym stole ogrodowym, na Wierzchu warstwy zeschniętych liści, leżała bransoletka z zawieszka jej matki.

Zaledwie parę minut wcześniej jej tam nie było.

Za dużo wina.

Właśnie w ten sposób Julia się usprawiedliwi.

Kiedy spotka się rano ze Stellą, powie jej: „Och, to co powiedziałam zeszłego wieczoru o Sawyerze, to nieprawda. Pod wpływem wina mówi się różne głupoty”.

Gdy tego wieczoru Julia wchodziła do swojego mieszkania na piętrze, była lekko spanikowana i wcale nie tak łagodna jak letnie wino, które Stella zazwyczaj

przygotowywała dla niej na tylnej werandzie. Brakowało jej zaledwie sześciu miesięcy, żeby ponownie uwolnić się od tego miasta - sześciu miesięcy, w czasie których miała mieć już z górki i finalizować swój plan dwuletni. Lecz jedno chlapnięcie językiem sprawiło, że będzie mieć teraz nieskończenie trudniej. Jeśli Sawyer dowie się, co powiedziała, nie zostawi tego w spokoju. Znała go zbyt dobrze, by na to liczyć.

U szczytu schodów otworzyła drzwi i weszła do wąskiego korytarza. Nie było żadnego remontu, który upodobniłby piętro domu Stelli do mieszkania. Cztery pary drzwi prowadziły kolejno do łazienki, sypialni Julii, drugiej sypialni, którą zmieniała w kuchnię, i kolejnej maleńkiej sypialni, która służyła Julii za salon.

Kilka lat temu były mąż Stelli przehulał pieniądze z jej funduszu powierniczego, po czym zdecydował, że powinni przyjąć lokatorów, by trochę dorobić. Na klatce schodowej powiesił więc długą zasłonę i powiedział: „Voilà! Mieszkanie w mgnieniu oka”. Potem był zaskoczony, że nikt nie chciał go wynająć. Bezmyślni mężczyźni są zawsze zaskoczeni konsekwencjami swoich działań, zwykła powtarzać Stella. W ostatnim roku ich małżeństwa zaczął zostawiać drobny czarny pył na wszystkim, czego dotknął. Stella twierdziła, iż to dowód na to, że ma serce z kamienia. Gdy odkryła, że były nim obsypane inne kobiety - na łydkach, gdy nosiły latem szorty, i za uszami, gdy upinały włosy do góry - w końcu

wyrzuciła go z domu. Później poprosiła swojego brata, żeby u szczytu schodów zamontował drzwi, a w sypialni zlew i przyłączyła kuchenki. Miała nadzieję, że z ukończenia tego, co zaczął jej parszywy eksmaż, wyniknie coś dobrego. Julia była jej pierwszą lokatorką.

Z początku Julia czuła się nieswojo, wynajmując mieszkanie od jednej ze swoich licealnych nieprzyjaciołek. Nie miała jednak wyboru. Kiedy przeprowadziła się z powrotem do Mullaby, było ją stać wyłącznie na mieszkanie u Stelli. Zdumiało ją, iż mimo dawnych zatargów były w niezłych stosunkach. Julia nadal nie była w stanie znaleźć wytłumaczenia dla tej nieoczekiwanej przyjaźni. Stella była jedną z najpopularniejszych dziewczyn w tutejszym liceum i członkinią Sassafra, jak nazywała samą siebie elitarna grupa ładnych, rozrywkowych dziewcząt. Julia była zaś dziewczyną, której na korytarzu wszyscy unikali. Była ponura, wulgarna i niezaprzeczalnie dziwna. Farbowała włosy na jaskrawy róż, każdego dnia nosiła na szyi skórzaną obrożę z ćwiekami i malowała oczy tak grubą warstwą czarnego eye-linera, że wyglądały jak podbite. Jej ojciec bardzo się starał, by tego nie zauważyć. Julia poszła korytarzem do swojej sypialni, lecz zanim pstryknęła kontaktem, w sąsiednim domu dostrzegła zapalone światło. Po ciemku podeszła do otwartego okna i wyjrzała przez nie. Od kiedy mieszkała w domu Stelli, spędzając bezsenne noce na wyglądaniu przez

okno, ani razu nie widziała u Vance'a Shelby ego światła w sypialni na piętrze. Na balkonie stała nieruchomo niczym słup soli jakaś nastolatka i wpatrywała się w las za domem Vance'a. Była chuda niczym gałązka wierzby, miała czuprynę blond włosów i bił od niej smutny rodzaj bezbronności, który sprawiał, że noc pachniała syropem klonowym. Było w niej coś znajomego. Nagle Julia sobie przypomniała. Z Vance'em miała zamieszkać jego wnuczka. W minionym tygodniu tylko o tym mówiono w restauracji Julii. Niektórzy byli zaciekawieni, inni przestraszeni, a jeszcze inni jawnie podli. Nie wszyscy wybaczyli jej matce to, co zrobiła.

Julii nie spodobała się myśl o tym, czego ta dziewczyna mogła się tu spodziewać - zdrętwiała z niepokoju. Życie z własną przeszłością było wystarczająco trudne. Nie powinno się żyć z przeszłością kogoś innego.

Julia podjęła decyzję. Następnego ranka upiecze w restauracji dodatkowe ciasto, by je do niej zanieść.

Rozebrała się i weszła do łóżka. W końcu światło w sąsiednim domu zgasło. Westchnęła i obróciła się na bok, czekając, aż ze swojego kalendarza będzie mogła wykreślić kolejny dzień.

Po śmierci ojca prawie dwa lata temu Julia wzięła na parę dni wolne i przyjechała do Mullaby, by uporządkować jego sprawy. Planowała szybko sprzedać dom

i restaurację, zainkasować pieniądze i wrócić do Maryland, gdzie wreszcie spełni swoje marzenie i otworzy własną cukiernię.

Ale cały jej plan spalił na panewce.

Prędko okazało się, że ojciec był skrajnie zadłużony, a dom i restauracja były obciążone hipoteką. Pieniądze ze sprzedaży domu spłaciły hipotekę domu i częściowo restauracji, lecz nawet gdyby sprzedała restaurację, nie wyszłaby na swoje. Wymyśliła wtedy swój niechlubny plan dwuletni. Żyjąc bardzo oszczędnie i rozwijając interes podczas swojego pobytu, w ciągu dwóch lat spłaci hipotekę J's Barbecue, po czym odsprzeda restaurację ze sporym zyskiem. Otwarcie poinformowała o tym wszystkich mieszkańców. Zostanie w Mullaby przez dwa lata, ale nie zamierza zostawać tu na stałe. Była tu tylko przejazdem. Nic więcej.

Gdy przejmowała restaurację, J's Barbecue miało swoją skromną, ale wierną klientelę, głównie dzięki staraniom jej ojca. Sprawiał, że ludzie wychodzili stamtąd szczęśliwi i pachnący słodkim żółtym dymem barbecue, który ciągnął się za nimi niczym tren sukni. Jednak Mullaby miało więcej restauracji barbecue per capita niż jakiegokolwiek miasta w tym stanie, więc konkurencja była zażarta. Skoro w prowadzeniu restauracji zabrakło indywidualnego stylu jej ojca, Julia zdała sobie sprawę, iż musi czymś ją wyróżnić. Zaczęła więc robić to, co wychodziło jej najlepiej - piec i sprzedawać ciasta - a interes



od razu zaczął kwitnąć. Wkrótce J's Barbecue było znane nie tylko z wyśmienitego barbecue w stylu Lexington, lecz również z najlepszych wypieków w okolicy.

Julia zawsze zjawiała się w restauracji na długo przed świtem i jedyną osobą, która przychodziła tam przed nią, by kucharz stojący przy grillu. Rzadko ze sobą rozmawiali. Miał swoją robotę, a ona miała swoją. Prowadzenie restauracji zostawiła w rękach ludzi, których jej ojciec wyszkolił i obdarzył zaufaniem. Choć odziedziczyła po nim smykałkę do interesów, starała się nie angażować w codzienne funkcjonowanie lokalu. Kochała ojca, lecz minęło sporo czasu, od kiedy chciała być taka jak on. W dzieciństwie - zanim zmieniła się w markotną nastolatkę o różowych włosach - każdego dnia przed szkołą szła za nim do pracy i z chęcią pomagała mu we wszystkim: od kelnerowania do dokładania drewna w wędzarni. Wspólne spędzanie czasu z ojcem w J's Barbecue to jedno z jej najmiłszych wspomnień, lecz od tamtej pory tyle się wydarzyło, że nie wierzyła już, iż kiedykolwiek mogłaby się tu czuć równie komfortowo jak wtedy. Tak więc zjawiała się wcześniej, piekła ciasta na cały dzień i wychodziła, kiedy pierwsi klienci zaczynali się schodzić na śniadanie. Kiedy miała dobry dzień, udawało jej się nawet nie spotkać Sawyera. Okazało się, że akurat ten dzień nie był dobry. - Nie zgadniesz, co powiedziała mi wczoraj Stella - rzekł Sawyer Alexander.

Wkroczył do kuchni, gdy Julia kończyła przygotowywać jabłecznik, który zamierzała zanieść wnuczce Vancea Shelbyego.

Julia na moment przymknęła powieki. Pewnie Stella zadzwoniła do niego, gdy tylko Julia wyszła od niej poprzedniego wieczoru i udała się na górę.

Sawyer zatrzymał się tuż obok niej przy stole ze stali nierdzewnej. Był jak powiew świeżego powietrza. Wszyscy wybacжали mu egoizm i wyniosłość, bo promieniał nieodpartym urokiem. Miał błękitne oczy i blond włosy, był przystojny, bystry, bogaty i zabawny. Jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie, którym nie zbywało na typowych dla Południa dobrych manierach, Sawyer wyróżniał się uprzejmością. Każdego ranka przywoził do restauracji Julii swojego dziadka, żeby mógł zjeść śniadanie w towarzystwie starych kumpli.

- Nie powinieneś tu wchodzić - odparła, nakładając ostatnią warstwę ciasta na wierzch suszonych jabłek i nadzienia z przyprawami.

- Zgłoś to szefowej. - Założył kilka kosmyków za jej lewe ucho, a jego palce ociągały się przy tym, który nadal farbowała na różowo. - Nie chcesz wiedzieć, co mi wczoraj powiedziała Stella? - zapytał.

Wysunawszy głowę z jego rąk, nałożyła ostatnią warstwę jabłek i nadzienia z przyprawami na szczyt ciasta, pozostawiając odkryte brzegi.

- Stella była wtedy pijana.

- Powiedziała, że pieczesz ciasta przeze mnie. Julia wiedziała, do czego zmierza Sawyer, lecz mimo to zastygła na moment przy rozsmarowywaniu polewy szpatułką. Natychmiast wróciła do pracy, mając nadzieję, iż tego nie zauważył.

\_ Uważa, że masz niskie poczucie własnej wartości. Próbuje podbudować twoje ego.

Uniósł jedną brew w ten swój beczelny sposób.

- Zarzucano mi różne rzeczy, lecz nie było wśród nich niskiego poczucia własnej wartości.

- Pewnie ciężko jest być tak doskonałym.

- Piekielnie. Naprawdę jej tak powiedziałaś? Wrzuciła szpatułkę do pustej miski po nadzieniu, po czym zaniosała obie rzeczy do zlewu.

- Nie pamiętam. Też byłam pijana.

\_ Przecież ty się nie upijasz - odpowiedział.

- Nie znasz mnie na tyle dobrze, by wygłaszać na moj temat ogólniki typu „ty się nie upijasz”. - Cieszyła się, że mu to wytknęła. Nie było jej tu przez osiemnaście lat. Zmieniłam się na lepsze", chciała dodać.

- Masz rację. Ale znam Stellę. Nawet jeśli wypła za dużo, to nigdy nie przyłapałam jej na kłamstwie. Dlaczego miałyby twierdzić, że pieczesz ciasta przeze mnie, jeśli nie byłaby to prawda?

- Ja piekę ciasta, ty jesteś znany ze słabości do nich. Może pomieszały jej się te dwa fakty. - Poszła do magazynu po pudełko na ciasto i zwlekała z powrotem, licząc na to, że Sawyer zrezygnuje i sobie pójdzie.

- Zabierasz ciasto ze sobą? - zapytał, gdy wyszła.

Nawet się nie poruszył. W kuchni było gorąco i panowało ogólne zamieszanie - kelnerki wchodziły i wychodziły, kucharze krążyli wte i wewte, słychać było ustawiczne walenie przy ręcznym siekaniu mięsa na barbecue - a on pozostał taki spokojny. Musiała się prędko odwrócić. Zbyt długie patrzenie na jednego z Alexandrów było jak wpatrywanie się w słońce - obraz pozostawał wyryty w głowie. Można było zamknąć oczy i nadal go widzieć.

- Chcę je dać wnuczce Vance'a Shelbyego. Przyjechała wczoraj wieczorem.

Słyszając to, roześmiał się.

- Ty dajesz komuś ciasto powitalne?

Nie dostrzegła w tym ironii, dopóki on nie zwrócił na to uwagi.

- Sama nie wiem, co mnie naszło.

Patrzył, jak Julia wkłada ciasto do tekturowego pudełka.

- Lubię cię w tym kolorze - stwierdził, dotykając długiego rękawa jej białej koszuli.

Natychmiast zabrała rękę. Przez półtora roku udawało jej się unikać tego mężczyzny, a potem musiała wypaplać Stelli tę jedną rzecz, o której wiedziała, że przyciągnie go do niej z siłą grawitacji. Tylko czekał na ten pretekst, od kiedy wróciła do miasta. Chciał się do niej zbliżyć. Wiedziała o tym. I była z tego powodu wściekła.

„Jak on mógł nawet pomyśleć, że wrócimy do siebie po tym, co się wydarzyło?”

Sięgnęła ręką, by zamknąć okno nad stołem. Była to ostatnia czynność, jaką wykonywała każdego ranka, i czasami ją to zasmucało. Kolejny dzień, kolejne przywoływanie bez odpowiedzi. Podniosła pudełko z ciastem i bez słowa wyszła z nim do sali restauracyjnej.

J's Barbecue było miejscem tak zgrzebnym jak większość autentycznych restauracji z barbecue na Południu - miało podłogi wyłożone linoleum, plastikowe obrusy na stołach i ciężkie drewniane łóże barowe. Wnętrze składało hołd tradycji. Gdy tylko Julia przejęła lokal, ściągnęła ze ściany pamiątki z wyścigów NASCAR przytwierdzone tam przez jej ojca. Wywołała tym taki protest, że musiała zawiesić je ponownie.

Odłożyła pudełko i podniosła leżący na bufecie kawałek kredy. Na tablicy zapisała nazwy ciast dnia: tradycyjne na Południu tort Red Velvet i babka brzoskwiniowa, jak również makaroniki z zieloną herbatą i miodem oraz pączki z dżemem żurawinowym. Wiedziała, że oryginalne wypieki zostaną wyprzedane pierwsze. Zajęło to Julii prawie rok, ale udało jej się przekonać stałych bywalców do swoich umiejętności za sprawą przepisów, które już znali. Teraz spróbują każdej nowości, jaka wyjdzie spod jej palców.

Sawyer wyszedł z kuchni w chwili, gdy odkładała kredę z powrotem na bufet.

- Zapowiedziałem Stelli, że przyjdę dziś wieczorem z pizzą. Będiesz w domu?

- Zawsze jestem. A może byście skończyli wreszcie te podchody i poszli ze sobą do łóżka?

Ich czwartkowe zaloty nad pizzą zaczęły się, kiedy Julia wróciła do Mullaby. Stella przysięgała, że nic ich nie łączy, ale Julia uważała, że takie twierdzenie to naiwność z jej strony.

Sawyer pochylił się nad nią.

- Ależ spaliśmy ze sobą - wyszeptał jej do ucha. -Trzy lata temu, zaraz po jej rozwodzie. I zanim stwierdzisz, że nie przywiązuję do tego specjalnej wagi, to wiedz, że obecnie staram się robić tylko to, czego później nie będę żałował.

Kiedy odchodził, posłała za nim badawcze spojrzenie. Wspomniiał o tym tak swobodnie, prawie nonszalancko, że zupełnie ją tym zaskoczył. Sprawił, że jej uwaga stała się cierpka niczym smakowana po raz pierwszy limeta.

Nie mogła winić go za to, że przed laty zachował się jak przestraszony nastolatek na wieść o tym, że podczas ich jedynej wspólnej nocy na boisku futbolowym zaszła w ciążę. Ona również była przestraszoną nastolatką. I podjęli wtedy jedyną decyzję, jaką byli w stanie. Na dobre i na złe.

Ale miała mu za złe, że tak łatwo powrócił do zwykłego życia. Dla niego to była tylko jedna noc. Żałował, że spędził ją z dziwaczną, niepopularną dziewczyną,

z którą ledwo co rozmawiał w szkole. Z dziewczyną, która była w nim szaleńczo zakochana.

Dobry Boże. Nie zamierzała ponownie wchodzić w tę rolę. Nie mogła.

Tylko sześć miesięcy i opuści to zwariowane miasto, i już nigdy nie pomyśli o Sawyerze.

Jeśli dopisze jej szczęście.

## ROZDZIAŁ 2

Kiedy Emily się obudziła, włosy przy czole lepiły jej się od potu i była wykończona. Nie miała też najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Szybko usiadła na łóżku i wyciągnęła z uszu słuchawki odtwarzacza MP3. Rozejrzała się po pokoju: tapeta w bzy, zniszczone meble księżniczki. Wtedy sobie przypomniała. Była w dawnej sypialni swojej matki.

Nigdy nie spała w miejscu, w którym byłoby tak cicho. Choć wiedziała, że jej dziadek jest na dole, czuła się nieswojo, mając całe piętro do swojej dyspozycji. Przez całą noc panował spokój przerywany głośnymi trzaskami drewna osadzającego się domu. A za jej drzwiami balkonowymi szeleściły liście. W końcu włączyła odtwarzacz MP3 i wyobraziła sobie, że jest gdzie indziej - w miejscu gdzie nie ma tyle wilgoci w powietrzu.

Bez względu na swoje obawy kolejnej nocy będzie musiała spać przy otwartych drzwiach balkonowych.



W przeciwnym razie zginie w kałuży potu. Ostatniej nocy w pewnym momencie pozbyła się kołdry. Położyła się spać w pizamie, lecz potem wykręciła się ze spodni i miała teraz na sobie wyłącznie górę. Jej matka mogła być najbardziej poprawną politycznie osobą na Ziemi -aktywistką, ekolożką, bojowniczką o prawa wykluczonych - ale nawet ona włączała klimatyzację, gdy robiło się za gorąco.

Emily udała się do staroświeckiej łazienki i wzięła kąpiel, ponieważ nie było tam prysznicza. Poczowała się zbita z tropu, widząc, iż wanna ma osobne krany na ciepłą i zimną wodę zamiast jednego jak w normalnych łazienkach.

Później ubrała się w szorty i bokserkę, po czym zeszła na dół.

Od razu zauważyła liścik przyczepiony taśmą klejącą po wewnętrznej stronie drzwi moskitierowych.

***Emily, to dziadek Vance do Ciebie pisze. Zapomniałem Ci powiedzieć, że co rano wychodzę na śniadanie. Nie chciałem Cię budzić. Przyniosę Ci coś z powrotem, ale w kuchni jest też jedzenie, co smakuje nastolatkom.***

Liścik został napisany dużymi, drukowanymi literami ukośnie do linijek na kartce, jakby piszący zasłaniał sobie tekst ręką.

Odetchnęła głęboko i spróbowała dokonać korekty swoich oczekiwań. To jej pierwszy dzień tutaj, a on nie chciał go z nią spędzić.

Stojąc przy drzwiach moskitierowych, Emily usłyszała szelest liści. Zaskoczona, dostrzegła za nimi kobietę po trzydziestce, która wchodziła po schodkach na werandę. Miała jasnobrązowe włosy ścięte na pięknego, kołyszącego się boba, który sięgał za jej uszy. Emily nigdy nie udało się sprawić, by jej bob tak wyglądał. Od zawsze próbowała zapuścić włosy, ale udawało jej się tylko wiązać je w małą kitkę. Nawet wtedy wypadały z gumki i przez większość czasu latały wokół jej twarzy.

Kobieta nie zobaczyła Emily, dopóki nie znalazła się na najwyższym stopniu. Natychmiast uśmiechnęła się.

- Dzień dobry! Ty pewnie jesteś wnuczką Vance'a - rzekła, zatrzymując się przy drzwiach. Miała śliczne ciemnobrązowe oczy.

- Tak, nazywam się Emily Benedict.

- A ja Julia Winterson. Mieszkam w tamtym domu. - Nieznacznie odwróciła głowę, wskazując na białożółty dom stojący obok.

Wtedy Emily wypatrzyła w jej włosach różowe pasemko zgarnięte za ucho. Nie spodziewała się tego po kimś bez makijażu, w dzinsach uwalanych mąką i luźnej, bawełnianej bluzce.

- Przyniosłam ci jabłecznik. - Otworzyła białe pudełko, które trzymała w dłoniach, i pokazała coś, co przypominało Emily stos dużych brązowych naleśników z czymś w rodzaju nadzienia między nimi. - To znaczy... - Szukała odpowiedniego słowa i w końcu

powiedziała - ... witaj. Wiem, że Mullaby ma swoje wady, co pewnie wiesz już od mamy, ale to miasto pełne wspaniałego jedzenia. Co jak co, ale będziesz się tutaj dobrze żywiła.

Emily nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miała ochotę na cokolwiek, nie mówiąc o jedzeniu, lecz nie powiedziała o tym Julii.

- Mama nic mi nie mówiła o Mullaby - rzekła Emily, wpatrując się w ciasto.

- Zupełnie nic?

- Zupełnie.

Julia zamilkła najwyraźniej wstrząśnięta.

- Coś się stało? - Emily podniosła wzrok znad jabłecznika.

- Nic takiego - odparła Julia, potrząsając głową. Przymknęła wieczko pudełka. - Chcesz, żebym zostawiła je w kuchni?

- Pewnie, wejść - powiedziała Emily i otworzyła drzwi moskitierowe.

Wchodząc do środka, Julia zauważyła nadal przytwierdzony do siatki liścik od dziadka Vance'a.

- Wczoraj rano Vance poprosił mnie, żebym go podwiozła do spożywcza, bo chciał kupić parę rzeczy dla ciebie - rzekła, wskazując głową na liścik. - W jego mniemaniu nastolatki lubią oranżadę w proszku, owocowe żelki i gumę balonową. Przekonałam go, żeby kupił również chipsy, bajgle i płatki śniadaniowe.

- Miło z twojej strony - odparła Emily. - Znaczy to, że zabrałaś go na zakupy.

- Jako dziecko byłam wielką fanką Olbrzyna z Mullaby. - Spojrzenie Emily zdradzało, że nie rozumie, o co chodzi, więc Julia zaczęła tłumaczyć. - Tak ludzie nazywają tu twojego dziadka.

- Ile on ma wzrostu? - spytała Emily szeptem, jakby mógł ją usłyszeć.

Julia roześmiała się. Był to wspaniały śmiech - słysząc go, wchodziło się w płamę słonecznego światła. Osobliwie do niej pasowało, że przyszła z ciastem. Wyglądała, jakby była z niego zrobiona: taka lekka, śliczna i udekorowana z wierzchu swoim słodkim śmiechem oraz różowym pasmem włosów. Trudno było jednak stwierdzić, co czaiło się w środku. Emily podejrzewała, że mogła skrywać jakąś tajemnicę.

- Jest wystarczająco wysoki, żeby patrzeć w przyszłość. Zawsze tak mówi. Wiem tylko, że ma ponad dwa i pół metra. Kiedyś przyjechali tu na przespiegi ludzie od rekordów świata, ale Vance nie chciał mieć z nimi do czynienia.

Julia знаła drogę, więc Emily poszła za nią. Kuchnia była duża i kiczowata, jakby żywcem wyciągnięta z lat pięćdziesiątych. Przed laty musiała być niezłą atrakcją. Przytłaczała czerwienią: miała czerwone blaty, kafelki podłogowe w biało-czerwoną szachownicę i ogromną czerwoną lodówkę ze srebrnym uchwytem

jak do chłodni. Julia położyła pudełko z ciastem na blacie, po czym odwróciła się i przez chwilę wpatrywała w Emily.

- Jesteś bardzo podobna do swojej matki - powiedziała w końcu.

- Znałaś ją? - spytała Emily, ożywiając się na myśl, że wreszcie ktoś chciał z nią rozmawiać o jej matce.

- Chodziłyśmy do tej samej klasy, ale nie byłyśmy ze sobą blisko. - Julia włożyła ręce do kieszeni swoich dżinsów. - Nie powiedziała ci zupełnie nic?

- Wiedziała, że urodziła się gdzieś w Karolinie Północnej, ale nie znałam szczegółów. Nie miałam też pojęcia, że mój dziadek żyje. - Julia uniosła brwi, Emily zaś zaczęła się pospiesznie tłumaczyć. - Nigdy nie twierdziła, że dziadek nie żyje, tylko o nim nie rozmawiałyśmy. Uznałam więc, że zmarł dawno temu. Mama nie lubiła mówić o przeszłości i starałam się to uszanować. Powtarzała, że nie ma sensu roztrząsać tego, czego nie można zmienić, kiedy można zrobić tak wiele, żeby naprawić przyszłość. Cały czas poświęciła na swoją działalność.

- Działalność?

- Na rzecz Amnesty International, Oxfamu, Green-peace'u, The Nature Conservancy. Kiedy była młodsza, sporo podróżowała, ale po urodzeniu mnie osiedliła się w Bostonie. Zaangażowała się tam w wiele inicjatyw lokalnych.

- Cóż... nie tego się po niej spodziewałam.

- Czy tutaj było tak samo? Angażowała się w wiele przedsięwzięć?

Julia pospiesznie wyciągnęła rękę z kieszeni.

- Muszę już iść.

- Och - odparła zdeorientowana Emily. - Cóż, dzięki za ciasto.

- Nie ma sprawy. Moja restauracja to J's Barbecue przy Main Street. Wpadaj, kiedy chcesz, na najlepsze ciasto w Mullaby. Barbecue też jest wyśmienite, ale to już nie moja zasługa. Właśnie tam jest teraz twój dziadek. Codziennie rano przychodzi na śniadanie.

Emily odprowadziła Julię do wyjścia.

- Gdzie jest Main Street?

Wychodząc na werandę, Julia wskazała jej kierunek.

- Na końcu Shelby Road musisz skrócić w lewo na Dogwood, a niecały kilometr dalej w prawo. Znajdziesz bez problemu. - Julia zaczęła iść w stronę schodków, lecz Emily ją powstrzymała.

- Zaczekaj. Zeszłej nocy widziałam w ogrodzie jakieś światło. Czy ty również je zauważyłaś?

Julia odwróciła się do niej.

- Zdążyłaś już zobaczyć światło z Mullaby?

- A co to jest?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, Julia podrapała się po głowie i zgarnęła włosy za ucho.

- To białe światło, które czasami przemyka przez tutejsze pola i lasy. Niektórzy mówią, że to duch nawiedza miasto. Jedną z tutejszych osobliwości. - Powiedziała, jakby było ich więcej. - Nie zwracaj na nie uwagi, to sobie pójdzie.

Emily skinęła głową.

Julia znów zaczęła odchodzić, lecz nagle stanęła w miejscu plecami do Emily. Po chwili odwróciła się do Emily i rzekła:

- Słuchaj, jeśli będziesz mnie potrzebowała, to mieszkam tuż obok. Przynajmniej przez kolejne sześć miesięcy. Minie trochę czasu, zanim się przyzwyczaisz do tego miejsca. Uwierz, sama przez to przechodziłam.

Emily uśmiechnęła się i poczuła, jak jej ramiona robią się mniej napięte.

- Dzięki.

Podjęcie decyzji nie zajęło Emily wiele czasu: pójdzie na Main Street i spotka się z dziadkiem. Pomyślała, że miło będzie wracać z nim do domu, ustanowić jakąś rutynową czynność. Najwyraźniej przez długi czas mieszkał sam, więc może jego niepewność w kontakcie z nią wynikała z tego, iż nie wiedział, jak się zachować. „Nie czekaj, aż świat się zmieni, Emily”, powtarzała jej matka, a w jej głosie czasami przebrzmiewała frustracja. „Sama go zmień!”

Emily zastanawiała się, czy matka była nią rozczarowana. Nie odziedziczyła po niej pasji, odwagi ani determinacji. Była ostrożna, jej matka zaś pomagała każdej osobie, jaką napotkała na swej drodze. Ich stosunki były zawsze dziwnie napięte. Emily podziwiała matkę, lecz trudno jej było się do niej zbliżyć. Dulcie oferowała innym swoją pomoc, ale nie pozwalała pomagać sobie.

Zgodnie ze słowami Julii, dotarła na Main Street bez problemu. Tej ulicy nie dało się przegapić. Gdy wyszła z za rogu Dogwood, stanęła przed ogromną tablicą oznajmiającą, iż znajdowała się teraz na „Zabytkowej Main Street”. Była to piękna, długa ulica, zupełnie inna niż te, które mijała po drodze. Na jej początku znajdowały się rezydencje w stylu federalistycznym: przytulone do chodników i z frontu prawie pozbawione ogrodów. Naprzeciwko nich, po drugiej stronie ulicy, zauważyła park z altaną, na dachu której Emily dostrzegła uroczy wiatrowskaz w kształcie srebrnego półksiężyca. Za rezydencjami i parkiem była część usługowa - pojawiły się sklepy z pamiątkami i restauracje ściśnięte w starych budynkach z cegły. Emily naliczyła siedem restauracji barbecue, a doszła dopiero do połowy ulicy. Siedem. Ewidentnie to one były źródłem zapachu, który otulał całe miasto niczym welon. Zza budynków niektórych restauracji wydobywały się smugi i kłęby słodkiego dymu drzewnego.



Wokół kręciło się wielu turystów tak jak ona zafascynowanych staroświeckim pięknem Mullaby. Na chodnikach było tłoczno - dużo bardziej, niż wskazywałyby na to pora dnia. Wypatrywała szyldu J's Barbecue, jednak nigdzie nie było go widać. Niespodziewanie wpadła w panikę. Idąc tą piękną ulicą, czuła się szczęśliwa i pełna inicjatywy, a potem w jednej chwili ogarnęło ją przerażenie, iż nie uda jej się znaleźć restauracji, której szukała. A co, jeśli Julia się pomyliła? Jeśli dziadka Vance'a tu nie było? Jeśli sama nie da rady wrócić do domu?

Zrobiło jej się słabo - jakby zaczęła tonąć. Poczwała wodę napierającą na jej oczy i uszy, a dookoła niej pływało migoczące konfetti.

Miewała napady lęku od czasu, gdy zmarła jej matka. Łatwo było utrzymać je w tajemnicy przed Merry, przyjaciółką matki, z którą mieszkała przez ostatnie cztery miesiące - wystarczyło zamknąć drzwi do sypialni. W szkole nauczyciele przymykali oko na to, że zamiast wrócić do klasy, zostawała w łazience i siedząc na podłodze obok umywalk, próbowała złapać oddech.

Strefa usługowa Main Street kończyła się rzędami ławek, więc podeszła do tej najbliższej i usiadła. Oblał ją zimny pot. Nie może teraz zemdleć. Nie może.

Pochyliła się do przodu i przyciskając klatkę piersiową do ud, opuściła głowę w dół. „Długość kości udowej jest wyznacznikiem całkowitego wzrostu”. Była to przypadkowa myśl - zapamiętała to z zajęć fizjologii.

Nagle na chodniku tuż przed nią pojawiła się para drogich męskich mokasynów.

Powoli podniosła wzrok. Chłopak był mniej więcej w jej wieku. Miał na sobie biały letni garnitur z lnu, a przez rozchylone poły marynarki widać było, że trzyma ręce luzacko w kieszeniach spodni. Pod szyją zawiązał czerwoną muszkę, a na wykrochmalonym kołnierzyku wiły się ciemne włosy. Był przystojny i miał klasę - jakby został żywcem wyjęty ze sztuki Tennessee Williamsa. Niespodziewanie zawstydzila się swoich krótkich spodenek i bokserki. W porównaniu z nim wyglądała, jakby dopiero co skończyła trening na rowerze stacjonarnym.

Z początku nic nie powiedział, tylko jej się przypatrywał. Wreszcie dość niechętnie zapytał:

- Wszystko w porządku?

Nie mogła tego zrozumieć. Ludzie traktowali ją tutaj tak, jakby zadawanie się z nią należało do nieprzyjemności. Wzięła głęboki oddech, a tlen uderzył jej do głowy.

- Tak, dziękuję - odparła.

- Jesteś chora?

- Nie, tylko zasłabłam.

Przeniosła wzrok na swoje stopy w skarpetkach i sportowych butach, które zdawały się dziwnie od niej odstawać. „Skarpetki przed kostkę są niedozwolone. Skarpetki muszą sięgać za kostkę albo przed kolano”. Tak było napisane w podręczniku szkoły dla dziewcząt

w Roxley. Chodziła tam od początku swojej edukacji. Jej matka pomagała ją założyć - szkoła miała dodawać dziewczynkom pewności siebie, zachęcać je do aktywności i uczestniczenia w wolontariacie.

Nastąpiła cisza. Znowu podniosła wzrok - chłopak zniknął jak kamfora. Czyżby miała halucynacje? Może wyczarowała sobie jakiś ponadczasowy, południowy archetyp, który pasował do otoczenia? Po paru minutach położyła łokcie na kolanach i lekko się na nich uniosła.

Poczuła, że na ławce obok niej ktoś siada i bije od niego przyjemny, świeży zapach wody kolońskiej. Zaskoczył ją głośny trzask otwieranej puszki z aluminium i odruchowo usiadła wyprostowana.

Chłopak w białym lnianym garniturze powrócił. Siedział teraz obok niej i wyciągał w jej stronę puszkę coca-coli.

- No dalej - powiedział. - Weź.

Sięgnęła po puszkę nieco trzęsącą się ręką. Pociągnęła tęgi łyk. Napój był zimny, słodki i mocno szczypał w język. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy coś smakowało jej tak bardzo. Nie mogła przestać pić. W ciągu paru chwil zdołała opróżnić całą puszkę.

Gdy skończyła, zdyszana, zamknęła oczy i przycisnęła zimny metal do czoła. Kiedy ostatnio piła? Przypomniała sobie, że na długo przed tym, jak wczoraj w Bostonie wsiadła do autobusu.

Usłyszała chrzęst papieru. Chłopak powiedział:

- Nie bój się. - Poczowała na karku coś zimnego. Lodowatego. Ręka natychmiast powędrowała na tył jej szyi i nakryła jego dłoń.

- Co to? - zażądała odpowiedzi.

- Wydaje mi się, że lód na patyku - odparł, pochylając się do tyłu, żeby to sprawdzić. - To była pierwsza rzecz, jaką wyciągnąłem ze sklepowej lodówki.

Dopiero teraz zauważyła, że siedzieli przed umyślnie staromodnym Sklepem Wielobranżowym Zima. Drzwi wejściowe były podparte i Emily dostrzegła w środku duże beczki ze słodyczami obok sklepowej kasy, a z tyłu ścianę wypełnioną reprodukcjami starych reklam na blaszanych tabliczkach.

- Jest głównie dla turystów, więc już dawno w nim nie byłem - ciągnął. - Ale nadal pachnie tam cynamonem i pastą do podłóg. Nadażasz za mną? Jak się czujesz?

Odwróciła się do niego i uświadomiła sobie, że siedział naprawdę blisko - na tyle by mogła zobaczyć czarne obwódki jego intensywnie zielonych tęczówek. Dziwne, ale pomyślała, że rzeczywiście go czuje, wyczuwa jaką emanującą z niego energię jak żar bijący z ogniska. Był taki osobliwy i cudowny. Na moment uległa jego urokowi i wpatrywała się w niego, dopóki nie uświadomiła sobie, co robi. Wtedy też przypomniała sobie, iż jej ręka nadal leży na dłoni, którą trzymał ją za kark. Powoli zdjęła rękę i odsunęła się od niego.

- Już dobrze. Dziękuję.

Ściągnął z jej karku loda na patyku, po czym wyciągnął go w jej stronę, lecz potrząsnęła głową. Wzruszył ramionami i sam rozerwał papierek. Rozsiadł się wygodnie i skrzyżował nogi, a następnie ugryzł loda i zaczął się wpatrywać w fasadę sklepu. Prawie żałowała, iż nie wzięła od niego loda. Wyglądał smakowicie: chłodna wanilia i jaskrawa, cierpka pomarańcza.

- Jestem Emily Benedict - przedstawiła się, podając mu rękę.

Nie obrócił się w jej stronę ani nie uścisnął jej dłoni.

- Wiem, kim jesteś. - Ponownie ugryzł loda. Emily opuściła dłoń.

-Tak?

- Jestem Win Coffey. Logan Coffey był moim stryjem. Posłała mu zdziwione spojrzenie. Najwyraźniej oczekiwał, że była tego świadoma.

- Dopiero się tu przeprowadziłam.

- Twoja matka ci nie powiedziała?

Jej matka? Co ona miała z tym wspólnego?

- O czym?

W końcu na nią spojrział.

- Dobry Boże. Ty naprawdę nic nie wiesz.

- Ale co mam wiedzieć? Zaczynało ją to niepokoić.

Wpatrywał się w nią tak długo, że poczuła się nieswojo.

- Nic takiego - odparł wreszcie, wrzucając resztkę loda do kosza przy ławce. Potem wstał.

- Jeśli nie czujesz się na tyle dobrze, by samej iść do domu, mogę zadzwonić po naszego kierowcę, by cię zawiózł.

- Dam sobie radę. - Lekko uniosła puszkę. - Dziękuję za coca-colę.

Zawahał się.

- Przepraszam, że nie chciałem uścisnąć ci ręki. Wybacz mi.

- Wyciągnął dłoń, a zmieszana Emily ją ujęła.

Zszokowana, poczuła, jak ciepło ogarnia ją niczym zbłąkane pnącza winorośli. W jakiś sposób sprawił, że się w niego uwikłała. Nie było to nieprzyjemne uczucie, tylko dość niezwykle.

Uwolniwszy jej dłoń, zaczął iść w dół ulicy. Jego skóra prawie jarzyła się w porannym, letnim słońcu, które prześwitywało między budynkami oślepiającym złotem i pomarańczem. Wydawało się, że promienieje pełnią życia.

Przez moment nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Emily?

Odwróciła się i ujrzała swego olbrzymiego dziadka idącego w jej stronę z papierową torbą. Ludzie rozstępowali się na chodniku, spoglądając na niego z trwogą. Widziała, że próbuje nie zwracać na to uwagi, lecz przygarbił swoje potężne ramiona, jakby próbował się zmniejszyć.

Wstała i wrzuciła puszkę po coca-coli do pobliskiego kosza na recykling. Vance zatrzymał się tuż przed nią.

- Co ty tutaj robisz? - zapytał.

- Pomyślałam, że po ciebie przyjdę, żebyśmy mogli razem spacerować się do domu.

Z jego twarzy trudno było coś wyczytać, lecz gdyby miała zgadywać, to właśnie go zasmuciła. Była tym przerażona.

- Przepraszam - dodała natychmiast. - Nie chciałam...

- Czy to z Winem Coffeyem rozmawiałaś?

- Znasz go?

Vance spojrział w dół ulicy. Emily nie dostrzegła już Wina, lecz Vance ze względu na swój wzrost miał nad nią oczywistą przewagę.

- Owszem, znam go - odparł. - Chodźmy do domu.

- Przepraszam, dziadku.

- Nie przepraszaj, dziecko. Nie zrobiłaś nic złego. Masz, przyniosłem ci z restauracji kanapkę z jajkiem. - Podał jej torbę.

- Dziękuję.

Skinął głową i objął ją swoim niewiarygodnie długim ramieniem, po czym w milczeniu poszli do domu.

## ROZDZIAŁ 3

Nie zgadniesz, kogo dzisiaj spotkałem - powiedział Win Coffey, stojąc przed wielkim oknem w salonie.

Obserwował, jak wieloryb szarego nieba połyka różowe, wieczorne światło.

Doszedł go dźwięk obcasów stukających o białą marmurową podłogę w foyer i zobaczył odbicie swojej matki wchodzącej do pokoju razem z młodszą siostrą Wina. Matka usiadła na kanapie obok ojca, a siostra przeszła przez pokój, by zająć sofę.

Ojciec Wina Morgan złożył gazetę i rzucił ją na bok. Zdjął okulary do czytania i skupił się nie na żonie, lecz na synu. Rodzice Wina już dawno nie spoglądali na siebie z uwagą. Byli teraz dla siebie jak duchy, które widuje się tylko kątem oka. - Kogo?



O zaprogramowanej godzinie rolety w salonie zaczęły się automatycznie opuszczać. Win wyczekał, aż okna będą całkowicie zakryte i nie będzie już mógł podziwiać widoków, po czym odwrócił się w stronę pokoju. W salonie unosił się zapach zimnych pomarańczy. Był wypełniony antykami - wysokimi komodami w stylu federalistycznym i kanapami gustownie obitymi tkaniną w błękitne i szare kwiaty. Pokój wydawał się tak stary, tak znajomy. Nic się tu nie zmieniało.

- Emily Benedict.

Od razu rozpoznali jej nazwisko. Gniew jego ojca był nagły i prawie namacalny. W powietrzu czuć było napięcie.

W milczeniu Win odwzajemnił spojrzenie ojca. Nie zamierzał się wycofywać. Sam Morgan go tego nauczył. Poza tym ostatnimi czasy ścierali się ze sobą tak często, że do tego przywykli.

- Winie, dobrze wiesz, że gdyby nie jej matka, mój brat by nie umarł, a nasz sekret byłby bezpieczny - dobitnie stwierdził Morgan.

- Nikt w mieście nie wspomniał ani słowem o tamtej nocy - spokojnie zauważył Win.

- Ale wiedzą, a przez to my jesteśmy zdani na ich łaskę. - Morgan potrząsał w stronę Wina swoimi okularami do czytania. - I to ty powinieneś być najbardziej wściekły, bo jesteś z pierwszego pokolenia, które dorastało, gdy wszyscy wiedzieli i patrzyli na ciebie inaczej.

Win westchnął. Właśnie tego ojciec nie był w stanie zrozumieć. Win nie był wściekły. Jeśli już, to był sfrustrowany. Skoro wszyscy wiedzieli, to dlaczego nikt o tym nie rozmawiał? Dlaczego jego rodzina nadal zostawała na noc w domu? Dlaczego tak się trzymali zwyczajów które obecnie najnormalniej w świecie nie miały sensu? Jesh ludzie spoglądali na Wina inaczej, to dlatego, a nie z powodu jakiejś dziwnej przypadłości Coffeyów, której świadkami byli tylko raz ponad dwadzieścia lat temu Kto powiedział, że nie można tego zmienić? Nikt nawet nie spróbował.

- Nie sądzę, aby Emily wiedziała - odrzekł Win. -Matka jej chyba o tym nie powiedziała.

- Przestań - ostrzegł go ojciec. - Cokolwiek roisz sobie w głowie, przestań. Emily Benedict jest tematem zakazanym. Koniec dyskusji.

Do pokoju weszła kobieta w białej sukience i fartuszk. Przyniosła tacę ze srebrnym serwisem do herbaty. Ojciec Wina posłał mu spojrzenie mówiące: „Bądź teraz cicho”. Rzadko kiedy rozmawiali o tym między sobą - prawdę mówiąc, Winowi czasami wydawało się, że jego matka zapomniała i wydawała się przez to o wiele szczęśliwsza - lecz nigdy, przenigdy w obecności służby.

Win obrócił się na pięcie i podszedł do odległego rogu pokoju, gdzie siedziała jego siostra Kylie. Wyciągnęła swój telefon i pisała SMS-a, choć o zmierzchu, tuż przed

kolacją, u Coffeyów się czytało. Była to rodzinna tradycja sięgająca kilkuset lat wstecz. Organizowała ich życie wieczorami, kiedy to z powodu swojego sekretu byli zmuszeni zostać w domu - nawet w tak piękne, letnie noce jak ta dzisiejsza. Win nie widział już w tym sensu, a miał ogromną ochotę wyjść na zewnątrz. Czuł, że ten problem narasta od miesięcy. Nie chciał już wymykać się z domu, jakby było z nim coś nie tak.

Usiadł obok siostry i przez parę minut obserwował, jak go ignoruje. Win był starszy od Kylie o prawie dwa lata i gdy byli dziećmi, wszędzie za nim chodziła. Niedługo skończy szesnaście lat, lecz nadal to robi - nie wiadomo, czy po to, żeby go dręczyć, czy chronić. Nie był pewien, czy nawet ona wiedziała.

- Nie powinieneś tego sprawdzać - zaczęła Kylie. - Na twoim miejscu trzymałabym się od tej dziewczyny z daleka.

- Może chcę tylko poznać swojego wroga. Niepokoiła go ta nagła, niespodziewana fascynacja

Emily, jej niesfornymi blond włosami, ostrym zarysem jej twarzy i ciała. Kiedy rankiem uścisnął jej dłoń, nie chciał jej puszczać. Było w niej coś bezbronnego, coś miękkiego kryło się pod tymi wyrazistymi rysami. Cały dzień o niej rozmyślał. Przyjazd córki Dulcie Shelby w momencie, gdy on zakwestionował sposób życia swojej rodziny, nie mógł być zwykłym zbiegiem okoliczności. Może był to jakiś znak.

Tak. Właśnie tak. To musiał być znak.

- Dzisiaj znów wyjdę - stwierdził nagle. - Nie mów tacie. I nie idź za mną.

Kylie przewróciła oczami.

- Po co w ogóle próbujesz? Gdybyś mnie zapytał to bym ci powiedziała, że to wcale nie jest takie fajne

- Ale co?

- Bycie zwyczajnym.

- Julio! Czy możesz, proszę, otworzyć drzwi? - zawołała z dołu Stella tego samego wieczoru.

Julia robiła właśnie drugie podejście do wyjęcia magdalenek z piekarnika. Zmarszczyła brwi nad foremka Nadal nie były gotowe.

Stella wrzasnęła ponownie: - Julio! To Sawyer, a ja nadal jestem w wannie! Julia westchnęła. Dziś już widziała się z Sawyerem *i* ten jeden raz jej wystarczył. Jeśli chciała przetrwać do końca pobytu w Mullaby bez szwanku, nie mogła się z nim zadawać.

Wytarła ręce w dzinsy i zeszła na dół, stąpając po stopniach niczym Godzilla, żeby zirytować tym Stellę, której łazienkajdnadawałasiepod schodami. Przez przejrzyste zasłonki zawieszane w oknie drzwi wejściowych zobaczyła sylwetkę podświetloną od strony werandy.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi, ale gdy ujrzała gościa, uśmiechnęła się z ulgą.

Emily przestępowała z nogi na nogę. Miała na sobie to samo ubranie co rano - czarne szorty i czarną bokserkę. W świetle lampy przy wejściu jej dziwaczne blond włosy błyszczały jak merenga.

- Cześć, Julio - przywitała się. - Nie przeszkadzam?

- Ależ skąd. - Julia zaprosiła ją do środka, po czym cofnęła się, by zrobić jej przejście.

Kiedy powiedziała Emily, że będzie na miejscu, gdyby ta jej potrzebowała, nie miała pojęcia, że dziewczyna skorzysta z jej propozycji tak od razu. Niemniej na widok Emily rozglądającej się dookoła z zakłopotaniem ogarnęło ją współczucie. Bycie outsiderem nigdy nie było łatwe, a już zwłaszcza gdy się nie miało wyboru.

- Ładnie tu u ciebie - rzekła Emily.

Część domu zamieszкана przez Stellę dzięki staraniom jej matki dekoratorki była ciepła i urocza. Były tu drewniane podłogi o złocistym połysku, jaskrawe aranżacje z kwiatów, oryginalne prace różnych artystów i sofa obita jedwabną tkaniną w paski, na której Stella nikomu nie pozwalała siadać.

- Nie u mnie. Parter należy do mojej przyjaciółki Stelli. Ja pomieszkuję na górze.

Akurat w tym momencie Stella zawołała:

- Cześć Sawyer! Nie mam na sobie nic prócz kropelek wody, chcesz zobaczyć?

- To nie Sawyer - odkrzyknęła jej Julia. - Nie wierzę, że czekasz na niego w wannie. Wyłaź, zanim zostanie z ciebie pomarszczona sułtanka. - Emily uniosła brwi, zaś Julia odparła: - To była Stella. Nawet nie pytaj. Choć, pokażę ci moja część domu. - Zaczęła wchodzić po schodach i gestem wskazała, aby Emily poszła za nią.

W wąskim korytarzu u szczytu schodów Julia musiała się cofnąć, by wpuścić Emily do środka, po czym sięgnęła za jej ramię i zamknęła drzwi.

- Pozwól tylko, że wyłączę piecyk - powiedziała, idąc do sypialni, którą przerobiła na małą kuchnię.

W pokoju panowała magiczna i gorączkowa atmosfera. Połyskujące kłęby cukru i mąki nadal wisiały w powietrzu jak ogony latawców. Był tam jeszcze zapach z rodzaju tych, które dają nadzieję i sprowadzają ludzi do domu. Tego wieczoru zrumienione masło podnosiło na duchu, a tarta skórka cytrynowa budziła pozytywne emocje.

Okno w kuchni było szeroko otwarte, bo właśnie przy takim Julia zawsze piekła. Zamykanie aromatu w pomieszczeniu nie miało sensu - przecież wiadomość musiała wydostać się na zewnątrz.

- Co przyrządzasz? - zapytała stojąca w drzwiach Emily, gdy Julia wyłączała piecyk.

- Eksperymentuję z przepisami, zanim wypieki trafią do restauracji. Moje magdalenki nie są jeszcze zadowolające. - Julia uniosła ciasteczko z pierwszej

partii. - Spójrz sama. Magdalenka powinna mieć po tej stronie wyraźne wybrzuszenie. Ta jest zbyt płaska. Chyba za krótko chłodziłam masło w lodówce. - Wzięła rękę Emily i położyła na jej dłoni małe, gąbczaste ciastko. - Tak serwują magdalenki Francuzi, muszelką do dołu, jak statek. W Ameryce lubimy, gdy ta ładna muszelka odbita z foremki leży na wierzchu, więc podajemy je w ten sposób. - Obróciła magdalenkę. - No, dalej, spróbuj.

Emily ugryzła kawałek i uśmiechnęła się. Zakryła usta dłonią i powiedziała z pełnymi ustami:

- Jesteś wyśmienitą kucharką.

- Dużo ćwiczyłam. Piekę od szesnastego roku życia.

- Pewnie miło mieć taki dar. Julia wzruszyła ramionami.

- Nie ma w tym mojej zasługi. Otrzymałam go. Czasami miała o to żal. Sama nigdy nie odkryłaby

w sobie tego talentu. Tylko dzięki komuś innemu poznała, w czym tak naprawdę jest dobra. Musiała sobie powtarzać, że nie ma znaczenia, jak do tego doszło, tylko jak potem wykorzystwała swoje umiejętności i ile dobra z tego wynikło. Emily wyglądała, jakby chciała ją zapytać, co ma na myśli, więc Julia pośpiesznie dodała:

- Jak ci minął twój pierwszy dzień tutaj?

Jeszcze jeden kęs i Emily skończyła magdalenkę. Przez chwilę przeżuwała ją, po czym przełknęła i odparła:

- Niektóre sprawy są dla mnie niejasne.

Julia skrzyżowała ręce na piersi i oparła się biodrem o staroświecką lodówkę w kolorze khaki.

- Na przykład które?

- Nie wiem, dlaczego mama wyjechała z Mullaby. Dlaczego nie utrzymywała kontaktów z ludźmi stąd. Miała przyjaciół? Jaka była, kiedy tu mieszkała?

Julia ze zdziwienia zamilkła. Emily musiała się jeszcze wiele dowiedzieć: o mieście i o spustoszeniu, jakie siała jej matka. Lecz Julia nie zamierzała jej o tym opowiadać.

- Jak już mówiłam, nie znałam jej zbyt dobrze - zaczęła ostrożnie Julia. - W szkole nie należałyśmy do tej samej sfery i miałam wtedy swoje własne problemy. Rozmawiałaś z dziadkiem? To jego powinnaś zapytać.

- Nie. - Emily zgarnęła do tyłu swoje krótkie, zmierzwione włosy. W jej zachowaniu widać było bolesną szczerość. - Cały dzień chował się w swoim pokoju. Czy mieli z mamą dobry kontakt? Sądzisz, że to przez niego nigdy nie wróciła?

- Nie, na pewno nie. Vance dogaduje się z wszystkimi. Chodź, usiądziemy. - Julia otoczyła Emily ramieniem i wyprowadziła ją z sypialni kuchennej do salonowej.

W tym pokoju znajdowała się jedyna ładna rzecz w jej mieszkaniu - dwuosobowa kobaltowa sofa pochodząca z dekoratorskiego showroomu matki Stelli. Poza tym na starym stoliku kawowym stał telewizor, a na półkach chwiejącego się regału - garnki i patelnie, które nie



zmieściły się w kuchni. Po przeprowadzce tutaj Julia oddała większość swoich rzeczy na przechowanie w Baltimore. Zabrała ze sobą tylko ubrania i sprzęty kuchenne, co nie przysłużyło się jej mieszkaniu. Było obskurne i skąpo wyposażone, ale nie przeszkadzało jej to. Wicie tu sobie gniazdko nie miało sensu. Gdy usiadły, Julia rzekła:

- Mogę ci tylko powiedzieć, że twoja mama była w szkole najpiękniejszą i najpopularniejszą dziewczyną. Zdawało się, że nie wkłada w to najmniejszego wysiłku. Doskonałe ubrania. Doskonałe włosy. Była skończenie pewna siebie. Należała do grupy o nazwie Sassafras, której członkinie pochodziły z bogatych rodzin. Nie byłam jedną z nich.

Emily była wstrząśnięta.

- Mama była popularna w szkole? Dziadek Vance był bogaty?

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam na chwilę. - Powiedziała Julia, wstając z miejsca. Była pewna, że to Stella, więc gdy otworzyła drzwi, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Poczła powiew powietrza pachnącego świeżo skoszoną trawą i ujrzała Sawyera stojącego u szczytu schodów.

- Przyniosłem pizzę - rzekł z uśmiechem. - Chodź na dół.

Niewątpliwie coś było na rzeczy. Przez półtora roku czwartkowych posiadówek ze Stellą Sawyer ani razu nie poprosił, by zeszła do nich na pizzę.

- Dzięki, ale nie mogę. - Zrobiła krok w tył, aby zamknąć drzwi.

Nachylił się do niej.

- Gdybym cię nie znał, rzekłbym, że jesteś zawstydzona.

To ją powstrzymało.

- Zawstydzona? Niby czym?

- Tym, że już wiem, że pieczesz ciasta dla mnie. Prychnęła.

- Nigdy nie mówiłam, że piekę je dla ciebie. Stwierdziłam tylko, że piekę je przez ciebie.

- Więc jednak to powiedziałaś - odparł. Spojrzała mu prosto w oczy. Owszem, to była prawda

choć teraz wolałaby, żeby to było kłamstwo. Podczas ich jedynej wspólnej nocy leżeli obok siebie na szkolnym boisku do futbolu i wpatrywali się w tak rozgwieżdżone niebo, jakiego nie widziała ani wcześniej, ani później Opowiedział jej wtedy o tym, że kiedyś, w letnie popołudnie, jego matka piekła ciasta i nieważne, gdzie się wtedy znajdował - wracał wtedy do domu. Jego drogowskazem był cukier puder unoszący się na wietrze niczym pyłek kwiatowy. Jak mówił, wyczuwał go. Dostrzegał.

Ciasta miały moc przywoływania - tego się od niego nauczyła.

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, iż powiedziałam, że piekę ciasta przez ludzi takich jak ty - odpowiedziała w końcu. - Przecież jesteś moim docelowym klientem

Posłał jej niedowierzające spojrzenie, lecz mimo to uśmiechnął się.

- Ładnie z tego wybrnęłaś.

- Dziękuję.

Nad jej ramieniem zajrzał do pokoju. Nigdy wcześniej nie był w jej mieszkaniu i tym razem również nie zamierzała zapraszać go do środka. W przeciwieństwie do Sawyera, nie dorastała w bogatej rodzinie. Nieco zadziorne i artystyczne rzeczy, które miała w Baltimore, były całkiem ładne i to one coś o niej mówiły, a nie te tutaj. Nie chciała, żeby je oglądał.

- Ależ tu przyjemnie pachnie - stwierdził. - Chciałbym zamieszkać w twojej kuchni.

- Za mało miejsca. I piekę tu wyłącznie w czwartki.

- Wiem o tym. Stella mi powiedziała zaraz po tym, jak się tu przeniosłaś. Myślałaś, że dlaczego zawsze wpadam w czwartki?

Nigdy go o to nie podejrzewała. Dobrze się kamuflował.

- Nie mogę iść na dół, bo mam gościa. Bawcie się dobrze ze Stellą.

Zamknęła drzwi i oparła się o nie, robiąc głęboki wydech. Po chwili zorientowała się, iż nie słyszała kroków Sawyera na schodach. Przekręciła głowę i przyłożyła ucho do drzwi. Czy nadal tam stał? Wreszcie Sawyer się poruszył i usłyszała, jak schodzi na dół.

Odepchnęła się od drzwi i wróciła do salonu.

- Wybacz, że tyle to trwało.

- Jeśli jesteś zajęta, mogę wrócić później - odparła Emily.

- Nie wygłupiaj się.

- No to... skoro moja mama była popularna, pewnie wszyscy ją lubili?

Julia zawahała się, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległo się kolejne pukanie do drzwi.

- Znow muszę cię przeprosić.

- Kto do ciebie przyszedł? - Stella zażądała odpowiedzi, gdy tylko Julia otworzyła drzwi. Stella miała egzotyczną urodę: szeroką twarz z migdałowymi oczami i proste, ciemne brwi. Miała na sobie kimonowy szlafrok, a ciemne włosy upięła w kok. Kilka kosmyków nadal mokrych po kąpielii kleiło się jej do szyi. - Sawyer powiedział, że masz gościa. Spotykasz się z kimś? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Kto to?

- Nie twój interes - odparła Julia, bo wiedziała, że doprowadzi tym Stellę do szału.

Nadal nie wybaczyła jej historii z ciastem i uznała, że ma niezłą czelność, wpytując o to, z kim Julia się spotyka, choć sama nawet nie zająknęła się, że trzy lata temu poszła do łóżka z Sawyerem.

Julia zamknęła drzwi, lecz gdy wróciła do salonu, znow rozległo się pukanie. Nie ustawało ani na chwilę. Tym razem Stella miała rozczochrane włosy.

- Nie przestanie, dopóki cię nie pozna - Julia powiedziała Emily. - Pozwolisz?

Emily zdawała się chętna i podążyła za nią na korytarz. Gdy tylko Julia ponownie otworzyła drzwi, Stella zaczęła:

- Nie pójdę, dopóki... - Przerwała, kiedy Julia pociągnęła drzwi bardziej do siebie, ujawniając Emily, która stała obok niej.

- To wnuczka Vance'a Shelby'ego - przedstawiła ją Julia. - Emily, to jest Stella Ferris.

Stella nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Emily wpadła do mnie, żeby zapytać, jaka była jej matka, gdy tu mieszkała.

Stella szybko doszła do siebie.

- Cóż, cudownie cię widzieć, Emily! Sawyer i ja przyjaźniliśmy się z twoją matką. Chodź, dołącz do nas. Zjemy razem pizzę i wyciągnę szkolne albumy.

Kiedy Stella usunęła się na bok, Emily bez wahania zbiegła po schodach. Dopóki nie zrobiła czegoś takiego, widząc eleganckie rysy jej twarzy i wysoką, smukłą sylwetkę, można było łatwo zapomnieć, ile ma lat.

Zanim Stella podążyła za nią, Julia chwyciła za rękaw jej szlafroka.

- Tylko nie mów, co zrobiła jej matka, Stella wyglądała na urażoną.

- Co się z tobą dzieje? Nie jestem ogrem.

Emily z niecierpliwością czekała, aż zejda na dół. Gdy się tam znalazły, Stella poszła do kuchni przodem w teatralnie powiewającym szlafroku.

Sawyer był zwrócony w ich stronę plecami i z rękami w kieszeniach wyglądał przez kuchenne okno. Odwrócił się, gdy je usłyszał. Na widok Emily uniósł wysoko brwi.

- Dzień dobry. Kim jest ta śliczna, młoda dama? -Zapytał akcentując słowo „dama”, jakby do kuchni weszła właśnie piękna kobieta w białych rękawiczkach. Zarówno w przypadku Stelli, jak i Sawyera wyszukane maniery w obecności nieznajomych były czymś oczywistym - zawsze zdradzało to ich pochodzenie.

- Właśnie ją gościła Julia, Sawyerze, więc możesz przestać się dąsać. To Emily, córka Dulcie Shelby - rzekła Stella z naciskiem.

Sawyer niczego nie dał po sobie poznać.

- Miło cię poznać. - Wyciągnął przed siebie dłoń, Emily zaś ją uścisnęła. Prawdę mówiąc, zachichotała nieco, choć zdaniem Julii nie sprawiała wrażenia śmieszki. - Zjedzmy pizzę, póki jest gorąca. Julio? - Sawyer podszedł do kuchennego stołu i przyniósł dla niej krzesło, przez co nie zostawił jej wielkiego wyboru.

Stella rozłożyła napoje i papierowe serwetki, potem zaś bez zbędnych ceregieli zjedli wegetariańską pizzę prosto z pudełka. Julia jadła swój kawałek szybko, żeby zaraz wrócić na górę, Sawyer zachowywał się naturalnie i był odprężony, przy czym uśmiechał się tak, jakby wiedział, co Julia zamierza zrobić. A Stella, zasiadając do kolacji w szlafroku, czuła się tak swobodnie, jakby

miała na sobie garnitur od Diora. Emily zaś przyglądała się całej trójce niczym nierozpakowanym prezentom.

- Czyli mówicie, że wy dwoje znaliście moją mamę? - zapytała w końcu Emily, gdy nie mogła się już powstrzymać.

- Owszem, i to całkiem dobrze - odparła Stella. - Byłyśmy razem z Dulcie w zgranej paczce koleżanek.

- Sassafras? - podsunęła Emily.

- Tak. Sawyer spotykał się z Holly, która też należała do naszej grupy, więc był jednym z honorowych członków.

- Nie przyjaźniliście się z Julią?

- W tamtych czasach z nikim się nie przyjaźniłam - odpowiedziała Julia.

Zaciekawiona Emily odwróciła się do niej. Miała sos do pizzy na górnej wardze. Julia uśmiechnęła się i podała jej serwetkę.

- Dlaczego? - dociekała Emily, wycierając usta.

- Ciężko jest być nastolatkiem. Wszyscy to wiemy. Sassafras znosiły to łatwo. Ze mną było gorzej.

- Czym się zajmowały Sassafras? - zapytała Emily. - Pracami społecznymi? Kwestowaniem?

Stella wybuchnęła śmiechem.

- Nie tworzyłyśmy takiej grupy. Pozwól, że przyniosę szkolne albumy.

Wrzuciła do pudełka twardy brzeg pizzy i wyszła z kuchni. Wróciła w ciągu paru minut. Najprawdopodobniej

była jedyną osobą na świecie, która wiedziała, gdzie szukać swoich szkolnych albumów bez przekopywania się przez szafy czy wykonania telefonu do rodziców.

- Oto są. - Na stole w pobliżu Emily położyła zielono-srebrną księgę ozdobioną słowami „DOM WALCZĄCYCH KOTÓW!” i ją otworzyła. - To właśnie Sassafras. Twoja matka, rzecz jasna, stoi w środku. Odbywałyśmy narady codziennie rano przed zajęciami na schodach przy wejściu do szkoły. A to twoja matka na uroczystości homecoming. Tutaj jako królowa balu maturalnego. A tu Sawyer w drużynie piłkarskiej.

Sawyer pokręcił głową.

- Rzadko kiedy grałem mecze. Stella utkwiała w nim spojrzenie.

- To dlatego, że nie chciałeś doznać uszczerbku na swojej urodzie.

- Niezła wymówka.

Stella przewróciła kolejną stronę.

- A to Julia.

Na zdjęciu samotnie jadła lunch, siedząc w ostatnim rzędzie na trybunach boiska do futbolu. To było jej terytorium. Przed szkołą, w porze lunchu, na wagarach, a czasami nawet w nocy czuła się tam bezpiecznie.

- Ale miałaś długie włosy! I całe różowe! - rzekła Emily i zaczęła przypatrywać się zdjęciu. - Umalowałaś się czarną szminką?



- Owszem.

- W tamtych czasach nie wiedzieliśmy, co o niej myśleć - wtrąciła Stella.

Julia posłała jej uśmiech i potrząsnęła głową.

- Byłam nieszkodliwa.

- Może dla innych - mruknął Sawyer, Julia zaś odruchowo naciągnęła rękawy koszuli.

- Po drugiej klasie ojciec Julii wysłał ją do szkoły z internatem - powiedziała Stella, gdy Julia odwróciła się w jej stronę. - Długo nie wracała. A kiedy wróciła, nikt jej nie poznał.

- Ja poznałem - zastrzegł się Sawyer. Stella przewróciła oczami.

- Wiadomo, że ty poznałeś.

Emily ślęczała teraz nad albumem: przerzucała kolejne strony, zatrzymując się za każdym razem, gdy natrafiła na zdjęcie matki.

- Spójrzcie! - zawołała. - Tutaj mama nosi swoją bransoletkę z zawieszka! Właśnie tę! - Emily uniosła swój nadgarstek.

Julia uświadomiła sobie, że ze znajomą tęsknotą w sercu wpatruje się w profil Emily. Odruchowo sięgnęła ręką i odgarnęła włosy z jej oczu. Emily niczego nie zauważyła, lecz kiedy Julia uniosła wzrok i spojrzała na drugą stronę stołu, dostrzegła, że Sawyer i Stella wpatrują się w nią, jakby właśnie wyrosła jej druga głowa.

- Kto stoi obok mojej mamy? - zapytała Emily, wskazując na ciemnowłosego chłopca ubranego w elegancki garnitur i muchę. - Pojawiają się razem na wielu zdjęciach.

- To Logan Coffey - odparła Julia.

- Czyli to o nim mówił. - Emily z uśmiechem rozparła się na siedzeniu. - Spotkałam dziś Wina Coffeya Wspomniał, że Logan Coffey był jego stryjkiem. Wydawał się zaskoczony tym, że o nim nie słyszałam.

„A niech to”, pomyślała Julia. „Zmierzamy w złym kierunku”.

- Czy mama i Logan Coffey chodzili ze sobą? - spytała Emily. <sup>r/</sup>

- Wszyscy się nad tym zastanawialiśmy. Oboje zaprzeczali - ostrożnie odpowiedziała Julia. - W zasadzie był z niego nieśmiały, skryty chłopak, którego twoja matka próbowała wyciągnąć do ludzi.

- Czy on tu nadal mieszka? Myślicie, że mogłabym z nim porozmawiać o mamie?

Zaległa przenikliwa cisza. Nikt nie miał ochoty jej powiedzieć. W końcu odezwała się Julia:

- Logan Coffey zmarł wiele lat temu, skarbie.

- Och. - Jakby wyczuwając zmianę nastroju, Emily z ociąganiem zamknęła księgę. - Chyba powinnam już wracać do domu. Dziękuję, że pozwoliłaś mi przejrzeć album.

Stella machnęła ręką.

- Zabierz go ze sobą. To było dziesięć kilogramów temu. Nie muszę sobie o tym przypominać.

- Naprawdę? Dziękuję!

Gdy Emily wstała, Julia zrobiła to samo, po czym odprowadziła ją do drzwi i życzyła dobrej nocy. Spoglądała za nią, dopóki Emily nie ulotniła się pod sklepieniem drzew przy sąsiednim domu.

Kiedy Julia wróciła do środka, Stella czekała na nią z rękami opartymi na biodrach.

- Co jest grane?

- O co ci chodzi?

- Dlaczego tak się przy niej zachowujesz?

- Niby jak? Normalnie - Julia zmarszczyła czoło. - Czemu patrzysz na mnie w ten sposób?

- Po prostu jestem zaskoczona. Przecież nie ma na Ziemi kobiety z mniejszym instynktem macierzyńskim niż ty. - Stella zaśmiała się, lecz spoważniała na widok wyrazu twarzy Julii.

Julia przywykła już do ludzi, którzy mówili o niej w ten sposób, ale to nie znaczy, że było jej łatwo. To cena, jaką płaciła za to, że miała trzydzieści sześć lat i nie przejawiała zainteresowania dzieleniem życia z kimkolwiek.

- Och, nie miałam złych intencji - powiedziała Stella. I Julia wiedziała, że to prawda. Tak samo było w przypadku jej znajomych z Baltimore, gdy mówili: „Za bardzo kochasz swoją niezależność” albo „Nie możesz być mamą, bo byłabyś bardziej czadowa niż twoje

nastoletnie dziecko". - Chodźmy na tylną werandę i napijmy się wina.

- Dzięki, ale nie.

- Julio...

- Wiem, że masz tu coś słodkiego - zawołał z kuchni Sawyer.

Zawtórowały mu trzaski zamykanych szafek. Stella przewróciła oczami.

- Ten facet potrafi znaleźć moje ukryte zapasy czekoladek bez względu na to, gdzie je schowam.

- Daj mu je, zanim spróbuje napaść na moją kuchnię - odparła Julia, idąc w kierunku schodów. - Przede mną jeszcze sporo pracy.

Kiedy Emily wróciła do domu, usiadła na balkonie z albumem na kolanach. Parę godzin wcześniej przeczesała szafę i wszystkie szuflady w sypialni w poszukiwaniu... czegoś. Jakiejś wskazówki co do czasu, kiedy mieszkała tu jej matka. Nabrała dziwnych podejrzeń, że jest coś, o czym powinna wiedzieć, a czego nikt jej nie chce wyjaśnić. Jednak wyłącznie imię jej matki na zakurzonej kufrze stojącym przy łóżku wskazywało na to, że Dulcie kiedykolwiek tu mieszkała. W pokoju nie było żadnych osobistych rzeczy: ani zdjęć, ani starych listów, ani nawet szala czy kolczyka, który by się kiedyś tu zawieruszył. Dlatego Emily poszła do Julii. Z początku czuła się

skrępowana tą wizytą, ale teraz cieszyła się, iż się na nią zdecydowała. Album okazał się prawdziwym skarbem, choć wywołał zamęt w jej głowie. Jedną z zasad szkoły dla dziewcząt w Roxley był brak systemu kastowego, klasowych liderów, szkolnych wyborów. Zatem jak to możliwe, że jej matka była królową balu maturalnego?

Emily przypomniała sobie, że matka nie pozwalała jej chodzić do galerii handlowych, bo miała tam miejsce otwarta rywalizacja - każdy chciał pierwszy zdobyć jak najlepsze rzeczy. Stale powtarzała też, że o poczuciu własnej wartości nie można decydować to, czy podąża się za modą, tak więc w szkole w Roxley obowiązywały mundurki. Mimo to na zdjęciach w albumie jej matka nosi najmodniejsze ubrania końca lat osiemdziesiątych i ma nastroszone włosy obficie spryskane lakierem.

Może wstydziła się tego, jaka była w młodości. Może sądziła, że jeśli wyjawi swoją księżniczkową przeszłość, ucierpi na tym jej reputacja aktywistki.

Niemniej wydaje się to dziwacznym powodem, by już nigdy tu nie wracać.

Wtem nocną ciszę przerwały głosy dobiegające z tylnej werandy sąsiedniego domu. Emily podniosła wzrok znad albumu. Kobięcy śmiech. Brzęk kieliszków.

Słyszając to, uśmiechnęła się i rozparła na krześle. Siedziała przy starym stole ogrodowym, z którego sprzątnęła liście. Gwiazdy prześwitywały między pokręconymi gałęziami drzew niczym bożonarodzeniowe lampki.

Jakaś część pustki, którą odczuwała, powoli zaczynała się wypełniać. Oczekiwała po tym przyjeździe zbyt wiele. Nie było tu doskonale, ale na pewno będzie coraz lepiej. Udało jej się nawet zaprzyjaźnić z sąsiadami.

Wciągnęła w płuca gorące, wieczorne powietrze o słodkim zapachu i zaczęła ją ogarniać senność.

Zamierzała zamknąć oczy tylko na chwilę, lecz prawie natychmiast zapadła w sen.

Kiedy się przebudziła, nadal było ciemno. Parę razy zamrugnęła oczami, zastanawiając się, jak długo spała i która może być godzina.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że album spadł z jej kolan na liście przykrywające balkonową podłogę. Mimo ze-sztywniałych pleców pochyliła się, by go podnieść. Gdy się wyprostowała, przebiegły po niej dreszcze.

Światło powróciło! To samo, o którym Julia mówiła, że ludzie biorą je za ducha.

Zamarła wpatrzona w skraj lasu za ogrodową altaną dziadka Vance'a. Światło nie zniknęło tak jak ubiegłej nocy. Zamiast tego utrzymywało się i goniąc między drzewami, co rusz przystawało.

Czy ono... czy ono ją obserwowało?

Pospiesznie spojrzała na dom obok. W oknach było ciemno. Nikt prócz niej tego nie oglądał.

Odwróciła się z powrotem do światła. Co to było?

Zmusiła się, żeby wstać i powoli iść do pokoju. Położyła album na łóżko i na moment zastygła w bezruchu. Nie miała pojęcia, co ją naszło, lecz uderzając nagimi stopami o drewnianą podłogę, gwałtownie poderwała się do biegu. Na dole przy pokoju dziadka Vance'a zwolniła, żeby nie zbudzić go hałasem, lecz potem znów wystartowała. Jej plan pokrzyżowały trochę drzwi w kuchni, lecz pogmerawszy chwilę w zamku, udało jej się go otworzyć. Wybiegła na zewnątrz.

Światło nadal tam było! Pobiegnęła za nim do lasu za altaną. Światło zaczęło się pospiesznie wycofywać, a Emily usłyszała, jak pod czyimiś stopami szeleszczą liście. Stopami?

Duchy nie mają stóp.

Po około pięciu minutach pogoni przy świetle księżycy - z uniesionymi rękami, by odgarniać nisko rosnące gałęzie - uświadomiła sobie, iż nie ma pojęcia, dokąd zmierza i gdzie ten posepny las się kończy. Wtem światło zniknęło i padł na nią blady strach. Co ona wyprawia? Lecz po paru krokach niespodziewanie wyszła z gęstwiny. Stała, żeby złapać oddech, a ból przypomniawszy jej, że biegła boso. Uniosła stopę i zobaczyła cienką strużkę krwi. Zraniła się w piętę.

W ciszy doszedł ją wyraźny dźwięk zamykanych drzwi.

Uniosła głowę, rozejrzała się dokoła i uświadomiła sobie, że stoi w środku parku przed starymi rezydencjami z cegły przy Main Street. Las za domem dziadka Vance'a musiał biec zygzakiem między okolicznymi domami, tworząc jakiś zwariowany labirynt, który kończył się tutaj, pod altaną z wiatrowskazem w kształcie półksiężyca. Spojrzała w dół i w górę ulicy, po czym z powrotem w stronę lasu. Przecież widziała, że światło zgasło właśnie tutaj.

Wróciła do domu dłuższą drogą - chodnikami. Kulą i kręciło jej się w głowie. Nie mogła uwierzyć, że tak po prostu, w środku nocy, pobiegła przez las, goniąc tak zwanego ducha. Zupełnie to do niej nie pasowało.

Przy domu dziadka Vance'a przypomniało jej się, że drzwi frontowe są zamknięte, więc musi wejść od strony ogrodu. Gdy podeszła do rogu budynku, ujrzała poblask światła.

Lampa na tylnej werandzie była zapalona.

Najwyraźniej dziadek Vance słyszał, jak wybiegła, i czekał teraz na jej powrót. Westchnęła. Konieczne było aż bieganie po nocy, żeby wyciągnąć go z jego pokoju. Jak ona się z tego wytłumaczy? Utykając, doszła do werandy i prawie przewróciła się o coś leżącego przy drzwiach do kuchni.

Schyliła się i podniosła pudełko plastrów samoprzylepnych.



Ciszę zmaćił szelest liści. Obróciła się ze stłumionym okrzykiem w samą porę, by dostrzec białe światło ponownie znikające w lesie - jakby nigdzie się stamtąd nie ruszało.

Wkrótce odkryła, iż przez ten cały czas dziadek Vance spał w najlepsze.

## ROZDZIAŁ 4

Następnego ranka z okna swojej sypialni Win obserwował Vance'a Shelby ego, który szedł chodnikiem w stronę części usługowej Main Street. Z naukowego punktu widzenia był ciekawym okazem, a Win nieczęsto spoglądał na rzeczy z tej perspektywy. Nauczył się nie oczekiwać od ludzi dowodów ani samemu ich nie dawać. Niemniej Vance Shelby niczym modliszka był przystosowany do chwytania, ukrywania, osłaniania. Nie spodobałoby mu się, że Win zainteresował się Emily. Było to niezbyt fortunne, lecz nie do uniknięcia.

- Winie! - zawołał z dołu jego ojciec. - Już jasno. Idziemy.

Win wyszedł ze swojego pokoju i zszedł po długich marmurowych schodach do foyer, gdzie czekał na niego ojciec. Choć w czasie ich wspólnych wyjść Win często

się nudził, nie był im tak przeciwny jak wtedy, gdy był dzieckiem. Morgan Coffey lubił wychodzić wcześniej, żeby powitać właścicieli sklepów i turystów. Od kiedy Win skończył pięć lat, Morgan zabierał go na te wyprawy PR-owe. Win podejrzewał, iż po to by go przysposabiać. Żeby wiedział, czego się od niego oczekuje. Każdego ranka odwiedzali inną restaurację, gdzie Morgan ze wszystkimi ucinał sobie pogawędkę. Dla Wina była to po prostu okazja, żeby wyrwać się z domu tak wcześnie, jak to możliwe - o świcie. Nawet jeśli w tym celu musiał towarzyszyć ojcu, nie było to dla niego wielkie poświęcenie.

- Gotów? - spytał Morgan, gdy Win dołączył do niego na dole.

- A co, jeśli nie? - odparł Win.

Jego ojciec właśnie otwierał drzwi wejściowe. Morgan zlustrował go wzrokiem, zaczynając od czerwonej muszki, a kończąc na mokasynach.

- Wyglądasz, jakbyś był.

- No to pewnie jestem.

Morgan wziął głęboki wdech, by powstrzymać swój gniew.

- Za dużo sobie pozwalasz - odpowiedział.

Win musiał przyznać mu rację. Było za wcześnie na słowne utarczki.

Szli chodnikiem w dół ulicy. Vance gdzieś zniknął, co dla olbrzyma było nie lada wyczynem. Tego ranka

Morgan postanowił iść do baru Welchela. Kiedy weszli do środka, pospiesznie objął spojrzeniem całe pomieszczenie, po czym poprowadził Wina do stolika przy drzwiach. Morgan lubił witać wchodzących do lokalu. Najpierw celował w turystów i osoby, których nie rozpoznawał. Win często przyglądał mu się z podziwem. Jak na kogoś prawdziwie zadowolonego z życia w izolacji, Morgan Coffey zbyt mocno ekscytował się spotkaniami z ludźmi. Dlatego Win żywił nadzieję, iż ojciec w końcu zrozumie powody, dla których zamierzał zrealizować swój plan. Wszak właśnie temu służyły te poranki. Mogły być zamaskowanym PR-em, ale tak naprawdę chodziło w nich o akceptację.

Win nie wiedział, jak długo tam przebywali - podejrzewał, że raczej krótko, bo nie dostali jeszcze swojego zamówienia - lecz nagle ją zobaczył.

Emily przeszła obok baru wpatrzona przed siebie, a słońce oświetlało jej plecy. Jej ręce i nogi były długie. Tylko pod tym względem przypominała swojego dziadka. Ale Vance wyglądał, jakby był zbyt długi, zaś Emily wyglądała... doskonale.

Win odwrócił się, by sprawdzić, czy jego ojciec ją zauważył. Okazało się, że nie, gdyż bez wiedzy Wina odszedł od stolika. Morgan stał teraz po przeciwnej stronie baru i ścisnął komuś dłoń. Win przeniósł wzrok z powrotem na okno i pochylił się do przodu, by lepiej widzieć odchodzącą Emily. Rzucając ojcu ostatnie spojrzenie,

ściągnął z kolan serwetkę i położył ją na stole, po czym odsunął krzesło i pośpiesznie wymknął się z baru.

Podążał za Emily w pewnej odległości. Zauważył, iż tego ranka włożyła japonki, a na pięcie miała przyklejony plaster. Zatrzymał się, gdy dotarła do ławki przed J's Barbecue. Zastanawiał się, dlaczego nie weszła do środka. Nie wyglądała tak jak wczoraj rano - jakby miała zemdleć. Nie, czekała. Czekala, aż jej dziadek wyjdzie z restauracji. Uznał ten gest za uroczy, lecz również zdradzający samotność.

Dzieliły ich zaledwie dwa lub trzy fronty sklepów. Stał wystarczająco blisko, by Emily podniosła wzrok, kiedy Inez i Harriet Jones zaszły go od tyłu i zawołały chórem:

- Witaj, Winie!

Skrzyżował spojrzenie z Emily, zanim niechętnie przeniósł je na siostry. Inez i Harriet były starymi pannami, które z rodziną Coffeyów mieszkały po sąsiedzku przy Main Street. Wszędzie chodziły razem, nosiły podobne sukienki i tylko jedną torebkę. Dawno temu Coffeyowie chcieli wybudować między dwoma rezydencjami drogę do garażu stojącego za ich domem, by nie dojeżdżać do niego od tyłu następną ulicą. Siostry Jones wyraziły na to zgodę pod warunkiem, że Coffeyowie będą je zapraszać na drinki w trzeci wtorek każdego miesiąca. Tak więc ponad trzydzieści lat później sędziwe siostry Jones nadal, raz w miesiącu między szesnastą a siedemnastą, zasiadały na sofie w salonie Coffeyów.

- Dzień dobry, panno Jones. - Skinął głową w stronę Inez. - Panno Jones. - Tym razem w stronę Harriet.

- Widziałyśmy, jak wpatrujesz się w tę ślicznotkę, co tam stoi. - Powiedziała Inez, choć Win wolałby, żeby ugryzła się w język. Emily słyszała każde słowo.

Harriet niespodziewanie zasyczała i chwyciła Inez pod ramię.

- Siostró, wiesz, kto to jest?

- Czy to możliwe? - zapytała Inez, odwzajemniając jej uścisk.

- Tak, na pewno! - odparła Harriet.

- Co panie tu sprowadza tak wcześnie rano? - spytał Win, próbując zmienić temat.

Inez uciszyła go.

- Och, prawda, że podobna do swojej matki?

- Owszem, owszem.

- Czy mogę odprowadzić panie do domu? - Przerwał im Win. - Idę w tamtą stronę. - Wyciągnął ramię, próbując je stąd zabrać.

- Jej matka miała nie lada tupet, że ją tu przysłała -ciągnęła Inez. - Jak można zrobić coś takiego własnemu dziecku?

Harriet pokręciła głową. Obie otwarcie wbijały wzrok w Emily.

- Ona nigdy się tu nie wpasuje.

- Jak ten jej dziadek się nią zajmie? Ledwo jest w stanie zająć się sobą.

- Nie mam pojęcia, siostró - odpowiedziała jej Harriet. - Nie mam pojęcia.

Win ponownie wskazał im kierunek.

- Pójdźmy, miłe panie.

Inez pogroziła mu swoim gruzłowatym palcem.

- Tylko nie popełnij błędu swojego wujka, Winie. Nie daj się zwieść ładnej buzi. Co za tragedia. - Siostry spojrzały na niego ze współczuciem. - Wpatruj się w nią, ile dusza zapragnie, ale trzymaj się z daleka. My tak zrobimy. Okażemy tym wsparcie twojej rodzinie. Prawda, siostró?

- Tak będzie najlepiej.

Wreszcie zostawiły go i poszły do domu. Obie trzymały w ręce po jednym uchwycie torebki, która wisiała między nimi niczym jarzmo.

Win na moment zamknął oczy, po czym odwrócił się w stronę Emily.

Była bez wątpienia poruszona. Nie mógł jej za to winić.

Włożył ręce do kieszeni spodni i z udawaną nonszalancją podszedł do niej, mówiąc:

- Witaj ponownie.

Nie odpowiedziała. Podążyła wzrokiem za siostrami Jones, które toczyły się po chodniku. Win przeklinał je w duchu za brak taktu.

- Gdzie twój dziadek? Widziałem go wcześniej - rzekł, by skierować jej uwagę na inne tory.

- W środku - odparła. - Czekam na niego.

- Czemu nie zjesz z nim śniadania?

- Nie wiem, czy ma na to ochotę... Pomyślałam, że będzie lepiej, jak zaczekam. - Zmierzyła go wzrokiem. Chciała to zrobić subtelnie, lecz jej się nie udało. - Czy o tej porze zawsze chodzisz tak ubrany?

- To taka tradycja. - Wskazał na ławkę. - Pozwolisz? Skinęła głową.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytała, gdy już usiadł.

Skrzyżował nogi i starał się nie wyglądać na zbyt skorego do rozmowy, co byłoby podejrzane. Miał wrodzoną łatwość pozyskiwania sobie czyichś względów, lecz mimo to był zdenerwowany. Tak wiele od tego zależało.

- Pochodzę z Mullaby. Jestem stąd.

Zawahala się, jakby odpowiedział na zupełnie inne pytanie.

- Chodziło mi o wczoraj i dziś. Skąd tu przyszedłeś? Zaśmiał się.

- Och, ze śniadania z ojcem. Jak co rano.

- Czy tutaj każdy jada śniadanie przy Main Street?

- Nie każdy. Jak twoja stopa? - spytał bez patrzenia na jej nogę. Zamiast tego wpatrywał się w jej intensywnie niebieskie oczy. Nie takiej dziewczyny się spodziewał. Zupełnie nie takiej.

- Moja stopa?

- Wygląda na to, że zraniłaś się w piętę. Nieznacznie przekreśliła prawą stopę, by zobaczyć zaklejoną ranę.



- Och, rozcięłam ją czymś, kiedy biegłam na bosy po lesie.  
- Następnym razem powinnaś włożyć buty. Podniósłszy wzrok, zobaczyła, że Win się uśmiecha. Zmrużyła oczy.  
- Dzięki za troskę. Właśnie taki mam plan. Kim były te panie, z którymi rozmawiałaś? - zapytała.  
Westchnął z żalem.  
- Inez i Harriet Jones. Sąsiadki z domu obok.  
- Mówiły o mnie?  
Rozważył parę różnych odpowiedzi, lecz zdecydował się przytaknąć.  
- Wiedziały, kim jestem - ciągnęła. - Znały moją matkę.  
- Owszem.  
- Dlaczego uważają, że się nie wpasuję? Pokręcił głową.  
- Gdybyś musiała się tym przejmować, powiedziałbym ci. Naprawdę.  
- Brzmiało to tak, jakby nie lubiły mojej matki. Strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek. Z wierzchu wyglądał na spokojnego, lecz w środku łomotało mu serce.  
- Jeśli chcesz, bym ci o tym opowiedział, nie ma sprawy. - „Dobry Boże, co miałbym jej powiedzieć?”, pomyślał. - Uważam, że byłoby lepiej, gdybyś się dowiedziała, choć nie jestem pewien, czy ode mnie. Twoja matka

powinna była to zrobić. A przynajmniej twój dziadek mógł ci to teraz jakoś wytłumaczyć.

- Ale co? Wspomniały o twoim wujku? Czy to o niego chodzi?

- Tak. Łączą nas silne więzy. - Pochylił się w jej stronę i rzekł konspiracyjnym szeptem: - Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Zaciekawiona, przekrzywiła nieco głowę.

- Mówisz dziwne rzeczy.

- Poczekaj, będę mówił jeszcze dziwniejsze.

Obok nich przeszła krzykliwie ubrana starsza kobieta: była w szortach i stukała obcasami. Oboje patrzyli, jak wchodzi do I's Barbecue. Wtedy właśnie Win dostrzegł, że obserwuje ich siedzący wewnątrz Vance Shelby. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, iż nie trzeba się go obawiać, lecz mimo to w zdecydowanym spojrzeniu kogoś tak olbrzymiego było coś niepokojącego. Czy Vance wie, co Win ma zamiar zrobić? Emily niczego nie zauważyła, więc zaskoczyło ją to, że Win nagle wstał

i powiedział:

- Chyba powinienem już iść.

- Jak to? Zaczekaj, miałeś mi powiedzieć o tym, co nas łączy. O mojej matce i twoim wuju.

- Zrobię to, kiedy spotkamy się następnym razem. Do zobaczenia, Emily - rzucił na odchodne.

Siłą woli powstrzymał się, by nie obejrzeć się za nią aż do ostatniego możliwego momentu. Zrobił to tuż przed

tym, jak wszedł do baru, w którym zostawił ojca. Ona również za nim patrzyła.

Nie było już odwrotu.

Trafił na podatny grunt.

Była jawnie zaciekawiona.

## ROZDZIAŁ 5

Julia zdążyła upiec ciasta na dany dzień i zaczęła zapisywać je na tablicy, zanim w restauracji zjawiło się pierwszych czterech klientów. Przyszedł Vance Shelby i siedział teraz samotnie, czekając na resztę staruszków ze swojej grupy śniadaniowej. Pił kawę ze spodka zamiast z filiżanki, gdyż spodek miał szerszy brzeg i łatwiej mu było nim manewrować. Julie kusilo, żeby do niego podejść i porozmawiać o Emily, ale się powstrzymała. W końcu to nie jej interes. Zostanie tu jeszcze tylko przez kilka miesięcy, więc angażowanie się w tutejsze sprawy nie ma sensu. Do końca swojego pobytu będzie tylko tyle może zrobić. Vance z marsem na czole obserwował coś za oknem. Julia skończyła właśnie wypisywanie na tablicy specjałów dnia (ciasta Milky Way, tortu z orzechami pekan

cytrynowych ciasteczek w kształcie cygar i makaroników o smaku waniliowej herbaty), więc odłożyła kredę i odwróciła się, by zobaczyć, co takiego przykuło uwagę Vance'a.

Gdy tylko to zrobiła, rozległ się dźwięk dzwonka nad drzwiami i do środka weszła Beverly Dale, była macocha Julii.

Przynajmniej nie był to Sawyer.

Lecz z tej wizyty cieszyła się prawie tak samo.

- Julio! - rzekła Beverly, idąc chwiejnym krokiem do bufetu w swoich białych kaczuszkach. - Nie widziałyśmy się cztery niedziele z rzędu. Zawsze staram się tu być dostatecznie wcześnie, ale jak z pewnością pamiętasz, nie jestem rannym ptaszkiem. Wczoraj wieczorem powiedziałam sobie: „Beverly, nastawisz sobie budzik i pójdziesz do restauracji na tyle wcześnie, by zastać Julię”. No i jestem!

- Gratulacje - odparła Julia zadowolona, że między nimi stoi bufet, więc eksmacocha nie może jej uścisnąć. Beverly mogłaby zadusić słonia wonią swoich tanich perfum.

- Widzę, że nadal nosisz długi rękaw - stwierdziła Beverly, kręcąc głową. - Mój Boże! Chyba nie jest ci za wygodnie, zwłaszcza w ten upał.

- To bawełna, nie jest tak źle - odparła Julia, chwytając za mankiety i ściągając rękawy jeszcze niżej.

- Rozumiem. Blizny nie dodają kobiecie uroku. - Beverly pochyliła się ku niej i rzekła szeptem: - Mam taką

maleńką bliznę na czole, której nie lubię pokazywać. Dlatego moja stylistka Yvonne zaczesuje mi tego loczka w ten sposób.

Julia, uśmiechając się, skinęła głową. Czekala, aż Beverly przejdzie do sedna.

Miała dwanaście lat, kiedy ojciec po raz pierwszy przyprowadził Beverly do domu. Powiedział jej wtedy, że jego zdaniem Julia potrzebuje towarzystwa innej kobiety, żeby pogadać z nią o dorastaniu - jakby sprowadził Beverly do ich życia ze względu na nią. Z początku Beverly okazywała jej dużo troski. Julia była jeszcze malutka, gdy zmarła jej matka, więc pomyślała nawet, że towarzystwo Beverly może okazać się miłe. Ale kiedy już wyszła za jej ojca, Julia dotkliwie odczuła zmianę układu sił. W centrum uwagi jej ojca była zawsze osoba, która najmocniej się tego domagała. W tym przypadku była to Beverly. Dąsy i napady złości, a potem farbowanie włosów na różowo i cięcie się żyletką nie były w stanie konkurować z Beverly, seksowną Beverly z blond ondulacją, bluzkami z głębokim wcięciem i obcasami, które nosiła nawet do szortów. Lubiła robić dla ojca Julii różne rzeczy: gotowała mu posiłki, zapalała papierosa, masowała plecy, gdy oglądał telewizję. Kiedy coś było nie po jej myśli, przestawała to robić, a Julia z bólem obserwowała, jak jej ojciec próbuje znów wkupić się w łaski żony.

Beverly i jej ojciec rozstali się jakieś cztery lata temu. Ojciec powiedział Julii o rozwodzie podczas jej

corocznego telefonu na Boże Narodzenie. Ujął to w swój prosty, uprzejmy sposób: „Beverly jest taka energiczna. Potrzebowała więcej, niż byłem w stanie jej dać”.

Julia dowiedziała się później, że tym, czego jej macocha tak naprawdę potrzebowała, był facet z pieniędzmi. Ojciec Julii nigdy nie był bogaty, lecz jak na mężczyznę, który skończył zaledwie gimnazjum, radził sobie znakomicie. Jeszcze przed trzydziestką miał dom i firmę, bez długów i wspólników. Doskonale zarządzał swoimi finansami, dlatego Julia była w szoku, gdy po śmierci ojca odkryła sumę jego zobowiązań. Mogła tylko przypuszczać, że to Beverly wydała wszystko, co posiadał, a kiedy nic już nie zostało, opuściła go dla Buda Dalea, który właśnie otwierał w mieście swój drugi sklep z tłumikami samochodowymi.

Julii przypomniało się, jak po raz pierwszy od lat zobaczyła Beverly na pogrzebie ojca. Dosyć się postarzała, lecz jak wszystkie kobiety z dużymi nosami nadal posiadała tę umiejętność, by wyglądać ładnie, choć ładna nigdy nie była. „Przykro mi z powodu twojego taty”, rzekła. „Daj mi znać, czy zostały jakieś pieniądze. Nie sądzisz, że trochę mi się należy? Przeżyliśmy razem dwadzieścia pięknych lat”. Gdy to mówiła, Bud Dale stał obok.

Julia sprzedała dom i spłaciła za to jego hipotekę, a z reszty pieniędzy pokryła część hipoteki restauracji, czym doprowadziła Beverly do szału. Utrzymywała, iż część pieniędzy z transakcji powinna trafić do niej. Lecz

gdy tylko zorientowała się, co Julia zamierza zrobić - zostać w Mullaby i pracując, spłacić długi restauracji, aby ją potem sprzedać z zyskiem - co jakiś czas ją nagabywała, żeby przypomnieć o sobie i swoim jakże oczywistym prawie do części tych pieniędzy. Jakby wspólnie brały udział w tym przedsięwzięciu.

- Zawsze jest tak mało ludzi o tej godzinie? - spytała Beverly, machając do jednej z kelnerek, by do niej podeszła. - Proszę dwa śniadania dnia na wynos Zrobię Budowi niespodziankę w pracy. No, nie uwierzy, że wstałam tak wcześnie.

- Wkrótce lokal się zapełni - uspokoiła ją Julia

- Mam nadzieję. Wygląda na to, że nie starasz się wystarczająco, by ściągać klientów na śniadanie. I robisz mnóstwo deserów. - Wskazała na tablicę. - Naprawdę ludzie codziennie jedzą to wszystko? Bo jeśli coś zostaje to wyrzucasz pieniądze w błoto.

- Nigdy nic nie zostaje. Właśnie wychodziłam, Beverly. - odparła Julia. - Czy mog? ci w czymś pomóc?

- Och, daj spokój. Przecież nigdzie nie musisz iść Stale tylko pracujesz i idziesz do domu. Jesteś zupełnie jak twój tata.

Julia próbowała uśmiechać się nadal. Kiedyś uznałaby to porównanie za komplement. Dziś chciało jej się krzyknąć: „Nieprawda! Osiągnęłam dużo więcej!”.

- Wiem, że za parę miesięcy zamierzasz sprzedać to miejsce. Chodzą słuchy, że Charlotte jest zainteresowana



kupnem. Chciałam ci tylko powiedzieć, że moim zdaniem to zły pomysł.

- Ach tak?

Charlotte była menedżerką restauracji, jak również idealną przyszłą właścicielką. Nie tylko znała interes od podszewki, ale i zależało jej na nim. A teraz było to dla Julii ważne. Tuż po swoim przyjeździe do Mullaby chętnie sprzedałaby restaurację komukolwiek, jeśli tylko miałyby z tego jakiś zysk. Kiedy trochę tu pobyła, uświadomiła sobie, że musi ją przekazać komuś, kto kocha ją tak samo jak jej ojciec, bo jest mu to winna. To jest właśnie skutek tego, że została tu za długo. Złagodniała.

- Myślę, że oddasz jej restaurację za mniej, niż powinnaś, bo pracuje tutaj od dawna. A przecież chodzi o to, by wycisnąć najwięcej jak się da.

- Dziękuję za cenną uwagę, Beverly.

Kelnerka przyniosła torbę z dwoma zamykanymi pudełkami ze styropianu. Podała ją Beverly, która zabrała zamówienie bez słowa.

- Niedługo znowu wpadnę - powiedziała Beverly. -Będziemy mogły zająć się przygotowaniem umowy. Chcę mieć to na papierze, dobrze?

Julia nie odezwała się ani słowem, lecz nie miała zamiaru dawać byłej macosze żadnych pieniędzy ze sprzedaży restauracji. Nie obchodziło jej, jak bardzo ją tym rozzłości. Kiedy Beverly się dowie, jej już tu nie będzie. O wiele prościej było pozwolić, by Beverly wierzyła w to,

co chciała. Kłótnie z nią nie tylko uprzykrzyłyby Julii pobyt tutaj, lecz mogły również zaszkodzić interesom

Julia z kelnerką obserwowały wychodzącą Beverly. Kelnerka - Julia zapomniała, jak się nazywa - była nowa. W dłoni trzymała rachunek Beverly.

- Nie martw się - powiedziała Julia. - Nigdy nie poczuwa się do płacenia.

Kelnerka zgmiotła rachunek, a Julia skierowała się do wyjścia.

Ale ktoś właśnie wchodził - był to Sawyer. Julia potarła czoło. Dzień się dopiero zaczął, a już nie mogło być gorzej.

Nawet o tej porze Sawyer był rzeński i uważny. Zastanawiała się, czy w ogóle sypiał. A może po prostu me kładł się przez całą noc, tylko energicznie krążył po domu, rozmyślając nad nowymi sposobami, w jakie może zabłysnąć i oczarować, a przede wszystkim postawie na swoim. Gdy skrzyżowali spojrzenia, jego twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Julio, ślicznie dziś wyglądasz. Prawda, że ślicznie dziadku? - spytał Sawyer sędziwego dżentelmena, któremu pomagał przejść przez drzwi.

Staruszek podniósł wzrok i uśmiechnął się. Tak jak Sawyer miał intensywnie niebieskie oczy. Na wszystkich mężczyzn z rodziny Alexandrow przyjemnie było popatrzeć.

- Naprawdę ślicznie wyglądasz, Julio. To różowe pasemko w twoich włosach jest szalone.

Julia z uśmiechem odpowiedziała:

- Dziękuję, panie Alexander. Życzę smacznego.

- Zaczekaj na mnie, Julio - rzekł Sawyer. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

Usłyszała w głowie sygnał ostrzegawczy.

- Wybacz - odpowiedziała i wyślizgnęła się przez drzwi, jak tylko dziadek Sawyera przez nie przeszedł. - Spieszę się.

Poszła w stronę domu. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi przed sobą Emilię, lecz potem zgubiła ją z oczu.

Julia powinna była przyjechać do pracy samochodem, lecz w sytuacji gdy większość jej zarobków szła na spłatę hipoteki restauracji, benzyna była zbyt kosztowna. Czasami jej spacer do domu do złudzenia przypominały jej te do szkoły średniej, kiedy ojciec nie był w stanie kupić jej auta. Z zazdrością patrzyła na przejeżdżające samochody uczniów, których rodzice mogli sobie na to pozwolić. Zwłaszcza na członków Sassafras w ich bmw i corvette'ach.

Powtarzała sobie, że to poświęcenie jeszcze jej się opłaci. Czekając na nią zupełnie inne życie - mogła w nim kontrolować duchy przeszłości. Kiedy wróci do Baltimore, zacznie tam, gdzie przerwała: odnowi znajomości z ludźmi, którzy znają ją z obecnych czynów, a nie z tych dawnych. Przyjemne znajomości z czystą kartą.

Wynajmie nowe mieszkanie, zabierze rzeczy z przecho-  
wania, a potem znajdzie idealne miejsce na swoją cukiernię.  
Pracowała w cukierniach innych ludzi przez długi czas. Kiedy  
otworzy własną, w trakcie pieczenia będzie otwierała  
wszystkie okna i jeśli zachce, skupi się wyłącznie na  
fioletowych ciasteczkach. Cukiernia Niebieskookiej. Tak ją  
nazwie. To, że oczy Julii były brązowe, nie miało znaczenia.  
Wszak nie o nią tu chodziło.

- Julio! - zawołał za nią Sawyer.

Ciarki przeszły jej po plecach i przyspieszyła kroku. Mimo  
to Sawyer wkrótce ją dogonił, po czym zrównał z nią swoje  
tempo.

Zmierzyła go wzrokiem.

- Pobiegleś za mną?

Obruszył się, jakby przyłapała go na jakimś ordynarnym  
zachowaniu.

- Nie musiałbym, gdybyś na mnie zaczekała.

- Czego chcesz?

- Mówiłem ci. Porozmawiać.

- No to rozmawiaj - odparła.

- Nie tutaj. - Chwycił ją za ramię i zmusił do zatrzymania  
się. - Po twoim powrocie trzymałem się z daleka, bo sądziłem,  
że tego właśnie chcesz. Kiedy usłyszałem, że przeprowadzasz  
się do Mullaby, obudziła się we mnie... nadzieja. Ale gdy cię w  
końcu spotkałem, o mało nie zabiłaś mnie wzrokiem i  
pomyślałem, że nadal jest za wcześnie.

- Nie przeprowadziłam się - powiedziała, wyrywając ramię z jego uścisku.

- Jednak wyrządziłem nam obojgu złą przysługę -ciągnął, ignorując to, co powiedziała. - Za długo to trwało. Chciałbym o tym porozmawiać, Julio. Mam ci trochę do powiedzenia.

- Porozmawiać o czym? - zapytała Julia. Zamilkł.

Próbowała zbyć to śmiechem.

- Czy ma to coś wspólnego z twoim przekonaniem, że to przez ciebie piekę ciasta?

- Nie wiem. Może ty mi powiesz.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, aż odparła:

- Nie mam ci nic do powiedzenia i raczej nie chcę słuchać tego, co zamierzasz mi przekazać.

Niezrażony, zaproponował:

- Zjedz ze mną kolację w sobotę.

- Jestem już umówiona - odpowiedziała.

- Tak? - Zaskoczony, włożył ręce do kieszeni i zaczął się kołysać do przodu i do tyłu. Nie przywykł do tego, że ktoś mu odmawia. - Z kim?

- Chciałam zabrać Emily nad jezioro - zmyśliła na poczekaniu.

- Poświęcasz tej dziewczynie zadziwiająco wiele uwagi.

- Dziwi cię to, Sawyerze? - naskoczyła na niego.  
-Naprawdę?

Dostrzegła, że te słowa go zaboląły, lecz wypowiadając je, wcale nie poczuła się lepiej. Zawahał się, po czym cicho zapytał:

- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

- Wybaczyłam ci dawno temu - odparła na odchodne. - Ale to nie znaczy, że zapomniałam.

Zawołał za nią:

- Ja też nie zapomniałem, Julio.

Ciężar jej nieszczęścia stał się nie do udźwignięcia, kiedy Julia miała szesnaście lat. Narastał od wielu lat, kamień na kamieniu: dorastanie, powtórny ożenek ojca, nieodwzajemniona miłość do najprzystojniejszego chłopca w szkole, zły los, który sprawił, że chodziła z Dulcie Shelby do jednej klasy. Niemniej do czasu gdy zaczęła szkołę średnią, zawsze miała przyjaciół. Zawsze świetnie się uczyła. Zawsze była w stanie jakoś funkcjonować. Lecz pogłębiająca się depresja ogarnęła ją niczym kołdra, którą ktoś odrzucił na bok i której pozwolił ześlizgnąć się z łóżka, by okryła właśnie ją. Gdy nastąpiła druga klasa, dała sobie spokój z rywalizacją z Beverly, swoją macochą. Różowe włosy i czarny makijaż miały za zadanie zwalczyć przytłaczającą świadomość tego, że znika. Widząc zmiany w jej wyglądzie i narastającą markotność, przyjaciele odsunęli się od niej, lecz nie przejmowała się tym. Z chęcią sama by z nimi zerwała, gdyby dzięki temu jej ojciec zwrócił na nią uwagę.

Nie podziałało.

Czasami słyszała, jak Beverly mówi jej ojcu, by ją zignorował, bo to tylko etap, z którego się wyrasta. I rzecz jasna, robił dokładnie to, co Beverly mu zasugerowała.

Potem zaczęło się cięcie.

Nieszczęście i nienawiść do samej siebie wzięły nad nią górę w czasie zajęć z historii powszechnej. Pan Horne pisał coś na tablicy, Julia siedziała z tyłu sali, Dulcie Shelby kilka rzędów przed nią. Julia podniosła wzrok znad gryzmołów w swoim zeszyte i zobaczyła, że Dulcie szepcze do jednej ze swoich przyjaciółek, po czym wyciąga coś z torebki. Parę sekund później przez środek klasy przetoczyła się tubka z preparatem na pchły i zatrzymała pod stopami Julii.

Dulcie ze swoją paczką wybuchnęły śmiechem, a pan Horne odwrócił się w ich stronę.

Chciał wiedzieć, co ich tak rozbawiło, ale nikt nie pisnął ani słowa. Julia spuściła wzrok i wpatrywała się w tubkę opartą o czubek jej podrabianych martensów.

W końcu pan Horne odwrócił się znów do tablicy. Gdy tylko to zrobił, Julia wzięła mocno zatemperowany ołówek, wbiła go w skórę i przeciągnęła nim po swoim przedramieniu. Z początku nie zorientowała się, co takiego zrobiła, tylko z dziwnym poczuciem zadowolenia patrzyła, jak z rany sączą się kropelki krwi. Czuła, jak opada z niej całe napięcie.

Najpierw robiła to odruchowo i czym popadnie, lecz wkrótce jej działanie stało się bardziej przemyślane.

Zaczęła używać żyletek, które chowała w pokoju pod materacem. Za każdym razem gdy się cięła, było to doznanie gwałtowne i przejmujące - jakby wyrywało ją ze szponów nicości z powrotem do życia. Nie tylko sprawiało, że czuła, ale że czuła się lepiej. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że nie potrafi przestać, nie da rady przeżyć dnia bez pocięcia się, lecz było jej już wszystko jedno. Naprawdę wszystko jedno. Nie minęło wiele czasu, a jej przedramiona pokryły się zaognionymi pajączynami nawarstwiających się cięć. Nosila bluzki z długim rękawem nawet w najcieplejsze dni.

Minęło kilka miesięcy, zanim ojciec i macocha Julii dowiedzieli się o tym. To Beverly pierwsza zobaczyła ślady cięć. Któregoś ranka Julia dopiero co wyszła spod prysznic i właśnie owijała się ręcznikiem, kiedy jej macocha zapukała do drzwi i nie czekając na pozwolenie, weszła do łazienki, mówiąc: „Nie przeszkadzaj sobie. Wezmę tylko swoją pęsetę i...”.

Zamilkła na widok nagich rąk Julii.

Kiedy tego wieczoru jej ojciec wrócił z pracy, przyszedł do jej sypialni. Na jego twarzy malowały się napięcie i troska. Podeszedł do niej ostrożnie, jakby bał się, że ją przygniecie ciężarem swojej obecności. Chciał wiedzieć, co jest nie tak, ale Julia miała mu za złe to pytanie. Jak on mógł nie wiedzieć?

Niedługo później skończyła drugą klasę. Przez całe wakacje ojciec i Beverly nie spuszczała z niej oka. Zamiast



poczucia, że wreszcie ma to, czego chciała, pojawiła się nienawiść do nich za to, że próbowali ją powstrzymać przed robieniem jedynej rzeczy, jaka poprawiała jej samopoczucie.

Przez całe lato toczyli długą walkę o władzę. Nawet zaczęła się cieszyć na myśl o początku roku szkolnego, żeby się od nich uwolnić. I rzecz jasna, nowy rok szkolny oznaczał, że znów zobaczy Sawyera. Cudownego Sawyera. Lecz zaledwie parę dni przed rozpoczęciem roku szkolnego ojciec Julii oznajmił, że wysyła ją do szkoły z internatem. Mówił, że to specjalna szkoła. Dla nastolatków z problemami. Mieli jechać do niej do Baltimore następnego dnia. Uprzedził ją o tym zaledwie dzień wcześniej. Jeden dzień. Planował to za jej plecami całe wakacje!

Tamtej nocy wyczołgała się przez okno pralni i uciekła. Jeśli ojciec nie chciał jej mieć przy sobie, to trudno. Ale nie zamierza iść do jakiejś głupiej szkoły. Problem w tym, że nie miała pojęcia, dokąd się teraz udać. Skończyła więc na swoim ulubionym siedzeniu - w górnym rzędzie na szkolnych trybunach.

Siedziała tam parę godzin, zanim pojawił się Sawyer. Było już po północy, ale nagle zjawił się na bieżni. Wyszedł księżyc, on zaś miał na sobie białe szorty i białą koszulkę polo, więc widziała go wyraźnie ze swojego miejsca.

Nie poruszyła się, więc nie wiedziała, co sprawiło, że spojrzał w górę. Ale spojrzał, tamując tym jej oddech, jak za każdym razem gdy patrzył na nią w szkole.

Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę. Potem zszedł z bieżni i wszedł na trybuny, zmierzając w jej stronę.

Sawyer nigdy wcześniej do niej nie podszedł, choć nieraz obserwował ją w szkole. Sporo osób na nią patrzyło, zatem nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że jego spojrzenie było rozmyślne. Często zastanawiała się, czy te dziwne uczucia, jakie do niego żywiła, wzięły się stąd, że ją dostrzegał.

Zatrzymał się tuż przed nią.

- Mogę się przysiąść? Wzruszyła ramionami.

Usiadł, lecz przez jakiś czas milczał.

- Często przychodzisz tu w nocy? - zapytał w końcu. -Nie.

- Tak myślałem. Chodziłem nocą po tej bieżni przez całe lato, jednak nigdy cię nie widziałem, choć normalnie widuję cię w szkole. - Zastanawiało ją, dlaczego chodził po bieżni nocą, lecz była zbyt zdenerwowana, by zapytać. - Jesteś gotowa na początek roku?

Gwałtownie wstała. Przebywanie tak blisko niego spowodowało, że zrobiło jej się lżej na sercu. Sprawił, że nagle cały świat wydał jej się bardziej znośny. Ale dała się ponieść iluzji.

- Muszę już iść.

- Dokąd? - spytał, kiedy schodziła z trybun, ciężko tupiąc czarnymi buciorami.

- Nie wiem.
  - Odprowadzę cię - rzekł i poszedł za nią.
  - Nie trzeba.
  - Nie pozwolę ci chodzić samej o tej porze. Zeszła z trybuny, przeszła przez bieżnię i wkroczyła na boisko futbolowe, po czym obejrzała się przez ramię.
  - Przestań za mną chodzić.
  - Nie pozwolę ci iść samej.
- Na te słowa stanęła i odwróciła się.
- Co z tobą? Nie bądź taki... taki...
  - Jaki?
  - Miły dla mnie. - Usiadła na ziemi po turecku. - Zaczekam tu, dopóki sobie nie pójdziesz. - Jej słowa nie odniosły zamierzonego skutku. - Nie siadaj koło mnie. Nie... - Westchnęła, gdy Sawyer jednak to zrobił, dokładnie na linii pięćdziesięciu jardów.
  - Co z tobą? - powtórzył jej pytanie. Odwróciła wzrok.
  - Jutro tata wysyła mnie do szkoły z internatem.
  - Wyjeżdżasz? - spytał z niedowierzaniem w głosie. Skinęła głową.
- Zaczął skubać trawiastą nawierzchnię, na której siedzieli. W końcu spytał:
- Mogę ci coś powiedzieć?
  - Nie, chyba że „do widzenia”.
  - Nie bądź taka przemądrzała.

To sprawiło, że ponownie zwróciła głowę w jego stronę. Przez całe lato ojciec i Beverly chodzili koło niej na palcach, dlatego zdziwiła się, słysząc, że ktoś wytyka jej zachowanie.

- Czasami w zeszłym roku wstawałem rano i cieszyłem się na pójście do szkoły, bo wiedziałem, że cię tam zobaczę. Zastanawiałem się, w co będziesz ubrana. Uwielbiałem porę lunchu, bo mogłem siedzieć w stołówce, wyglądać przez okno i widzieć, jak siedzisz wysoko na trybunach. Szukałem cię przez całe lato. Gdzie byłaś?

Szczęka jej opadła i najchętniej uderzyłaby go w ramię. Chodził z dziewczyną o imieniu Holly, która była przeważnie miła, mimo że należała do paczki Dulcie Shelby, Sassafras. Byli razem od niepamiętnych czasów. Ludzie nawet mówili o nich jak o całości. Sawyeriholly.

- Co z tobą nie tak? - spytała Julia. - Ty i Holly jesteście parą. Pasujecie do siebie.

- Po prostu przykro mi, że nigdy do ciebie nie zagadałem. Zawsze chciałem. Zawsze chciałem... - Przeniósł wzrok na jej usta.

Nagle dotarło do niej, jak bardzo są blisko i że Sawyer zaczyna na nią napierać.

Jego usta znajdowały się parę centymetrów od jej warg, kiedy odwróciła głowę.

- Idź sobie, Sawyerze. Wracaj do swojego poukładanego, doskonałego życia. - Poczowała, że oczy zaszły jej

łzami, i wytarła je wierzchem dłoni. Na jej ręce spłynęła gruba warstwa czarnego eyelinera. Łzy nadal napływały jej do oczu, a ona wciąż wycierała twarz, wiedząc, że tylko pogarsza sprawę. Dobry Boże, dlaczego Sawyer po prostu sobie nie pójdzie i nie zostawi jej z tym okropnym cierpieniem?

Sawyer ze spokojem ściągnął swoją białą koszulkę polo i podał jej, mówiąc:

- Masz. Wytrzymaj się.

Wzięła ją z ociąganiem, ale zrobiła, co kazał. Koszulka pachniała czymś świeżym i zielonym - jak łądyżki kwiatów.

Kiedy wreszcie przestała płakać, spojrzała na koszulkę, którą trzymała w dłoniach. Zawstydzona, zgmiotła ją w kulkę. Zniszczyła ją.

- Przepraszam.

- Nie zależy mi na niej. Poradzisz sobie?

- Nie wiem. - Oczy znów miała pełne łez. - Nie chcę iść do szkoły z internatem, ale mój tata już mnie nie potrzebuje. Ma teraz Beverly. Wiadomo, że ta szkoła była jej pomysłem. Dlaczego musiała rozgadać wszystkim o tych cięciach?

- Jestem pewien, że tak nie jest - odparł Sawyer. Tylko pokręciła głową. Mimo wszystko nie rozumiał jej. Wyciągnął dłoń w jej stronę i niepewnym ruchem odgarnął z jej twarzy krótkie różowe włosy.

- Zapomniałem już, jak wyglądasz bez makijażu.

- Znikam.

- Nieprawda. Jesteś piękna.

Nie wierzyła mu. Nie mogła mu uwierzyć.

- Idź do diabła, Sawyerze.

- Jeśli chcesz, możesz mi nie wierzyć, aleja nie kłamię.

- Jasne, że nie. Przecież jesteś doskonała. - Zamilkła, po czym odwróciła się do niego. - Uważasz, że jestem piękna?

- Zawsze tak uważałem.

- Nawet z tym? - zapytała podwijając rękawy koszuli, którą miała na sobie. Pokazała mu linie na swoich przedramionach. Ojciec z Beverly zabrali z jej sypialni wszystkie ostre przedmioty, jakby była raczkującym dzieckiem, więc wiele głębszych cięć już się wygoiło, lecz zdenerwowana, nadal wbijała w skórę paznokcie. - Myślisz, że są piękne?

Tak jak się tego spodziewała, Sawyer cofnął się. Był to dowód na to, że nie da się jej pokochać.

- Jezu, sama to sobie zrobiłaś? Opuściła rękawy.

- Tak.

Sądziła, że teraz sobie pójdzie, lecz został. Siedzieli w ciszy bardzo długo. W końcu zmęczona, rozciągnęła się na ziemi. Spojrzał na nią, a potem położył się tuż obok.

Tamtej nocy niebo było wprost niewiarygodnie piękne: księżyc prawie w pełni i gwiazdy porozrzucane

niczym kamienie. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z Mullaby. Czy niebo będzie tak wyglądać również w Baltimore?

Sawyer zaśmiał się, kiedy zaburczało mu w brzuchu.

- Nie jadłem nic prócz ciasta na lunch - powiedział z zakłopotaniem.

- Zjadłeś ciasto na lunch?

- Gdybym tylko mógł, jadłbym je cały czas. Będziesz się ze mnie śmiała, ale i tak ci powiem. Wiesz, że niektórzy mają słabość do słodczy? Cóż, ja wyczuwam je szóstym zmysłem. Jako mały chłopiec mogłem się bawić po drugiej stronie miasta, a i tak wiedziałem dokładnie, kiedy moja matka wyciągała ciasto z piekarnika. Widziałem zapach unoszący się w powietrzu. Musiałem tylko iść za nim do domu. Stanowczo temu zaprzeczę, jeśli kiedykolwiek się wygadasz.

Było to z jego strony zaskakujące wyznanie. Odwróciła głowę i zobaczyła, że znów na nią spogląda.

- Jesteś czarodziejem - powiedziała. - Ale pewnie sam to zauważyłeś. Widać to nawet po tym, jak patrzysz na ludzi. - Przez chwilę wpatrywała się przy świetle księżyca w jego wspaniały, nagi tors. - Tak, doskonale wiesz, jak wielką władzę nad nimi posiadasz.

- Również nad tobą?

Czy naprawdę sądził, że była nieczuła?

- Oczywiście, że tak.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Oddałaby wszystko, żeby zobaczyć siebie teraz jego oczami. Może dowiedziałyby się, co sprawia, że tak na nią patrzy.

- Czy mogę cię pocałować, Julio? Nie zawahała się.

- Możesz.

Była nieco zdezorientowana, kiedy ostrożnie zsunął koszulę z długim rękawem z jej ramion. Choć pod spodem miała bokserkę, jej ręce były odkryte. Próbowwała się wywinąć i je zakryć, lecz wtedy zrobił rzecz zupełnie niezwykłą.

Pocałował jej ręce.

Wtedy przepadła bez reszty.

Nie tylko ją dostrzegał, ale też akceptował. Pragnął jej. W tym momencie jej życia, w tej chwili nie przychodziła jej do głowy żadna inna osoba, która żywiłaby do niej takie uczucia. Tylko on.

Tamtej nocy kochali się i zostali na boisku futbolowym aż do świtu. Gdy odprowadzał ją do domu, obiecali sobie, że będą w kontakcie, choć jak się okazało, tylko jedno z nich zamierzało dotrzymać tej obietnicy. Wyjechała do domu poprawczego Collier w Maryland z myślą, że mimo wszystko może go przetrwać, bo ma teraz do kogo wracać.

Patrząc wstecz, uznała, że może mu przebaczyć, ponieważ to ona popełniła błąd, uzależniając swoje szczęście od kogoś innego.



Zrobić to było jednak tak łatwo. Tamtej nocy sprawił, że po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się prawdziwie szczęśliwa. Jak mogła się temu nie poddać?

Czasami jednak zastanawiała się, czy wtedy również nie straciła prawdziwego szczęścia.

I od tamtej pory ciągle go szukała.

Wszędzie, tylko nie tutaj.

## ROZDZIAŁ 6

Po południu tego samego dnia dziadek Vance znów zaszył się w swoim pokoju, a Julii nie było w domu, więc pozbawiona towarzystwa Emily z braku lepszego zajęcia zaczęła sprzątać. Wałczyła z kurzem, dopóki nie pokrył jej warstwą podobną do szronu. Najpierw zajęła się swoją sypialnią. Wyczyściła wszystko z wyjątkiem żyrandola, bo nigdzie nie mogła znaleźć drabiny. Potem przeszła do innych pokoi, gdzie rozsunała zasłony i wpuściła trochę światła do wnętrza, które nie widziały go od lat. Z początku odkrywała nieznane i poznawała historię domu. Najwyraźniej wczorajsza pogoń za światłem rozbudziła jej apetyt na przygodę. Wkrótce jednak okazało się, iż owa historia należała do smutnych. Był tam pokój, który ewidentnie należał niegdyś do małego chłopca. Na tapecie były błękitne żaglówki, a na łóżku barierki ochronne. Może była to sypialnia

małego dziadka Vance'a? A może miał brata? Jeśli tak, to co się z nim stało? Była też sypialnia z łóżkiem dwa razy dłuższym niż zazwyczaj i kobiecym dodatkiem w postaci toaletki stojącej obok. Najwyraźniej dziadek Vance dzielił ten pokój ze swoją żoną. Gdzie teraz była? Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi, którzy tu kiedyś mieszkali?

Przytłoczyła ją atmosfera tego miejsca. Chciała się stać jego częścią, lecz matka niczego jej o nim nie powiedziała. Niczego. Jaki miała powód?

Ze swojego pokoju Emily wyszła na balkon, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Poszurała nogami w liściach i postanowiła zrobić z nimi porządek. Zamiatała je tak długo, aż przy balustradzie powstała ogromna sęta. Odłożywszy miotłę, zebrała naręcze liści i wyrzuciła je przez poręcz. Pachniały jak ściółka i wyglądały, jakby ktoś je wyciął z ozdobnego papieru. Zgarnęła je po raz kolejny i zrzuciła z balkonu, lecz tym razem przystanąła, by obserwować, jak spadają. Dopiero gdy liście uderzyły w głowę osoby stojącej na schodkach werandy, uświadomiła sobie, iż ktoś tam jest.

- Julio! - zawołała. - Cześć!

Julia z liśćmi we włosach uśmiechnęła się do niej.

- Czyżbyś się nudziła?

- Tak się cieszę, że przyszedłaś! Muszę ci coś powiedzieć. Zbiegła po schodach i wypadła na zewnątrz zachwycona, iż wreszcie będzie mogła z kimś omówić

wydarzenia ubiegłej nocy. Julia stała na werandzie, trzymając w rękach dwie duże torby z brązowego papieru. We włosach nadal miała liście.

- Wczoraj w nocy znowu widziałam światło! - rzekła podekscytowana Emily. - To nie duch, Julio. Goniałam to coś i słyszałam kroki.

O dziwo, ta rewelacja nie zrobiła na Julii najmniejszego wrażenia. Wyglądała tylko na lekko skonsternowaną.

- Goniałś? - Tak.

- Emily, proszę, nie rób tego więcej - powiedziała Julia łagodnym tonem. - Światło z Mullaby nikomu nie szkodzi.

Zanim Emily zdążyła zapytać, dlaczego zdaniem Julii nie było to wielkie odkrycie, za jej plecami zaskrzypiały harmonijkowe drzwi, a gdy się odwróciła, ujrzała dziadka Vance'a, który schylony, przechodził pod framugą.

Od kiedy poszła za nim na śniadanie, zdążył się już przebrać, jakby dostosowywał swoje ubranie do pory dnia. Poprzedniej nocy po gonitwie w lesie nie mogła zasnąć i nie spała, kiedy dziadek rano wychodził. Zamierzała zaczekać na niego przed restauracją i wrócić do domu razem z nim, lecz przeszkodził jej w tym Win. Podążyła za nim do baru i patrzyła, jak wewnątrz znika w tłumie. Potem poszła do domu i tam czekała

na dziadka Vance'a, ale gdy tylko przyszedł, na kuchennym blacie zostawił dla niej kanapkę z jajkiem, po czym zaszył się w swoim pokoju.

- Julio - powiedział. - Tak myślałem, że słyszę twój głos.

- Przyniosłam prezent. - Julia podała Vance'owi torby, on zaś miał minę, jakby otrzymał właśnie Świętego Graala produktów żywnościowych. - Pomyślałam sobie, że w tym upale żadnemu z was nie będzie się chciało gotować. Może zjedlibyście razem - rzekła tak wymownie, iż nie uszło to uwagi Emily.

Próbowała ich skłonić do wspólnego spędzenia czasu. Emily doceniała jej starania, lecz nie sądziła, by polepszyły jakoś sytuację.

Dziadek Vance, obwąchawszy zawartość toreb, zaskoczył ją swoim zapachem.

- Czeka na prawdziwa uczta, Emily! Julia robi najlepsze barbecue w tym mieście. To zasługa jej wędzarni. Te elektryczne nie są tak dobre. Już mi ślinka cieknie. Przyłączysz się do nas, Julio?

- Dziękuję, ale muszę się zbierać.

- Dobra z ciebie sąsiadka. To my dziękujemy. - Vance zniknął w środku, zostawiając Emily na werandzie z Julią.

- Dzisiaj pierwszy raz wyszedł ze swojego pokoju - stwierdziła zaskoczona Emily.

- Zawsze się łapie na barbecue.

- Postaram się zapamiętać.

- Posłuchaj - zaczęła Julia. - Może wybrałabyś się ze mną w sobotę nad jezioro Piney Woods? Latem to ulubione miejsce dzieciaków w twoim wieku. Może poznasz jakichś ludzi z twojej nowej szkoły.

Przyjemnie było otrzymać takie zaproszenie. Te sędziwe damy dziś rano musiały się pomylić. Potrafi się tu wpasować.

- Pewnie, dzięki.

- Super. To widzimy się jutro. A teraz idź i porozmawiaj ze swoim dziadkiem. - Nie powiedziawszy ani słowa na temat światła, Julia pomachała jej przez ramię i zbiegła po schodkach z werandy.

Emily odwróciła się i ponownie weszła do domu. Zamierzała iść prosto do siebie i pozwolić dziadkowi Vance'owi zjeść w spokoju, lecz postanowiła spróbować jeszcze raz porozmawiać z nim. Gdy dotarła do kuchni, usłyszała dźwięk zamykanych drzwiczek suszarki i ujrzała Vance'a wychodzącego z przyległej pralni. Znów zaglądał do suszarki na ubrania. Jego niepomierne zainteresowanie nią było tym bardziej dziwne, że tego popołudnia przyjechał ktoś z pralni chemicznej i zabrał torbę z praniem, którą dziadek wystawił na werandzie.

Vance zatrzymał się na jej widok.

- Emily - odchrząknął. - No więc, hmm, czy tapeta w twojej sypialni już się zmieniła?

- Zmieniła? - zapytała.

- Czasami tak robi. Sama z siebie się zmienia.

Brzmiało to jak historyjka, jaką opowiada się dziecku. Książeczek jest zrobiony z sera. Widząc spadającą gwiazdę, wypowiedz życzenie. W twojej sypialni jest magiczna tapeta. Uświadomiła sobie, iż prawdopodobnie dziadek uważa ją za małą dziewczynkę i w ten sposób próbuje ją rozbawić.

- Niestety, nadal są na niej bzy. Ale będę czujna - obiecała, by sprawić mu przyjemność.

Z powagą skinął głową.

- No to dobrze.

Korzystając z chwili milczenia, Emily rozejrzała się po kuchni. Dostrzegła, że dziadek położył torby na stoliku śniadaniowym.

- Będziesz jadł teraz? - spytała w końcu.

- Taki miałem zamiar - odparł. - Zjesz ze mną?

- Nie będę ci przeszkadzać?

- Ależ skąd. Usiądź sobie. - Wyjął z kredensu talerze i sztućce, po czym rozłożył je na stoliku.

Siedli naprzeciwko siebie i razem rozpakowali zawartość toreb. Były to w większości zamknięte pudełka ze styropianu różnej wielkości, a dodatkowo kilka bułek do hamburgerów i dwa kawałki ciasta.

Vance ściągnął pokrywki ze wszystkich pojemników. Jego niewiarygodnie długie palce były niezdarne, ręce zaś nieco mu drżały.

- Co to? - zapytała Emily, spoglądając na największe styropianowe pudełko wypełnione posiekanym i jakby wysuszonym mięsem.

- Barbecue.

- To nie jest barbecue - powiedziała Emily. - Barbecue to hot dogi i hamburgery z grilla.

Vance zaśmiał się, przez co Emily odruchowo się uśmiechnęła.

- Ha! Ta zniewaga krwi wymaga! W Karolinie Północnej barbecue oznacza wieprzowinę, dziecko. Hot dogi i hamburgery z grilla nazywamy tutaj „gotowaniem na wolnym powietrzu” - objaśnił w nagłym przypiływie entuzjazmu. - Są też u nas dwa rodzaje sosu barbecue: Lexington i Eastern North Carolina. Spójrz tutaj. - Podekscytowany, wyszukał odpowiedni pojemnik i pokazał jej go, niechcący rozchlapując nieco sosu na stole. - Sos Lexington jest słodki, oparty na pomidorach, dlatego niektórzy nazywają go czerwonym sosem. Oblewa się nim posiekaną albo rozgotowaną łopatkę wieprzową. Restauracja Julii jest w stylu Lexington, ale jest tutaj wiele innych w stylu Eastern North Carolina. Używają rzadkiego, kwaśnego sosu na bazie octu i pieprzu cayenne. I zazwyczaj całego świniaka. Ale niezależnie od stylu zawsze dodaje się głęboko smażone kuleczki kukurydziane i sałatkę coleslaw. A to, o ile się nie mylę, są kawałki ciasta Milky Way. Julia robi najlepsze.

- Jak ten batonik?

- Ano. Batoniki się topi i wlewa do ciasta. Oznacza powitanie.



Emily spojrzała na ciasto, które Julia przyniosła wczoraj rano. Nadal leżało na blacie.

- Myślałam, że to jabłecznik oznacza powitanie.

- Każde ciasto oznacza powitanie - odparł. - Cóż, może z wyjątkiem kokosowego. Daje się je razem ze smażonym kurczakiem z okazji śmierci.

Wnuczka posłała mu dziwne spojrzenie.

- A czasami jeszcze z brokułowym casserole - dodał. Emily patrzyła, jak Vance podnosi pudełko z barbecue

i przekłada widelcem posiekaną wieprzowinę na spodnią część bułki do hamburgera. Polał mięso sosem, na to położył sałatkę coleslaw. Przykrył wszystko wierzchnią częścią bułki i położywszy na talerzu, podał Emily.

- Kanapka barbecue z Karoliny Północnej.

- Dziękuję - odpowiedziała Emily i uśmiechając się, wzięła do ręki dziwnie wyglądającą kanapkę. Naprawdę był miłym człowiekiem. Lubiła przebywać w jego towarzystwie. Sprawiał, że czuła się zupełnie mała, a jej świat składał się z innych rzeczy niż tylko jej problemy i jej żal. - Miło, że Julia nam to przyniosła.

- Julia to wspaniała dziewczyna. Jej ojciec byłby z niej bardzo dumny.

- Rozmawiałam z nią niedawno o świetle z Mullaby - rzekła Emily z nadzieją, iż okaże się bardziej zainteresowany jej odkryciem niż Julia. - Widuję je w nocy.

Vance, który właśnie podawał jej pojemnik z kukurydzianymi kuleczkami, nagle zastygł w bezruchu.

- Naprawdę? Gdzie?

- W lesie za domem - powiedziała, odbierając pudełko z jego rąk.

- W czasie twojego pobytu tutaj proszę cię tylko o jedno, Emily - odparł z powagą. - Tylko o jedno. Trzymaj się od niego z daleka.

- Ale mi się wydaje, że to nie jest duch - rzekła. - Sądzę, że ktoś celowo to robi.

- Nikt nie robi tego celowo. Uwierz mi.

Zazwyczaj nie była kłótliwa, choć jej matka uwielbiała wdawać się z nią w burzliwe dyskusje. Teraz musiała jednak ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć, iż zostawienie dla niej zeszłej nocy pudełka plastrów samoprzylepnych wydawało się całkiem celowe.

- Kiedy twoja matka była mała, jej twarz przybierała identyczny wyraz - stwierdził. - Ależ ta moja Dulcie była uparta. - Pospiesznie uciekł wzrokiem, jakby powiedział za dużo. Niespodziewanie powróciło dawne zakłopotanie i przysiadłszy się do nich, przeprosiło za spóźnienie.

Emily bawiła się kukurydzianymi kuleczkami na swoim talerzu.

- Dlaczego nie chcesz o niej rozmawiać? Nadal nie patrząc na nią, odparł:

- Czuję się wtedy taki skołowany, że nie wiem, co powiedzieć.

Emily skinęła głową, choć tak naprawdę nie rozumiała go. Może, jak wszystko, co go dotyczyło, jego żal był tak

wielki, że żaden inny się z nim nie równał. Relacje Vance'a z córką musiały być dość skomplikowane. Ale właśnie tak wyglądały relacje jej matki ze wszystkimi ludźmi. Była trudną kobietą: żywą i nieprzewidywalną, jak obłok perfum. Trzeba było się zadowolić zaledwie odrobiną niej, a w końcu i tak się ulatniała.

Nie będzie nic z niego wyciągać. I spróbuje pogodzić się z tym, że jej unika. Przecież przygarnął ją, kiedy nie miała dokąd pójść, i była mu za to wdzięczna. Tak więc o swojej matce porozmawia z mieszkańcami miasta i może od nich dowie się czegoś więcej. Może odnajdzie pozostałe członkinie Sassafras. Może nawet znów zobaczy Wina Coffeya i zapyta go o związek, jaki istniał między jego wujkiem a jej matką. Obiecał, że jej o tym opowie przy ich następnym spotkaniu.

Spodobała jej się myśl, że znów zobaczy Wina.

Zjedli w milczeniu, po czym dziadek Vance ponownie sprawdził suszarkę na ubrania, jakby coś mogło się w niej pojawić podczas kolacji. Znów nic tam nie znalazł, więc poszedł do swojego pokoju. Emily udała się na górę, by skończyć zamiatanie, a potem usiadła na balkonie, czekając na światło.

Tak kończył się jej drugi dzień w Mullaby.

Późnym wieczorem tego samego dnia Vance wyłonił się z pokoju, by po raz ostatni przed spaniem sprawdzić

suszarce. Zatrzymał się przy schodach i spojrzał w górę, lecz na piętrze nie słychać było żadnego szurania ani skrobienia miotłą. Emily udała się już na spoczynek.

Pomyślał sobie, że to osobliwa rzecz znów mieć kogoś w domu. Już prawie zapomniał, jak to jest. Emily sprawiła, że powietrze było inne, wibrujące, jakby całkiem niedaleko rozbrzmiewała muzyka, której nie mógł usłyszeć. Zaskoczyło go, że przy niej czuł się spełniony, i za bardzo nie wiedział, co z tym zrobić. Z byciem komuś potrzebnym jest jak z byciem wysokim - nigdy nie jest problemem, dopóki nie pojawiają się inni ludzie.

Vance górował nad wszystkimi dziećmi w przedszkolu. Wspominał moment, kiedy po raz pierwszy naprawdę zrozumiał, jak bardzo jest wysoki. Do tamtej pory, choć z pewnością był wysoki jak na swój wiek, pozostawał najniższym członkiem swojej normalnej pod tym względem rodziny. W szkole niektóre dzieci z początku mu dokuczały, ale w końcu uświadomiły sobie, iż to chyba nie najlepszy pomysł, by zaczepiać kogoś, kto potrafi je przewrócić podmuchem powietrza, gdy przechodzi obok.

Nie miał już rodziny. Vance był ostatnim z Shelbych i odziedziczył całą fortunę, choć wiedział, że nie powinien. Dostało mu się wszystko - dziedzictwo Shelbych, nazwisko Shelbych. Miał mieć braci i siostry, którzy dokonają wielkich czynów. W jego rodzinie miały być normalne dzieci. I przez jakiś czas były, lecz jego starsza

siostra, dla której tapeta w sypialni była stale w różowe lizaki, utonęła w jeziorze Piney Woods, kiedy miała jedenaście lat. Miał też młodszego brata, który zmarł po upadku z ogrodowego domku na drzewie, kiedy miał sześć lat. Po tych wydarzeniach jego rodzice starali się o więcej dzieci, lecz bez skutku. Musieli się zadowolić Vance'em, który był tak wysoki, że jego stopy sięgały dna jeziora, więc nie był w stanie się utopić, a ręce koron drzew, więc nie musiał się na nie wspinać i nie mógł z nich spadać.

Jego rodzice zmarli, gdy był dwudziestoparolatkiem. Stwierdził, że nawet wtedy na ich twarzach dało się zauważyć rozczarowanie. Całe ich dziedzictwo przechodziło w ręce olbrzyma. „Co też Vance z nim robi?” -pewnie się zastanawiali. „Nigdy się nie ożeni. Kto by go chciał?”

Miał trzydzieści dwa lata, mieszkał sam i rzadko wychodził na zewnątrz, kiedy poznał Lily. Była krewną Sullivanow z końca ulicy. Studiowała na uniwersytecie stanowym i któregoś weekendu przyjechała do nich w odwiedziny. Gdyby była kolorem, to jaskrawą zielenią. Gdyby była zapachem, to nowego papieru. Była radosna, inteligentna i nie bała się niczego. Chłopcy Sullivanow, mający w zwyczaju rzucać piłkę do ogrodu Vance'a, a potem wyzwać siebie nawzajem, który ją przyniesie, ryzykując pożarcie przez Olbrzyma z Mullaby, opowiedzieli o tym swojej kuzynce. Lily była

zbulwersowana. Chwyciwszy chłopców za uszy, zmusiła ich, by poszli za nią do ogrodu i na schodki werandy, żeby mogli przeprosić za swoje zachowanie. Kiedy Vance otworzył drzwi, Lily była tak wstrząśnięta, że puściła chłopców, którzy natychmiast uciekli. Gdy kilka godzin później Lily nadal nie wróciła do domu, zapłakani, powiedzieli matce, że została zjedzona przez Olbrzyma z Mullaby. Ich matka poszła zbadać sprawę. Zastała Lily i Vance'a, którzy zaśmiewali się, siedząc na schodkach werandy i popijając mrożoną herbatę. Dyskretnie wycofała się. Od razu dostrzegła, że działo się tam coś niezwykłego. Nikt wcześniej nie sprawił, by Vance śmiał się w taki sposób.

Vance ożenił się z Lily, gdy tylko skończyła studia, a potem uczyła drugą klasę w tutejszej podstawówce, aż zaszła w ciążę z Dulcie. To były beztrudne lata. Lily nie pozwalała mu zostawać w domu i nalegała, by razem chodzili na zakupy, do kina i na mecze Małej Ligi Baseballowej. Ludzie byli nim zafascynowani od zawsze, lecz głównie dlatego że się przed nimi chował. Gdy tylko wyszedł z domu, okazało się, że mieszkańcy Mullaby z łatwością go zaakceptowali. W mieście pełnym dziwactw był po prostu kolejnym kuriozum. Vance poczuł dla nich tak wielką wdzięczność, że zaczął fundować place zabaw, miejsca pamięci narodowej i stypendia.

Kiedy Lily zmarła, sam niemal wyzionął ducha. Dulcie miała wtedy dwanaście lat. Było tak, jakby na cały

ich świat spadła warstwa śniegu, który uczynił go cichym i zimnym. Tylko pamięć jaskrawej zieleni Lily, jej radości i inteligencji, jej silnej wiary we wszystko, a zwłaszcza w niego, sprawiły, że Vance przetrwał. Nie miał za to pojęcia, jak poradziła z tym sobie Dulcie. Był to dla niego jeden z największych powodów do wstydu.

Vance sądził, że można udźwignąć taki ciężar zaledwie raz w życiu.

A potem dowiedział się, że zmarła jego córka.

Gdy zadzwoniła do niego Merry, przyjaciółka Dulcie, i powiedziała mu, że jego córka zginęła w wypadku samochodowym, Vance nie mógł wydobyć z siebie słowa. Odwiesił słuchawkę i wspiał się na górę do dawnego pokoju Dulcie, ale potem nie był w stanie zejść na dół, więc został tam przez cały tydzień, a tapeta w jej sypialni zamieniła się w szarą i mokrą, jak burzowe chmury. Chciał umrzeć. Czy miał jeszcze jakiś powód do życia? Nic już nie wiązało go z tym światem.

Kiedy Julia go wreszcie znalazła, nie jadł tak długo, że nie mógł chodzić. Spędził tydzień w szpitalu, gdzie nogi wystawały mu z łóżka i przykrywano go trzema kołdrami.

Po powrocie ze szpitala zastał w domu kilka wiadomości od Merry nagranych na sekretarce. Mówiła, że Dulcie ma córkę, która teraz musi gdzieś zamieszkać. Merry nie mogła jej przyjąć, bo przeprowadzała się

z powrotem do Kanady. Zatrudniła prywatnego detektywa, żeby znalazł jakichś bliskich krewnych Emily ze strony matki albo ojca, ale Vance był jedynym.

W życiu zawsze przyjmował bierną postawę. Wiedział o tym. Z powodu swojego wzrostu był nieśmiały. Rodzice zostawili mu fortunę. To jego żona go znalazła. Lily zawsze się wszystkim zajmowała. A Dulcie od dwunastego roku życia była zdana na siebie. Przyszedł czas na niego. W końcu musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Do tej pory zajmowanie się Emily nie za bardzo mu wychodziło. Dulcie nie powiedziała Emily o Mullaby,

o tym, co się stało, więc Vance'a bał się, że zdradzi coś, czego w opinii swojej matki Emily nie powinna wiedzieć. Przed swoim wyjazdem Dulcie wymusiła na nim dochowanie tajemnicy: „Nie mów o tym”- rzekła. „A może zniknie. Może pewnego dnia nikt już nie będzie o tym pamiętał”. Zawiódł swoją córkę niezliczoną ilość razy, zatem w tej sprawie zamierzał dotrzymać słowa. I udawało mu się to przez dwadzieścia lat. Teraz nie wiedział, co robić. Emily zdążyła już zwrócić na siebie uwagę światła z Mullaby. Prędzej czy później zażąda wyjaśnień.

Po ciemku wszedł do kuchni, lecz zamiast udać się do pralni i sprawdzić suszarkę, podszedł prosto do drzwi

i je otworzył. Rzeczywiście, tak jak mówiła Emily, w lesie za ogrodem widać było światło. Nie poruszało się -zupełnie, jakby obserwowało dom.



Vance wyszedł na werandę, żeby było go dobrze widać. Światło natychmiast zniknęło. Usłyszał westchnienie, a potem odgłos kroków na balkonie wyżej. Zszedł z niskiej werandy przy kuchni i spojrzał w górę.

Na balkonie stała Emily, wpatrując się w las.

Nie dostrzegła go, więc po cichu się wycofał.

Już raz popełnił niewybaczalny błąd.

Nie zrobi tego po raz drugi.

## ROZDZIAŁ 7

Nad jeziorem Piney Woods było tak, jak sugerowała to jego nazwa - wzdłuż niego ciągnął się gęsty sosnowy las. Wyglądało jak głęboka niebieska misa, która mogła się przypadkowo przechylić, zalewając okoliczne tereny. Julia zaparkowała swojego starego czarnego pikapa marki Ford należącego niegdyś do jej ojca na jednym z ostatnich wolnych miejsc na zatłoczonym parkingu przed deptakiem. Nie była tu od bardzo dawna - po raz ostatni prawdopodobnie z ojcem, zanim poznał Beverly. Już zapomniała, jakie to piękne miejsce. Gdy razem z Emily wysiadły z auta, poczuły się przytłoczone typowo letnią kakofonią dźwięków i natłokiem zapachów. Mokry piasek, olejek kokosowy, silniki motorówek, śmiech dzieci, wszędobylska muzyka.

- Jak tu głośno! - powiedziała Emily. - Już mi się podoba.

- Pamiętam, że twojej matce też tu się podobało. Ktoś mi kiedyś mówił, że Sassafras zbierały się w jakimś miejscu w zatoce i stamtąd przez całe lato rządziły plażą - mówiąc to, zarzuciła torbę plażową na ramię i powiodła Emily przez nagrany parking.

Poszły w stronę deptaku, a stamtąd zeszły na plażę. Z powodu tłumów musiały iść gęsiego. Julia wciąż zerkała przez ramię, czy Emily za nią nadaża. Emily cały czas się uśmiechała i szybko dogoniła Julię, gdy przystanęła, żeby zdjąć buty.

W końcu zatrzymały się w połowie drogi między deptakiem a zatoką. Na tym brzegu jeziora nad plażą stały duże domy ze szklanymi ścianami wychodzącymi na błyszczącą niebieską wodę. Kiedy Julia wyciągała ze swojej torby dwa ręczniki i rozkładała je na piasku, Emily osłoniła ręką oczy przez rażącym słońcem i rozejrzała się wokoło.

- Miałyśmy się tu spotkać z Sawyerem?

- Nie, dlaczego pytasz? - zdziwiła się Julia, która próbowała właśnie ściągnąć swoje białe szorty. Pod nimi ukazał się czerwony dół od bikini. Równie czerwona góra prześwitywała przez bluzkę z długim rękawem, którą Julia zdecydowała się zostawić.

- Bo tu idzie.

Julia natychmiast się odwróciła i zobaczyła Sawyera zmierzającego w ich stronę wzdłuż plaży. Zawsze rzucał się w oczy i trudno mu było wtopić się w tłum, lecz

teraz nie sposób było nie zatrzymać na nim wzroku bardziej niż kiedykolwiek: w słońcu, na piasku, ze złotą opalenizną był istnym królem plaży.

- Miły jest - rzekła tęsknie Emily. - Gdy tylko go zobaczyłam, wiedziałam, że będzie mówił z takim akcentem. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Przy niektórych mężczyznach wiesz, że są z Południa, zanim jeszcze otworzą usta - odparła Julia, gdy razem z Emily obserwowały zbliżającego się Sawyera z pewną bezsilnością, jakby nie mogły odwrócić wzroku. -Widząc ich, myślisz o czymś miłym: piknikach albo zimnych ogniach nocą. Mężczyźni z Południa będą otwierali przed tobą drzwi, wezmą cię w ramiona, gdy na nich nakrzyczysz, i bez względu na wszystko nie splamią swojego honoru. Ale uważaj na to, co mówią. Mogą sprawić, że uwierzysz we wszystko tylko dlatego, że powiedzą to w ten sposób.

- W jaki sposób? - zapytała zaintrygowana Emily, odwracając się do niej.

- Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiesz - odparła.

- Ktoś mówił do ciebie w ten sposób?

- Owszem - odpowiedziała miękko, gdy Sawyer zatrzymał się przy nich.

- Witajcie, miłe panie.

- Cześć, Sawyerze - rzekła Emily, siadając na ręczniku. Julia zajęła miejsce obok niej i wepchnęła szorty do torby plażowej.

- Co ty tutaj robisz?

- Och, doprawdy nie wiem, Julio - odparł. - Poluję na niedźwiedzie?

Posłała mu nieprzyjazne spojrzenie.

- Posługujesz się eufemizmem?

Zignorował ją i usiadł na ręczniku tuż przy jej stopach. Widziała swoje odbicie w jego okularach przeciwsłonecznych, gdy się w nią wpatrywał. Co on wyprawia? Dlaczego nagle zrobił się taki poufały? Osiemnaście lat milczenia po jej wyjeździe i półtora roku traktowania go oziębło po jej powrocie powinno było w zupełności wystarczyć, aby go zniechęcić do siedzenia na jej ręczniku plażowym w odległości paru centymetrów od jej nagich nóg.

A mimo to był tutaj.

Wszystko przez to, że powiedziała Stelli, iż piecze ciasta przez niego.

„Ale ze mnie idiotka”, pomyślała.

- Moja siostra przyjechała do Mullaby na weekend - powiedział. - Razem z córką zatrzymały się w rodzinnym domku nad jeziorem. Przyszedłem się z nimi zobaczyć.

- A więc nie ma to nic wspólnego z tym, że powiedziałam ci o naszej dzisiejszej wycieczce z Emily nad jezioro? - zapytała sceptycznym tonem.

- Nie sądzisz, że byłoby to zbyt łatwe?

- Dla ciebie wszystko jest łatwe, Sawyerze.

- Nie wszystko. - Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił głowę w drugą stronę. - Idzie moja siostrzenica. Ingrid! - zawołał.

Julia i Emily zobaczyły, jak ładna rudowłosa nastolatka zmienia obrany kierunek, aby do nich podejść. Julia przypomniała sobie, że starsza siostra Sawyera miała rude włosy.

- Tó jest Julia Winterson - przedstawił ją swojej siostrzenicy.

Ingrid uśmiechnęła się.

- Poznaje po różowym pasemku we włosach. Widujemy cię czasem w mieście, kiedy przyjeżdżamy tu z mamą - powiedziała. - Tak przy okazji, to bardzo mi się podoba.

- Dzięki - odparła Julia. - A to jest Emily. Dopiero co się tu przeprowadziła.

- Jakies dzieciaki nad zatoką organizują imprezę na wolnym powietrzu. Pytały, czy chcę przyjść, więc idę uprzedzić mamę. Chciałabyś ze mną pójść, Emily? - spytała Ingrid.

Emily spojrzała na nią tępo.

- Jaki cel jej przyświeca?

- Co masz na myśli?

- Czy to spotkanie klubu?

- To impreza - odrzekła Ingrid, posyłając Emily pytające spojrzenie. Odchodząc zapowiedziała: - Zaraz wracam.

Emily nadal wyglądał na zdezorientowaną.

- Sama utrudniasz sobie życie - skomentowała ze śmiechem Julia, klepiąc ją po ręce. - Wystarczyło powiedzieć: „No jasne!”.

- Spójrz, jak to się robi - rzekł Sawyer. - Julio, umówiłabyś się ze mną w poniedziałek wieczorem?

- No jasne! - odegrała swoją rolę Julia. - Widzisz? Proste. To tylko impreza. Nie chodziłaś na takie w poprzedniej szkole?

- Cóż, razem z mamą pomagałyśmy organizować imprezy. Zazwyczaj dobroczynne. I niektóre kluby pracy społecznej w naszej szkole miały imprezy na zakończenie roku.

- Do jakiej szkoły chodziłaś?

- Do szkoły dla dziewcząt w Roxley. Przyświeca jej idea działalności społecznej i globalnej świadomości. Wolontariat jest częścią programu nauczania. Mama pomogła ją założyć.

Kolejna wzmianka sugerująca, iż Dulcie mogła w swoim życiu zrobić coś dobrego. Emily wspominała o tym już wcześniej - o Dulcie i jej inicjatywach. Jakkolwiek wydawało się to niemożliwe, po wyjeździe stąd Dulcie musiała się zmienić.

- Cóż, jedynym celem tej imprezy jest dobra zabawa. Emily spojrzała na nią z powątpiewaniem.

Julia ponownie się roześmiała.

- Dasz sobie radę. Będę tu na ciebie czekała, gdybyś chciała jechać do domu. Bez spiny.

Wkrótce Ingrid była z powrotem.

- Idziesz, Emily?

Emily wstała, posłała Julii wymuszony uśmiech i poszła za Ingrid.

- Kto by pomyślał, że Dulcie uda się wychować taką porządną dziewczynę - rzekł Sawyer.

- Miły z niej dzieciak, no nie?

- Masz do niej świetne podejście. I wcale mnie to nie dziwi.

Julia nerwowo wzruszyła ramionami, uświadamiając sobie, iż została z nim sam na sam, i nie zdoła uciec przed rozmową, o którą ją prosił.

- Pomyślałam, że przyda jej się osoba, do której będzie się mogła zwrócić, zanim się tu odnajdzie. Pamiętam, jak się czułam w jej wieku. I wierz mi, odczuwam głęboką wdzięczność wobec losu, że jestem teraz tą starszą.

Przez chwilę Sawyer milczał, przyglądając się jej bawczo. Wolałaby, żeby ściągnął okulary. Nie chciała widzieć, jak bardzo jest zakłopotana.

Przypuszczała, że to naturalne, iż czuje się spięta w jego towarzystwie. Rówieśnicy z czasów szkoły średniej zawsze przypominają o dawnym wstydzie i żalu. To jedna z życiowych niesprawiedliwości: można wziąć się w garść, coś osiągnąć i być szczęśliwym, ale gdy tylko spotyka się kolegów z klasy, człowiek od razu staje się tym, kim był, a nie tym, kim jest. Przy Sawyerze była dawną Julią - pokreconą córką faceta, który nie



skończył liceum i zarabiał na życie, przyrządzając barbecue. Sawyer nie zrobił nic, żeby tak się czuła, ale nie mogła temu zapobiec. Mogła go obwiniać o wiele rzeczy, lecz akurat nie o to.

- Dlaczego nie zdejmiesz bluzki? - spytał w końcu.

- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom. - Kiedy nie odpowiedział, dodała: - Przecież wiesz. - Sięgnęła do torby plażowej po butelkę wody, lecz Sawyer chwycił ją za rękę.

Trzymając ją, powoli podciągał rękaw do góry. Kosztowało ją wiele wysiłku, by nie wyrwać ręki z jego uchwytu. Powiedziała sobie, że przecież już je widział. Większość ludzi widziała. Nie była w stanie chować rąk przez cały czas.

Przesuwał kciukiem po jej bliznach. Niektóre były cienkie niczym drucik, inne grube i wypukłe. Zadziwiła ją czułość, z jaką to robił, i poczuła w sercu ukłucie bólu.

- Do kogo ty się zwróciłaś, kiedy byłaś w jej wieku? „Do ciebie”.

- Do nikogo. Stąd wiem, jak to jest. - Uwolniła rękę. - Nie lubię wystawiać rąk na słońce. Blizny wyglądają gorzej na opalonej skórze.

- Czy kiedykolwiek czułaś, że możesz się zwrócić do taty albo macochy?

- Tata nie wiedział, co ze mną począć. Z kolei Beverly uważała, że do jej obowiązków należy opieka nad tatą, a nie bycie moją matką. To ona przekonała go, by wysłał

mnie do poprawczaka. Zawsze będę jej za to wdzięczna. Wyjazd stąd prawdopodobnie uratował mi życie.

- I nie możesz się doczekać, kiedy znów stąd wyjedziesz - stwierdził.

- Nadal odliczam. Zostało sześć miesięcy. Rozłożył się przed nią na ręczniku, opierając głowę na rękach.

- To o której mam po ciebie przyjechać?

- Po co masz po mnie przyjeżdżać? - spytała, gdy wreszcie znalazła butelkę z wodą i upiła łyk.

- Żeby cię zabrać na randkę w poniedziałek. Przyjęłaś moje zaproszenie. Mam na to świadka.

Prychnęła.

- Nie bądź śmieszny.

- Mówię poważnie.

- Nieprawda. Idź namawiać na zdjęcie bluzki kogoś innego. Twój urok na mnie nie działa. Mam pole siłowe, które go odbija.

- Proszę cię. Nie wiedziałabyś, co robić, gdybym ustawił go na pełną moc.

- Nie zastraszysz mnie.

- Ależ tak. Dlatego właśnie daję sobie spokój. Chcę o tym porozmawiać, Julio - rzekł. - Ale nie teraz. -Przeturlał się na plecy, a złote włoski na jego nogach i rękach lśniły jak nitki karmelu.

- Nie ty o tym zadecydujesz - powiedziała mu. Milczał. Czekala, aż sobie pójdzie, lecz tego nie zrobił. Może nawet zasnął.

Wyciągnęła książkę z torby i odsunęła się od niego najdalej, jak mogła, zastanawiając się, która to żalosna część jej serca cieszyła się z przebywania blisko niego.

Przypuszczała, że ta część, która zawsze będzie miała szesnaście lat i która zamarzała, zanim wszystko się zmieniło.

Zbliżając się do miejsca imprezy, Emily coraz bardziej się denerwowała. Gdyby nie te starsze panie, nie roztrząsałaby teraz, czy pasuje do Mullaby, ale zaczęła się martwić, co ludzie o niej pomyślą. Powtarzała sobie w duchu, że nie istnieje powód, dla którego nie mogłaby się wpasować. Po prostu, będąc „tą nową”, doświadcza chwilowego ataku nieśmiałości.

Grupa ulokowała się z dala od plaży, między szpalerami drzew na tyłach zatoki. Konary kilku z nich tworzyły coś na kształt grotty. Słysząc było muzykę. Niektóre dzieciaki trzymały napoje w plastikowych kubkach. Dwóch chłopaków grało w futbol dotykowy i wchodziło innym pod nogi. Było też kilku dorosłych. Jeden z nich - otyły, towarzyski mężczyzna o czarnych włosach i tubalnym głosie - pilnował grilla i zdawał się mistrzem ceremonii.

Gdy tylko zmieszały się z tłumem, Ingrid zostawiła ją samą. Emily poszła w stronę drzewnej grotty. Wzięła parę głębokich oddechów. Nie było powodu do paniki.

Julia mówiła, że to tutaj Sassafras spotykały się latem. Emily była w stanie stwierdzić, że miejsce stało się popularne wśród dzieciaków wiele lat wcześniej, gdyż na pniach drzew wyryto imiona i inicjały. Zwróciła uwagę zwłaszcza na jedno: duże serce z inicjałami D.S. + L.C. w środku. Zastanawiała się, czy D.S. to Dulcie Shelby. Uśmiechnęła się na tę myśl. Miło było wyobrazić sobie chłopca, który kiedyś tak mocno pokochał jej matkę, że wyrył na drzewie ich inicjały. W dorosłym życiu jej matka nie chodziła zbyt często na randki. Na kilka spotkań poszła z mężczyznami, których poznała w pracy - wszystkie skończyły się krótkim romansem. Nie szukała nikogo na stałe. Mówiła o tym Emily wprost. „Zawsze mów otwarcie o swoich potrzebach i oczekiwaniach” - powtarzała. - „W ten sposób nikogo nie skrzywdzisz”. O ile było jej wiadomo, jedynym poważnym związkiem jej matki był ten z ojcem Emily, lecz nawet i on się tak nie zapowiadał. Poznali się na pełnym morzu, gdzie protestowali przeciwko zabijaniu delfinów przez rybaków. Spędzili razem na łódce dziesięć dni, czego owocem była Emily. Jej ojciec zmarł dwa lata później w wypadku łodzi organizacji Sea Shepherd, kiedy próbował powstrzymać nielegalny połów wielorybów. Jej rodzice nigdy się nie pobrali, a Emily w ogóle nie pamiętała swojego ojca, był więc jak większość tematów z przeszłości jej matki - tajemniczy i zakazany.

Gdy stała plecami do uczestników imprezy, wpatrując się w drzewo, poczuła nagle coś dziwnego, jakby wstęgi ciepła owijające ją od tyłu. Było to dość niepokojące i początkowo zamierzała z tym walczyć, machać ramionami i to z siebie strząsnąć. Powstrzymała się jednak, gdyż nie chciała wyjść na idiotkę przy tych wszystkich dzieciakach. Czekwała, co stanie się dalej, i doszła do wniosku, że to uczucie wcale nie jest nieprzyjemne. Wcale a wcale. Zamknęła oczy i poczuła się jakby... podniesiona na duchu.

Znów otworzyła oczy i coś sprawiło, że się odwróciła.

Przed nią stał Win Coffey.

Miał na sobie długie kąpielówki, ciemne od wody i przylegające do ud. Z mokrych włosów kapało mu do oczu i pachniał jak ciepła woda z jeziora.

Odchrząknęła.

- Prawie cię nie poznałam w tym stroju - powiedziała.

Uniósł kącik ust wyraźnie rozbawiony.

- Ten jest nieco inny niż codzienny.

- Nie masz muszki.

- Ciężko się z nią pływa. Próbowałem. Przeniosła wzrok z jego ust na brodę, a potem na

strużkę wody ciekącą po jego nagim torsie. Zawstydzona, pospiesznie wróciła spojrzeniem do jego oczu. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z wody i przyszedł do niej jak po sznurku. Ale skąd mógł wiedzieć, że ona tu jest? Jak mógł ją dostrzec z wody? Nad jego

ramieniem dostrzegła, iż niektóre dzieciaki obserwowały ich i szeptały coś między sobą. Win zdawał się tym nie przejmować. Najwyraźniej on tu pasował. Jego zainteresowanie nią musiało wzbudzić sensację.

- Czy te wszystkie dzieciaki chodzą do tej samej szkoły? - zapytała.

- Niektóre przyjechały nad jezioro tylko na wakacje i wyjadą jesienią - odparł, nie odrywając od niej wzroku. - Niektóre mieszkają tu na stałe i owszem, chodzą do tutejszej szkoły.

- Szkoły średniej w Mullaby?

- Zgadza się.

- Jesienią zacznę ostatnią klasę.

- Wiem, ja też. - Odgarnął do tyłu swoje ciemne, mokre włosy, co prawie zatamowało jej oddech. - To nie tak, że nie jest mi miło cię znowu widzieć, ale muszę zapytać: co ty tutaj robisz?

- Tutaj? - spytała. - Chodzi ci o imprezę? - Tak.

- Próbuję się wpasować.

- Nie wychodzi ci. Przygotuj się.

- Na co? - Gdy tylko zadała to pytanie, obok Wina pojawiła się ciemnowłosa dziewczyna w pomarańczowym kostiumie kąpielowym.

- Ty jesteś Emily Benedict, prawda? - zapytała z taką samą mieszaniną niechęci i ciekawości, jaką Win przejawiał podczas ich pierwszego spotkania, lecz nieco bardziej uszczypliwie.

- Tak - odrzekł Win, zanim Emily zdążyła coś powiedzieć. - Emily, to moja siostra Kylie.

- Nie byłaś zaproszona - powiedziała bez ogródek. -Zepsujesz moją imprezę.

- Ja... ja przyszłam z Ingrid - odparła Emily, paląc się ze wstydu.

- Powinnaś stąd iść.

Win wreszcie oderwał wzrok od Emily i posłał siostrze karcące spojrzenie.

- Kylie, przestań, bo jesteś nieuprzejma.

- Nie jestem. Mówię poważnie. Powinna stąd odejść. -Kylie wskazała coś przez ramię.

Odwróciwszy się w tamtą stronę, Win zobaczył, jak duży mężczyzna, mistrz ceremonii, odszedł od grilla i powoli się do nich zbliża.

Win zaklął pod nosem.

- Chodźmy stąd. - Wziął Emily za rękę i razem okrążyli zatokę wzdłuż linii drzew. Na plaży Win zatrzymał się dopiero, gdy stracili grotę z oczu.

Potarła rękę w miejscu, za które ją chwycił. Tam gdzie ją dotknął, czuła teraz ciepło.

- Przepraszam - powiedziała zaskoczona tym, jak szybko się to potoczyło. - Nie wiedziałam, że to impreza zamknięta.

Stali naprzeciwko siebie na zatłoczonej plaży, a zewsząd dobiegały ich odgłosy gorącego lata.

- Nie jest zamknięta.

Minęła chwila, zanim to do niej dotarło. Skoro impreza nie była zamknięta, to znaczy, że ona nie była tam mile widziana. Tylko ona.

- Ach tak.

- Czy twój dziadek już ci powiedział? - niespodziewanie spytał Win.

- O czym?

- O twojej matce i moim wujku. O co w tym wszystkim chodzi. - Skinął głową w stronę groty.

Nadal nie było dla niej jasne, w jaki sposób wyrzucenie z imprezy było powiązane z jej matką i jego wujem, więc stwierdziła:

- Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że będę mogła cię o to zapytać, kiedy znów na ciebie wpadnę. Obiecałeś, że mi to powiesz przy naszym następnym spotkaniu.

- Naprawdę tak powiedziałem? Następne spotkanie wydawało się wtedy tak odległe. - Zawahał się, zanim powiedział: - Mój wujek jako nastolatek popełnił samobójstwo.

Nie spodziewała się tego i nie wiedziała, jak zareagować. Przyszło jej do głowy jedynie:

- Przykro mi.

- Zrobił to przez twoją matkę.

Ogarnął ją niepokój. Natychmiast pomyślała o inicjałach na drzewie. D.S. + L.C. Dulcie Shelby i Logan Coffey.

- Byli w sobie zakochani - rzekł Win, przyglądając się jej badawczo. - A przynajmniej on był zakochany



w niej. Jego rodzina nie chciała, by się z nią wiązał, lecz sprzeciwił się ich woli i zerwał z wiekową tradycją. Potem twojej matce się odmieniło i złamała mu serce, jakby to, co dla niej zrobił, co poświęcił, nie miało najmniejszego znaczenia.

Emily rozpaczliwie próbowała go zrozumieć.

- Zaraz. Twierdzisz, że winę za jego śmierć ponosi moja matka?

- Wszyscy tak uważają, Emily.

- Co znaczy wszyscy? - Usłyszała, że podnosi głos.

Win również to zauważył. Poprawił troczki przy kąpielówkach, po czym położył ręce na swoich szczupłych biodrach.

- Przykro mi. Powinienem był wymyślić jakiś miłszy sposób, by ci o tym powiedzieć. To nieco trudniejsze, niż się spodziewałem.

- Niby co jest trudniejsze, niż się spodziewałaś? - żądała odpowiedzi. - Przekonanie mnie, że moja matka ponosi odpowiedzialność za samobójstwo twojego wujka? No to ci powiem, że moja matka była wspaniałą osobą. Nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby skrzywdzić kogoś drugiego. Nigdy.

Win nagle obejrzał się przez ramię, jakby wyczuwał, co może się stać za chwilę.

- Mój tata mnie szuka. Chodźmy tędy.

Chwycił ją za rękę i poprowadził dalej od wody, w stronę sosnowego lasu.

Jej bose stopy wzbijały w górę piasek, kiedy truchtała obok, by dotrzymać mu kroku.

- Gdzie idziemy?

- Tam gdzie nas nikt nie zobaczy - odparł, gdy stanęła na chłodnym, pokrytym sosnowymi igłami podłożu.

Intensywny zapach żywicy przypomniawszy jej o stroikach na Boże Narodzenie i dekoracjach z czerwonego szkła. Zaledwie kilka kroków od jeziora znaleźli się w innym świecie, w innej porze roku.

- Nie mam butów - rzekła, zmuszając go, by się zatrzymał. Odwrócił się do niej.

- Coś ostatnio często bywasz w lesie bez butów. Nie bawiło jej to.

- Co ty wyprawiasz?

- Wierz lub nie, ale próbuję ci pomóc.

- Pomóc mi w czym? - Sfrustrowana, uniosła ręce do góry.

- Wpasowaniu się.

Sarknęła na niego. Jeśli „wpasowanie się” oznaczało uwierzenie w tę historyjkę o jej matce, to nigdy tego nie zrobi.

Zanim odwróciła się, by odejść w stronę plaży, powiedział:

- No dobrze, oto podstawowe fakty: twoja matka miała opinię rozpuszczonej i okrutnej, mój wujek był łatwowierny i nieśmiały. Wykorzystując uczucia, jakie

do niej żywił, namówiła go do zdradzenia całemu Mullaby rodzinnej tajemnicy Coffeyów, tylko dlatego, że mogła. A potem się od niego odwróciła. Zdruzgotany tym, że ją stracił i skrzywdził swoją rodzinę, wkrótce potem się zabił. A ona wyjechała z miasta, nie mówiąc nawet „przepraszam”. Wiem, że ciężko ci tego słuchać, ale teraz już rozumiesz, dlaczego ludzie tutaj zachowują się przy tobie... w ten sposób.

- W jaki sposób?

Uniósł swoje ciemne, mocno zarysowane brwi.

- Jeszcze nie zauważyłaś? Emily zawahała się.

- Jednak zauważyłaś.

Pokręciła głową. Była na niego wściekła za to, że mówił takie rzeczy, lecz jeszcze bardziej na siebie za to, że stała tam i go słuchała.

- Nie znałeś mojej matki. Ja ją znałam. Ona nigdy by się od nikogo nie odwróciła.

Win spojrzał na nią łagodnie i współczująco. Wyraźnie było mu przykro, że jego słowa ją zraniły, ale nie zamierzał przeproszać za to, iż w ogóle je wypowiedział. Czy właśnie to miał na myśli, gdy mówił, że wiele ich łączy?

- Niby dlaczego mam ci wierzyć? - napadła na niego. - Dlaczego mam wierzyć w to, co mówisz?

Wzruszył ramionami.

- Chyba nie powinnaś. I pewnie byłoby lepiej, gdybyś nie miała ze mną nic wspólnego. Dziwne, że dziadek

jeszcze ci nie kazał trzymać się ode mnie z daleka. Ale wkrótce to zrobi. Sama się przekonasz.

Na moment zerwał się wiatr i musnął korony drzew. Zmienacka spadły na nich kaskadą sosnowe igły, zarówno zielone, jak i brązowe. Gdy Emily spojrzała na Wina przez deszcz igieł, uległa osobliwemu zauroczeniu. Kim był ten dziwny chłopak? Czego od niej chciał?

- Jaką tajemnicę zdradził twój wujek? - zapytała niespodziewanie dla samej siebie.

Zanim odpowiedział, długo się zastanawiał, jakby walczył ze sobą. W końcu jego usta wykrzywiły się cynicznie i czar prysł.

- Gdybym ci powiedział, nie uwierzyłabyś. Chętnie dzielił się cudzymi sekretami, lecz własnego

wyjawiać nie chciał. Powinna móc z łatwością odrzucić wszystko, co usłyszała od kogoś tak obłudnego, lecz nadal nie dawało jej to spokoju. Była z tego powodu wściekła.

Odwróciła się sztywno i poszła nad brzeg jeziora. Z powrotem do lata.

Przeszła przez plażę do miejsca, gdzie Julia siedziała na ręczniku po turecku, czytając książkę. Sawyer leżał rozciągnięty u jej stóp niczym ogromny rudy kocur.

Julia podniosła wzrok, gdy padł na nią cień Emily.

- Emily? Co się stało? - spytała, odkładając książkę na bok.

- Nic. Jeśli można, to chciałabym jechać do domu. - Nagle rozpaczliwie zapragnęła porozmawiać z dziadkiem.

Tylko on naprawdę znał jej mamę. Powie jej, że Win kłamał.

Sawyer usiadł i ściągnął okulary.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - stwierdził.

- Nic mi nie jest. - Do zapewnienia dołączyła uśmiech.

- Moja siostra zachowała się nieuprzejmie. Przepraszam za nią. - Odwróciła się, słysząc za sobą głos Wina. Nie zdawała sobie sprawy, iż szedł za nią. Gdy spojrzał jej w oczy, dostrzegła w nich zmartwienie.

Sawyer wstał. Jak na kogoś tak przystojnego, potrafił wyglądać imponująco, kiedy się zezłościł. Był równie wysoki jak Win, ale znacznie masywniejszy.

- Co takiego powiedziała, żeby zdenerwować Emily? Zanim Win zdołał odpowiedzieć, Julia się wtrąciła:

- To była wasza impreza?

- Urodzinowa impreza mojej siostry.

- Jezusie drogi - rzekła i chwyciwszy torbę, pospiesznie wrzuciła do niej ich ręczniki, swoją książkę i butelkę wody, po czym wstała. - Nie wiedziałam. Chodź, skarbie. Jedziemy do domu.

- Mogę ją zabrać - zaproponował Win. - Mam po drodze, a i tak muszę być w domu przed zachodem słońca. - Wyciągnął dłoń, Emily zaś bez zastanowienia podała mu swoją.

Natychmiast oprzytomniała i próbowała zabrać dłoń, lecz trzymał ją mocno. Jego ręka była ciepła i sucha, jakby dopiero co ściągnął rękawiczkę.

- Ja ją zabiorę - odparła Julia.
- To dla mnie żaden kłopot. Sawyer zrobił krok do przodu.
- To nie jest dobry pomysł, Winie.

Win wpatrywał się przez moment w Emily, po czym rzekł:

- Chyba osiągnęliśmy konsensus. - W końcu puścił jej dłoń.

Zatęskniła za jego dotykiem. Zupełnie oszalała. Julia otoczyła ją ramieniem i poprowadziła w drugą stronę.

- Chodźmy.

- Jeśli mnie potrzebujecie, mogę pojechać z wami -zawołał za nimi Sawyer.

- Nie trzeba. - Julia zamilkła, spoglądając na niego przez ramię, a potem dodała: - Ale dzięki.

Razem z Emily przeszły przez plażę i parking w milczeniu. Gdy usiadły w samochodzie, którego czarne siedzenia były nagrzane od słońca, Julia natychmiast włożyła kluczyk do stacyjki. Choć Emily bardzo nie chciała w to wierzyć, reakcja Julii poniekąd uwiarygodniła historijkę Wina.

- Win powiedział, że jego wujek popełnił samobójstwo przez moją mamę - wygadała się Emily.

Julia uruchomiła silnik. Widać było, że nie chce tego komentować.

- Ale to nieprawda?

- Prawda czy nie, nie powinien był ci tego mówić -odparła Julia i odwróciwszy się do niej, dotknęła jej ramienia.

Emily prawie wyszła z siebie. Podobało jej się, że Julia traktuje ją po matczynemu, lecz teraz to było dla niej zbyt wiele.

- Powiedział, że była okrutna - dodała, zabierając rękę.

Julia nieco się skrzywiła.

- To coś, o czym powinien ci powiedzieć twój dziadek. Nie ja, a z pewnością nie Win. - Julia spoglądała na nią przez chwilę. Widać było, że przepełnia ją współczucie i szczerą chęć, by polepszyć sytuację. - Długo trwało, zanim to sobie uświadomiłam, ale to my wybieramy, co nas określa. Teraz nie ma to za wiele sensu, lecz kiedyś będzie miało. Tak?

Emily z ociąganiem skinęła głową.

- No to w porządku. - Julia wrzuciła wsteczny bieg. -Zabiorę cię do domu, żebyś pogadała z dziadkiem.

## ROZDZIAŁ 8

Dobrze, że wróciłaś - rzekł dziadek Vance. Pochyliwszy głowę, wyszedł ze swojego pokoju, gdy tylko Emily stanęła przed drzwiami wejściowymi. Zdziwiła się, że zrobił to sam z siebie. Była przygotowana na to, że będzie musiała go stamtąd wykurzyć. - Pomyślałem sobie, że przydałby ci się samochód, żebyś mogła jeździć nad jezioro, kiedy będziesz chciała, zamiast kisić się w domu. Tak się składa, że mam jeden. Znaczy się samochód.

- Dziadku...

- Sam nim nie jeżdżę. Nigdy nie byłem w stanie z takimi nogami. Ale twoja babcia miała samochód. Chodź, pokażę ci.

O co w tym wszystkim chodzi? Jeszcze zeszłej nocy jedli barbecue w milczeniu. Poprowadził ją przez kuchnię, choć przez drzwi na werandę musiał przechodzić



bokiem, gdyż jego ramiona były szersze niż framuga. Podążyła za nim na zewnątrz, gdzie wzdłuż domu przeszli w stronę starego garażu. Wyglądał na nieużywany, ani nawet nieotwierany, od wieków. Nie było już do niego drogi dojazdowej z ulicy, więc stał na trawniku niczym wyspa, która utraciła most łączący ją z lądem.

Kiedy Vance podniósł do góry drzwi garażowe, w słońcu zaśniły drobinki kurzu, lecz nie było widać, co jest w środku. Wyciągnął dłoń w poszukiwaniu włącznika światła. Fluorescencyjna lampa zapaliła się niechętnie: buczała, mrugała i narzekała, aż wreszcie postanowiła należycie oświetlić samochód.

- To oldsmobile cutlass, rocznik 1978 - powiedział. -Przez kurz nie widać, ale jest brązowy. Jeśli nie masz nic przeciwko jeżdżeniu czymś tak starym, to oddam go do przeglądu.

Emily wpatrywała się w auto.

- Moja mama nim jeździła?

- Nie. Na szesnaste urodziny zażyczyła sobie kabriolet, więc go dostała. - Zamilkł. - Jeśli chcesz, mogę ci kupić coś innego.

- Nie - odparła natychmiast. - Myślę, że ten mi się spodoba. Wygląda jak sportowy.

- Sportowy, he? Lily by się to spodobało. Odwróciła się do niego.

- Kim jest Lily?

Vance'a to wyraźnie zszokowało.

- Lily była moją żoną, dziecko - rzekł. - Czy twoja matka nigdy o niej nie opowiadała?

- Nie powiedziała mi o niczym. - Emily zgarnęła włosy za ucho. „Porozmawiaj z nim”. - Dziadku, dzisiaj nad jeziorem była jakaś impreza. Okazało się, że urządzili ją Coffeyowie, i kazano mi z niej wyjść.

Jeśli skrajne oburzenie byłoby czymś, co można zobaczyć, wyglądałoby jak dwuipółmetrowy mężczyzna, który gwałtownie stanął na baczność.

- Kazano ci wyjść?

- Cóż, nie wprost - odpowiedziała nadal zawstydzona całą sytuacją. - Ale było dla mnie jasne, że Coffeyowie mnie nie lubią. Cóż, z wyjątkiem Wina. Tak sędzę. Prawdę mówiąc, nie jestem tego taka pewna.

- Przecież cię prosiłem, Emily - zawołał - żebyś trzymała się od niego z daleka!

Win miał rację. Twierdził, że dziadek Vance powie to prędzej czy później.

- Prosiłeś, żebym trzymała się z daleka od światła z Mullaby, a nie od Coffeyów. Nie wiedziałam, że robię coś złego.

Vance wziął głęboki oddech i potrząsnął głową.

- Masz rację. To nie twoja wina. - Wpatrywał się w samochód przed dłuższą chwilę, po czym zgasił światło. - Miałem nadzieję, że skoro upłynęło tak wiele czasu, stare rany się zagoją.

- Czy to z powodu mojej mamy? - spytała z wahaniem. - Win powiedział mi dzisiaj coś zupełnie niewiarygodnego.

Twierdził, że mama była okrutna, lecz to nie może być prawda. Przecież była wspaniałą osobą. Prawda, że była wspaniała? Wiem, że nie chcesz o niej rozmawiać, ale proszę, powiedz mi tylko to.

- Dulcie była krnąbrnym dzieckiem - odparł, opuszczając drzwi garażowe. - Miała żywe usposobienie i była uparta. Swoją energią potrafiła nieźle dopiec ludziom, ale była też bystra, wesoła i dociekliwa. Odziedziczyła to po Lily. Miała dwanaście lat, kiedy Lily zmarła. - Odwrócił wzrok i zakłopotany, pospiesznie przetarł oczy dłonią. - Nie umiałem sobie z nią poradzić. Stwierdziłem, że jedyne, co mogę zrobić, to dać jej wszystko, o co poprosi. Z początku wystawiała mnie na próbę, żądając ekstrawaganckich rzeczy. Chciała sprawdzić, jak daleko może się posunąć. Nigdy jej niczego nie odmówiłem. Miała wszystko, co najlepsze. Gdy trochę podrosła, zaczęła czerpać przyjemność z dokuczania ludziom, którzy nie mieli tak wiele. Bywała bardzo okrutna. Julia często padała jej ofiarą.

Emily poczuła się tak, jakby wchodząc na górę po schodach, niespodziewanie przegapiła jeden stopień.

- Mama była okrutna dla Julii? Powoli skinął głową.

- Dla innych też - dodał niechętnie.

Emily bardzo chciała nie dopuścić do siebie tej informacji i odpychała ją z całych sił. Przecież to niemożliwe, że mówi o jej matce. Była dobrą i bezinteresowną osobą. Chciała ocalić świat.

- W swoim kręgu towarzyskim była królową, a jej słowo stawało się prawem. Miała niesamowitą władzę. Kogo zaakceptowała, był akceptowany przez innych. Kogo odrzuciła, był przez nich odrzucony - mówił. - Gdy więc wzięła pod swoje skrzydła tego nieśmiałego chłopca z problemami, Logana Coffeya, i kazała wszystkim go zaakceptować, tak się stało.

- Win powiedział, że on popełnił samobójstwo.

- Owszem.

Emily zamilkła, zastanawiając się, czy na pewno chce zadać to pytanie:

- Czy mama miała z tym coś wspólnego? Czekala, wstrzymując oddech, aż wreszcie odpowiedział:

- Owszem.

- Co zrobiła? - wyszeptała Emily.

Vance walczył ze sobą, żeby jej powiedzieć. Przez chwilę spoglądał w niebo, po czym zapytał:

- Co ci powiedział Win?

- Że Logan kochał moją mamę, lecz jego rodzina jej nie zaakceptowała. Logan zerwał z ich tradycją, żeby z nią być, ale jedyne, czego mama chciała, to zmusić go do zdradzenia tajemnicy rodziny Coffeyów.

Vance westchnął.

- Coffeyowie są teraz bardziej towarzyscy, ale wtedy byli zamknięci we własnym kręgu. A dla Dulcie status był ważny. Zaczęło się przeze mnie, bo dawałem

jej wszystko, żeby tylko utulić jej żal po śmierci matki. Myślałem, że skoro dostała tak dużo, będzie szczęśliwa. Kiedy Coffeyowie nie dopuścili jej do swojego kręgu i krzywili się na jej związek z Loganem, Dulcie była zła. Nie tylko zła. Była sina z wściekłości. Po śmierci Lily trudno jej było panować nad sobą. Często wybuchała gniewem. Coffeyowie mieli, i nadal mają, jedno dziwactwo: nigdy nie wychodzą z domu w nocy. Nigdy. Ale Logan to zrobił, dla Dulcie. Jednej nocy zwołała większość mieszkańców przed altaną w parku, obiecując, iż zrobi dla nich przedstawienie. Miała piękny głos. Lecz zamiast tego na scenę wprowadziła Logana.

Czekała, aż powie coś więcej. Musiało się za tym kryć coś więcej.

- Ależ to zupełnie bez sensu - odparła. - Popęłił samobójstwo, bo kazała mu w nocy wyjść z domu? To jest ten wielki sekret? Co za absurd! To najbardziej absurdalna rzecz, jaką w życiu słyszałam.

- Dla Coffeyów tradycja była zawsze bardzo ważna - powiedział Vance. - A Logan był bardzo wrażliwym młodzieńcem i miał wiele problemów. Przez to samobójstwo Coffeyowie omal nie opuścili miasta. Gdyby wyjechali i zabrali ze sobą swoje pieniądze, Mullaby popadłoby w ruinę. Dulcie przebrała miarkę. Po tym, na co naraziła rodzinę Coffeyów i na co omal nie skazała całego miasta, nikt już nie chciał mieć z nią nic wspólnego. W końcu zrobiła coś, czego nikt nie mógł jej wybaczyć, z czego nie mogłem jej wykupić.

Emily była kilka metrów od niego, zanim dotarło do niej, że się cofa.

- Nie mówiłem o tym od dwudziestu lat - ciągnął Vance. - I zamierzałem utrzymać to przed tobą w tajemnicy, bo byłoby lepiej, gdybyś nie wiedziała. Jak widać, Coffeyowie uznali inaczej. Przykro mi.

Emily nadal się cofała. Vance tylko za nią patrzył, jakby spodziewał się, że odejdzie - jakby był do tego przyzwyczajony. Bez słowa odwróciła się i weszła do domu.

Gdy dotarła do swojego pokoju, stanęła na środku, nie wiedząc, co ze sobą począć. Przyjazd tutaj był błędem. Powinna była się domyślić, że jej matka miała jakiś powód, by nie mówić jej o tym miejscu. Było z nim coś nie tak. Od początku czuła to bardzo wyraźnie. Ludzie tutaj popełniali samobójstwo tylko dlatego, że zerwali z tradycją. Że wyszli w nocy z domu. A ta osoba, którą wszyscy zapamiętali jako Dulcie Shelby, wcale nie była jej matką.

Gdy tak stała, dotarł do jej uszu lekki trzepot, jakby coś przebywało z nią w pokoju.

Pospiesznie zadarła głowę i rozejrzała się po sypialni. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Potykając się lekko, okręciła się dookoła.

Na tapecie nie było już bzu.

Zaroilo się na niej od maleńkich, wielobarwnych motyli.

Emily mogłaby przysiąc, że kątem oka dostrzegła, jak niektóre z nich trzepoczą skrzydłami. Wzór nie był regularny - motyle były po prostu wszędzie. Tkwiły w szaleńczym, nieustannym napięciu, jakby rozpaczliwie chciały się wydostać z tego pokoju i z tego miasta.

Podeszła do ściany przy łóżku i przyłożyła rękę do tapety.

Na chwilę zrezygnowała ze swojego sceptycyzmu, bo doskonale wiedziała, co czują.

Opuściła głowę i powoli wycofała się z sypialni, a następnie zbiegła po schodach. Vance właśnie wrócił z ogrodu i wchodził do kuchni.

- Tapeta w moim pokoju - powiedziała bez tchu. - Kiedy ją zmieniłeś?

Uśmiechnął się.

- Za pierwszym razem jest zawsze najtrudniej. Przyzwyczaisz się.

- Tapeta wygląda na starą. Jak osiągnąłeś taki efekt? Jak udało ci się ją przykleić tak szybko? Jak to zrobiłeś, że... się porusza?

- Nie zrobiłem tego. Tak się po prostu dzieje. - Zamachał ramionami niczym magik. - Zaczęło się od mojej siostry. Nikt nie wie dlaczego. To jedyny pokój w domu, w którym to się dzieje, więc jeśli chcesz, możesz zmienić sypialnię.

Pokręciła głową. Zbyt wiele wariactw jak na jeden dzień.

- Nie jestem dzieckiem, dziadku. Tapety nie zmieniają się same.

Zamiast się z nią kłócić, zapytał:

- Co teraz na niej jest? Jak gdyby nie wiedział.

- Motyle. Szalone motyle!

- Pomyśl o tym pokoju jak o uniwersalnej prawdzie -zalecił dziadek Vance. - To, w jaki sposób postrzegamy świat, co rusz się zmienia. Wszystko zależy od naszego nastroju.

Wziąwszy głęboki oddech, próbowała zachować się taktownie.

- Doceniam to, że chciałeś dodać mojej sypialni trochę magii, i z pewnością włożyłeś w to wiele wysiłku ale ten wzór nie przypadł mi do gustu. Czy mogę go' zamalować?

- To nie zadziała - odparł, wzruszając ramionami -Twoja matka próbowała, ale farba nie chciała się trzymać. Nie dała też rady zerwać tej tapety.

Zamilkł. Nikt w tym mieście nie chciał odpuścić Nie w kwestii jej matki. Nie w kwestii tego... kryzysu tapetowego.

- Twierdzisz, że utknęłam w nastrojowym pokoju.

- Jeśli chcesz się przenieść...

Emily oparła się o lodówkę, gdyż stanie na własnych nogach wydało jej nagle się zbyt trudne. Dziadek Vance przypatrywał się jej w milczeniu. Do tej pory nie



zauważyła, że przechyla się na jedną stronę, jakby bolało go lewe biodro.

- Nadal czekam, aż ktoś mi powie, że to jakiś żart - rzekła po chwili.

- Dobrze znam to uczucie - odparł szeptem. Spojrzała mu w oczy.

- Czy kiedyś poczuję się lepiej?

- W końcu ci przejdzie.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Ale mimo to będzie jakoś musiała z tym żyć.

Czy istniał jakiś inny wybór? Przecież nie miała dokąd pójść.

Ponad siedemdziesiąt lat temu, w czasie lutowej pełni księżyca nazywanej tutaj Śnieżnym Księżycem, kiedy jezioro Piney Woods całkowicie zamarzło, a wodne rośliny uwięzione w lodzie zdaniem dzieci jeżdżących na łyżwach wyglądały jak skamieliny, w domu obok rezydencji Coffeyów przy Main Street wybuchł pożar.

Płomienie wydobywały się z okien, gdy zjawiała się straż pożarna. Sześciu najsilniejszych mężczyzn w mieście musiało pchać wóz strażacki na miejsce, bo silnik nie chciał zapalić na mrozie. Przykryci kocami mieszkańcy zgromadzili się tłumnie w parku po drugiej stronie ulicy, by popatrzeć na pożar. Nad nimi unosiły się

obłoki zmrożonej pary z ust. Vance miał wtedy zaledwie cztery lata, a jego wzrost nie był jeszcze powodem do zmartwienia dla członków jego rodziny. Właściwie to w tamtym okresie jego ojciec był dumny z posiadania takiego postawnego chłopca. Tamtej nocy Vance miał na głowie czerwoną czapkę. Na jej czubku przyszyty był pompon, którym bawiła się jego starsza siostra. Stała tuż za nim i byli przykryci jednym kocem.

Wszyscy gapie utkwili wzrok w żółto-złoty i niebiesko-pomarańczowych jezorach ognia. Było to jak obserwowanie wspomnienia lata w czasie zimnej, srogiej zimy, przez którą prawie o nim zapomnieli. Niektórzy byli tak zahipnotyzowani, tak złaknieni cieplejszej pogody, końca bolących stawów, zamarznętej wody w umywalni i skóry tak suchej, że pękała i łuszczyła się jak papier, że podchodzili do płonącego domu niebezpiecznie blisko. Okryci sadzą, byli odciągani przez strażaków.

Najpierw dostrzegła to jedna osoba, potem kolejna, i wkrótce cały tłum przypatrywał się nie płomieniom, lecz sąsiedniej posesji, na której stała rezydencja Coffeyów. Z okien od strony płonącego domu wychylali się wszyscy służący i by utrzymać ogień z dala od rezydencji, wylewali w jego stronę wszelkie płynne substancje, jakie mieli pod ręką: wodę z wazonów, zalewę ze słoików z brzoskwiniami, płyn z kuli śnieżnej z pokoju dziecięcego, herbatę z filiżanki, która została po śniadaniu.

Mieszkańcy patrzyli na to z przerażeniem. Powoli zaczęli sobie uświadamiać, że Coffeyowie nie zamierzają wychodzić, zaś ich dzielna, lojalna służba stara się ich ocalić.

W końcu ogień ugaszono. Z wyjątkiem nadpalonych krzewów azalii, które i tak by przemarzły, rezydencja Coffeyów nie ucierpiała. Następnego ranka po mieście zaczęła krążyć opowieść o tym, jak to przed pożarem szalejącym po sąsiedzku Coffeyowie schronili się w piwnicy, utrzymując, iż wolą umrzeć, niż wyjść z domu w nocy.

Ludzie od zawsze wiedzieli o awersji Coffeyów do wychodzenia po ciemku, wcześniej jednak nikt nie zdawał sobie sprawy, jak poważnie do tego podchodzą. Wtedy po raz pierwszy mieszkańcy Mullaby zaczęli się zastanawiać. Może nie wychodzą w nocy dlatego, że nie chcą... Może nie wychodzą dlatego, że nie mogą.

Jako dziecko Dulcie uwielbiała tę historię. Czasami Vance musiał ją opowiadać dwukrotnie, zanim poszła spać. Dulcie była zawsze blisko ze swoją matką, ale od niego trzymała się raczej z daleka. Może przez to, że od początku zachowywał się przy niej bardzo powściągliwie. W porównaniu z nim była wprost niewiarygodnie mała. Bał się, iż przez przypadek na nią nadeptnie albo przeleci mu przez palce, jeśli weźmie ją na rękę. Gdy więc znalazł coś, co ją do niego zbliżało, jak opowieści o Coffeyach, był absolutnie zachwycony. Nie wiedział

jeszcze, że przygotowuje grunt pod przyszłą katastrofę. Zanim stała się nastolatką, Dulcie miała już obsesję na punkcie Coffeyów.

Nie chciał, by z Emily było tak samo.

Gdy Emily położyła się spać, Vance przyniósł sobie krzesło na werandę z tyłu domu i czekał, trzymając w jednej dłoni latarkę, a w drugiej, dla kurażu, czterolistną koniczynkę. Na niebie zawisł Jeleni Księżyc. Lipcowa pełnia była czasem młodych kochanków.

Światło z Mullaby pojawiało się od dawna i krążyły na jego temat niezliczone historie. Lecz wkrótce po pożarze zaczęła krążyć plotka, iż światło z Mullaby to tak naprawdę duchy zmarłych członków rodziny Coffeyów, które po śmierci biegają swobodnie, bo nie mogły tego robić za życia. Plotka się przyjęła i do dziś właśnie tak mieszkańcy miasta odpowiadali na pytania przyjezdnych.

Kiedy tej nocy światło pojawiło się w lesie, Vance wstał i zapalił latarkę.

- Idź, skąd przyszedłeś - zawołał łagodnie, wiedząc, że zostanie usłyszany. - Wiem, co moja córka wam zrobiła, ale nie dostaniesz Emily.

## ROZDZIAŁ 9

Późnym poniedziałkowym popołudniem Julia wracała do domu z poczty obarczona plikiem listów. Nadal była wstrząśnięta informacją, jaką otrzymała. Gdy skręciła na Shelby Road, znów wzięła do ręki pocztówkę leżącą na wierzchu.

Ciągle nie mogła w to uwierzyć. Kartka była od Nancy, przyjaciółki z Baltimore. Ponieważ Julii nie było stać na opłacenie telefonu w mieszkaniu, średnio raz w miesiącu Nancy pisała jej, co się działo z ich starą grupą znajomych - niesforną zgrają młodych przedstawicieli wolnych zawodów, którzy pijali koktajle i rozmawiali o rzeczach bez znaczenia. Julia podejrzewała, że w szkole średniej byli popularni, i z upodobaniem myślała o tym, iż uważali ją za jedną z nich. Lecz akurat ta kartka zapędziła ją w kozi róg. Nancy, o której Julia nie wiedziała nawet, że się z kimś spotyka,

napisała, że niespodziewanie wyszła za mąż. Przekazała jej również, co słyhać u ich znajomych: Devon przeprowadził się do Maine, Thomas przyjął ofertę pracy z Chicago. Nancy obiecała, że podzieli się z Julią szczegółami, gdy tylko wróci do domu ze swojego miesiąca miodowego w Grecji.

Jej miesiąc miodowy.

W Grecji.

Julia nie oczekiwała, że podczas jej pobytu tutaj nie nastąpią żadne zmiany, lecz nie sądziła, iż będą tak wielkie. I zajdą wszystkie naraz. Sądziła, że będzie miała do czego wracać, ale jeśli teraz wyjedzie z powrotem do Baltimore, nie będzie już na miejscu zbyt wielu przyjaciół. A to był ten element jej planu, który podtrzymywał ją na duchu.

Próbowała dojść do siebie. Nadal mogła spełnić swoje marzenie o Cukierni Niebieskookiej. Przecież dlatego to robiła, dlatego na dwa lata skazała się na to piekło. Od początku zdawała sobie sprawę, iż ryzykuje utratę znajomych. Przyjemne znajomości z czystą kartą nie były trwałe i zależały od kaprysów. Wiedziała o tym. Brakowało im wspólnej przeszłości, która scementowałaby ich relacje na dobre i na złe.

Będzie musiała jakoś to przeżyć.

Poradziła sobie z dużo gorszą stratą.

Usłyszawszy plusk, spojrzała przed siebie. Przed domem Vance'a dostrzegła Emily. U jej stóp Julia zauważyła

wiadro pełne piany, a w rękę gąbkę. Przy chodniku stał zaparkowany duży, stary samochód, który mimo starań Emily nie dawał się doczyścić. A starała się bardzo. Zupełnie, jakby chciała wypocić swoją frustrację.

Julia wsunęła kartkę w jeden z katalogów, który otrzymała pocztą, i podeszła do niej. Nie widziały się od soboty i Julia zastanawiała się, czy Vance zaczął się lepiej komunikować z wnuczką, czy wreszcie wszystko jej powiedział. Zatrzymała się parę metrów od niej.

- Niezłe auto.

Emily podniosła wzrok. Jak zwykle jej ładne blond włosy zdawały się zawieszane w powietrzu - w połowie zebrane w kucyk, w połowie zwisające wokół jej twarzy.

- Dziadek Vance pozwolił mi nim jeździć. Mechanik odbierze auto jutro rano, ale wolałam najpierw wypchnąć je z garażu i umyć.

- Nie wiedziałam, że Vance nadal je ma. - Julia podeszła do samochodu i pochyliła się, by zajrzeć w zakurzone okno. - Należało do jego żony, prawda?

-Tak.

Przez chwilę Julia obserwowała, jak Emily szoruje maskę auta.

- Rozmawiałaś z dziadkiem?

- Tak. - Tym jednym słowem Emily przekazała jej wszystko, co chciała wiedzieć, po czym odgarnęła włosy z twarzy i wróciła do szorowania. - Nie sądziłam, że tak tu będzie, ale mama wiedziała. Jestem pewna, że to

dlatego nie chciała tu wracać i nie opowiedziała mi o tym miejscu. Zaczynam myśleć, że nie chciałyby, abym tu została.

Julia przeniosła wzrok z Emily na samochód i z powrotem. Gdyby Julia miała w jej wieku samochód, wiedziałyby dokładnie, co z nim zrobić. A niech to, rozważała to nawet przed chwilą.

- Zamierzasz stąd wyjechać?

Emily wydawała się zaskoczona, iż Julia tak szybko przejrzała jej plan. Wzruszyła ramionami.

- Nie mam dokąd.

- Cóż, jeśli wytrzymasz jeszcze trochę, to w ten weekend zaczyna się w Mullaby festyn barbecue. To w tych okolicach duże wydarzenie. Chciałabyś ze mną pójść?

Emily nie patrzyła na nią.

- Nie musisz tego robić, Julio.

- Czego robić?

- Próbować się ze mną zaprzyjaźnić. Moja mama była dla ciebie okrutna. Nie musisz być dla mnie miła.

„A niech to szlag!”

- Czyli Vance przekazał ci również to?

- Powiedział, że mama ci dokuczała. Co takiego zrobiła? -

Emily w końcu spojrzała jej w oczy. Przepełniała je bezgraniczna szczerość.

Julia pokręciła głową.

- Nie powinnaś się tym przejmować, bo to ciebie nie dotyczy.



- Powiedz mi, proszę.

- Nie były to moje dni chwały, Em - rzekła Julia. - Ale jeśli musisz wiedzieć, poza różowymi włosami, czarnymi ubraniami i czarną szminką codziennie wkładałam na szyję skórzaną, wybijaną ćwiekami obrozę podobną do psiej. Twoja matka przynosiła do szkoły psie przysmaki i rzucała nimi we mnie na korytarzu. Raz dała mi nawet preparat na pchły. Jeśli nie miała niczego pod ręką, zaczynała na mnie szczekać. - Zamilkła pogrążona we wspomnieniach. Od dawna o tym nie myślała. - Muszę przyznać, że dawałam jej wiele powodów do wyśmiewania mnie. Widziałas zdjęcia. Pewnie sama jestem sobie winna.

- Nie mów tak. Nie usprawiedliwiał jej. Nikt nie powinien ranić godności drugiego człowieka. - Potrząsnęła głową. - Mama mnie tego nauczyła. Dasz wiarę?

- Prawdę mówiąc, tak - odparła Julia. - Dam.

- Mówiłaś, że była popularna.

- Była popularna.

- Lecz nikt jej nie lubił.

Julia zastanawiała się przez chwilę.

- Z wyjątkiem Logana Coffeya.

Emily upuściła gąbkę, którą trzymała w dłoni, prosto do wiadra stojącego u jej stóp.

- Przykro mi za to, co ci zrobiła.

- Nigdy nie obwinałabym cię za to, co zrobiła twoja matka, skarbie. Szkoda czasu na osoby, które myślą

inaczej. Prawdę mówiąc, zaczynam podejrzewać, iż jesteś taka, jaka twoja matka się stała. Może warto zostać choćby po to, by udowodnić to innym.

Emily zdawała się to rozważać, kiedy obie usłyszały trzask zamykanych drzwi. Gdy się obróciły, ujrzały Sa-wyera. Stał przy białym hybrydowym lexusie, którego zaparkował tuż obok pikapa Julii pod jej domem.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i założył je za kołnierzyk koszuli, po czym zaczął iść w ich kierunku.

- Przyjechał zabrać cię na randkę? - spytała Emily. Julia zwróciła się do niej.

- Jaką randkę?

- Zaprosił cię na poniedziałkowy wieczór, kiedy byliśmy nad jeziorem.

Julia odrzuciła głowę w tył i jęknęła.

- O, cholera. Emily zaśmiała się.

- Zapomniałaś? Naprawdę zapomniałaś, że idziesz z nim na randkę?

- Tak jakby. - Julia spojrzała na nią z uśmiechem. Była zadowolona, iż przynajmniej w tym Emily znalazła powód do radości.

- Witajcie, miłe panie - przywitał je Sawyer, stając za jej plecami.

- Cześć, Sawyerze. Julia nie zapomniała o waszej randce - zapewniła go Emily. - Ona... ma małe opóźnienie. To moja wina. Chciała się przebrać, gdy ją zatrzymałam, żeby pokazać swój samochód. Prawda, Julio?

Julia posłała jej zdziwione spojrzenie, zanim uświadomiła sobie, iż Emily sądziła, że w ten sposób jej pomaga.

- Prawda - odparła Julia. - Daj mi znać, co z naszym wyjściem na festyn, dobrze?

- Tak zrobię.

Julia odwróciła się, wzięła Sawyera za rękę i poprowadziła go do sąsiedniego domu.

- Myślisz, że przyjechałeś tutaj, żeby zabrać mnie na randkę - szepcząc, pochyliła się w jego stronę.- Zadała sobie wiele trudu, aby pomóc mi zachować twarz, bo sądziła, że zapomniałam. Udawaj, że dałeś się nabrać, okej?

- Okej - odrzekł uprzejmie, gdy wchodzili po schodkach do domu Stelli. - Z tym że przyjechałem, żeby cię gdzieś zabrać, a ty najwyraźniej o tym zapomniałaś.

Gdy weszli do domu, Julia położyła plik listów na stoliku w foyer.

- Nie pójdę z tobą na randkę - oznajmiła.

- Przyjęłaś moje zaproszenie w obecności Emily, która w dodatku przed chwilą cię kryła. Zamierzasz dawać jej zły przykład?

- Cios poniżej pasa. Po prostu zaczekaj tutaj, aż wejdzie do środka.

Poszedł do salonu i rozsunał zasłony.

- To może trochę potrwać. Samochód jest bardzo brudny.

Julia uśmiechnęła się.

- Wydaje się nim zachwycona.
- W jakim była stanie, kiedy wiozłaś ją do domu w sobotę?  
Teraz chyba czuje się dobrze.
- Jakoś sobie radzi. Dziadek wreszcie coś jej powiedział o młodości Dulcie. Myślę, że dzięki temu jest lepiej przygotowana na towarzyskie afronty Coffeyów.
- Jest zupełnie inna niż Dulcie. - Pozwolił opaść zasłonie, po czym podszedł do sofy obitej jedwabiem w paski - tej, na której Stella nie pozwalała nikomu siadać - gdzie rozłożył się, krzyżując nogi i wyciągając ręce. Przyłapała się na tym, że się w niego wpatruje. Był absolutnie doskonały. - Zdajesz sobie sprawę, że im dłużej tu jesteśmy, tym większe prawdopodobieństwo, że Emily posądzi nas o robienie czegoś skandalicznego? -dodał.
- To znaczy o co? Wynoszenie mebli Stelli?
- Udajesz, że nie rozumiesz.
- A ty próbujesz mną manipulować. Wzruszył ramionami.
- Jeśli dzięki temu osiągnę swój cel...
- Uważaj, Sawyerze. Zachowujesz się zupełnie jak wtedy, gdy miałeś szesnaście lat. A już myślałam, że pracowałeś nad sobą.
- No i doszliśmy do sedna - odparł z satysfakcją.
- To znaczy?
- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Wpadła we własne sidła.

- Nie teraz - powiedziała. - Stella lada chwila wróci do domu.

- Wróci dopiero za około godzinę. - Wpił w nią spojrzenie, żeby nie uciekła. - Twierdziłaś, że mi wybaczyłaś. Czy to prawda?

- Nie dam się w to wciągnąć. Nie chcę o tym rozmawiać - sprzeciwiła się stanowczo, kręcąc głową.

- Dlaczego?

- Bo to moje, Sawyerze! - odrzekła. - Moje wspomnienie i mój żal. Nie są twoje i nie zamierzam się z tobą nimi dzielić. Nie chciałeś ich wtedy, więc teraz ich nie dostaniesz.

Jej słowa zawisły w powietrzu niczym girlanda. Prawie je widziała.

Sawyer wstał i przez chwilę myślała, że chce do niej podejść, więc pospiesznie zrobiła parę kroków w tył. Lecz wkrótce okazało się, że szedł w kierunku kominka w salonie Stelli. Zatrzymał się przy nim i włożywszy ręce w kieszenie, wpatrywał się w puste palenisko.

- Nie mogliśmy mieć z Holly dzieci.

Julia zatrzymała się na tę nagłą zmianę tematu. Sawyer i Holly pobrali się zaraz po szkole średniej. Kiedyś mimochodem powiedział o tym Julii jej ojciec. Ta wiadomość nieco ją zabolala, lecz niezbyt zdziwiła, bo Sawyer chodził z Holly od gimnazjum. Za to po powrocie do Mullaby z zaskoczeniem odkryła, że ich małżeństwo przetrwało niecałe pięć lat. Każdy, włączając w to Julię,

sądził, że już zawsze będą razem. Zwłaszcza Julia wiedziała, ile był w stanie zrobić Sawyer, żeby utrzymać swój związek z Holly, kiedy byli nastolatkami.

- Jak na ironię, to we mnie tkwił problem - ciągnął Sawyer. - Na ostatnim roku w koledżu zaraziłem się ospą wietrzną i przeszedłem ją z nietypowymi powikłaniami. Nie ma tygodnia, bym nie rozmyślał o tym, co zaszło między nami, Julio, i o tym, jak zareagowałem. Ze strachu i głupoty nie tylko uczyniłem ten i tak okropny dla ciebie czas jeszcze gorszym, ale też zaprzepaściłem swoją, jak się okazało, jedyną, szansę na bycie ojcem. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Kiedy znów cię zobaczyłem, byłem pewien, że nadal rozpamiętujesz tamto wydarzenie i że w twoich oczach jestem tym samym głupim chłopakiem. Może dzięki temu poczujesz się choć trochę lepiej.

- Poczuję się lepiej? - spytała z niedowierzaniem. Wzruszył ramionami.

- Wiedząc, że dostałem to, o co się prosiłem.

Po raz pierwszy przyszło Julii na myśl, iż Sawyer może być tak samo jak ona pokiereszowany tym wydarzeniem, lecz lepiej to ukrywa.

- Co z tobą? - napadła na niego. - Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, że poczułabym się przez to lepiej?

- A nie czujesz się?

- Oczywiście, że nie.

Nadal wpatrując się w kominek, powiedział:

- Przeczytałem gdzieś, że aborcja rzadko wpływa na zdolność kobiety do posiadania dzieci. Czy to prawda?

Zawahała się.

- Tak przypuszczam.

- Cieszę się - odparł miękko głosem.

To wspomnienie było jej, i tylko jej, przez tak długi czas. Nie sądziła, że go to obchodziło. Uważała, że nie zasłużył, by się dowiedzieć o tym, co skrywała w swoim sercu i jaką nadzieją żyła tyle lat.

- Ty draniu. Byłam szczęśliwa, złościąc się na ciebie. Dlaczego nie mogłeś tego tak zostawić?

Nieznacznie się uśmiechnął.

- Bo nieźle się bawię, mówiąc pięknym kobietom o swojej bezpłodności.

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich Stella. Kiedy przychodziła z pracy, zawsze pachniała goździkami ze swojej kwiaciarni. Zapach ją wyprzedził i wpadł do pokoju niczym podekscytowany szczeniak.

- Mówiłam ci, że zaraz będzie - rzekła Julia.

- Przeszkadzam wam w czymś? - spytała Stella, z nadzieją w głosie patrząc to na Julię, to na Sawyera. - Mogę wrócić później. Prawdę mówiąc, wcale nie muszę wracać. Mogę wyjść na całą noc.

- W niczym nie przeszkadzasz. Dobrej nocy. - Odwróciwszy się, Julia wbiegła po schodach do swojego mieszkania.

- Nocy? - zdziwiła się Stella. - Dopiero siedemnasta.

Julia zamknęła za sobą drzwi na klucz i poszła prosto do swojej sypialni. Usiadła na skraju łóżka, po czym opadła na plecy i wpatrywała się w rozciągnięte prostokąty żółtego światła, które słońce rzucało w poprzek sufitu.

Niespodziewanie została zmuszona do podjęcia poważnej decyzji, choć miała nadzieję, iż nigdy nie będzie musiała tego robić.

Powrót tutaj wszystko skomplikował.

Pierwsze sześć tygodni w domu poprawczym Collier w Maryland okazały się dla niej trudne. Niektóre spośród tamtejszych dziewczyn były bezwzględne. Julia spędziła wiele czasu w swojej sypialni, płacząc na łóżku, i wykorzystała cały przypisany limit, próbując się dodzwonić do Sawyera. Jego służąca stale odpowiadała, że nie ma go w domu. Julia nie chciała dzwonić do swojego ojca ani nie odbierała jego telefonów za to, co jej zrobił. Terapeutka nie wywierała na nią presji. Z początku jej sesje terapeutyczne były dość dziwne, ale wkrótce Julia zaczęła ich wyczekiwać.

Właściwie to jej terapeutka była drugą osobą, której powiedziała o ciąży.

Kiedy się zorientowała, była zachwycona. W jej rozumieniu oznaczało to, iż będzie mogła wrócić do domu



i być z Sawyerem. Pobiorą się, zamieszkają ze sobą i razem wychowają swoje dziecko. On ją uszczęśliwi. On ją wyleczy. Była pewna, że potrafi. Dostrzegali ją. Był jedyną osobą, która to robiła.

Nieustannie dzwoniła do jego domu, aż najwyraźniej zmęczyła tym służącą. Kiedy Sawyer wreszcie podszedł do telefonu, była zdziwiona tonem jego głosu.

- Julio, musisz przestać do mnie dzwonić - zaczął obcesowo.

- Ja... tęskniłam za tobą. Gdzie się podziewałeś? Cisza.

- To miejsce jest okropne - ciągnęła. - Chcę, żebym zażywała jakieś leki.

Sawyer odchrząknął.

- Może to dobry pomysł, Julio.

- Nie sądzę. - Uśmiechnęła się, myśląc o tym, jak wspaniale teraz będzie. - Mogłyby zaszkodzić dziecku.

Znów cisza. A potem:

- Jakiemu dziecku?

- Jestem w ciąży, Sawyerze. Zamierzam powiedzieć mojej terapeutce, a potem tacie. Powinam wkrótce wrócić do domu.

- Zaczekaj - pospiesznie wtrącił. - Co takiego?

- Wiem, że to dla ciebie niespodzianka. Ja również się tego nie spodziewałam. Nie sądzisz, że to najlepsze, co mogło się wydarzyć? Wrócę do domu i będziemy mogli być razem.

- Jest moje? - zapytał.

Poczuła, jak cienki sznurek wrzyna jej się w serce.

- Oczywiście, że twoje. To był mój pierwszy raz. Byłeś moim pierwszym.

Bardzo długo nic nie mówił. Już myślała, że odwiesił słuchawkę.

- Julio, ja nie chcę dziecka - powiedział w końcu.

- Cóż, trochę na to za późno - odparła, próbując się zaśmiać.

- Tak sądzisz?

- Co masz na myśli?

- Mam szesnaście lat! - wybuchnął. - Nie mogę być ojcem! Jestem z Holly. To najgorsze, co mogło mi się teraz przytrafić. Mam swoje plany.

Drugi i trzeci sznurek ścisnął jej wnętrzności, tamując oddech.

- Jesteś z Holly? - Wiedziała, że spotyka się z Holly, ale założyła, że po tym, co się stało na boisku... po tym jak na nią spoglądał i jak ją dotykał... Jak mógł zrobić z nią to wszystko i nadal być z Holly?

- Zawsze byliśmy razem. Wiesz o tym. Mamy zamiar się pobrać po koledżu.

- Ale tamtej nocy... Przerwał jej, wtrącając:

- Byłaś zdenerwowana.

- Czyli nie chodzi tylko o dziecko? - powiedziała prawie szeptem. - Nie chcesz też mnie?

- Przykro mi. Naprawdę. Myślałem, że wiesz. „Myślałeś, że wiem?” Jej oczy wypełniły się łzami i zaczęła oddychać tak ciężko, iż obawiała się hiper-wentylacji.

Przecież miał ją uratować.

- Zajmę się nim - powiedziała i zamierzała odłożyć słuchawkę. Sawyer nie chciał dziecka, ale ona, i owszem. Sama się zajmie jego wychowaniem.

Sawyer źle ją zrozumiał.

- Cieszę się. To dobra decyzja, Julio. Wiem, że to będzie trudne, ale zanim się obejrzysz, będzie już po wszystkim. Przerwij tę ciążę, a reszta się jakoś ułoży. Prześlę ci pieniądze.

- Mówił teraz miłym głosem. Najwyraźniej mu ulżyło. Poczowała tak silną falę nienawiści, że przelała się przez jej skórę i wywołała trzask w słuchawce telefonu.

Aborcja? Chciał, żeby dokonała aborcji? Nie chciał dziecka, ale nie chciał również, by ona je miała. Jak mogła w ogóle pomyśleć, że zakochała się w kimś takim?

- Nie trzeba. Poradzę sobie sama.

- Pozwól mi jakoś pomóc.

- Już dość zrobiłeś - odparła i odłożyła słuchawkę. Powiedzenie o tym tacie było okropnym przeżyciem.

Kiedy terapeutka namówiła ją, by do niego zadzwoniła, chciał, żeby natychmiast wróciła do domu. Myślał, że zaszła w ciążę w Collier, ale przyznała, że stało się to, zanim wyjechała z Mullaby. Choć zażądał, aby

wyjawiła mu, kto jest ojcem, nigdy mu tego nie powiedziała. W końcu wszyscy się zgodzili, że powinna zostać w Collier. Wszak nie była tam jedyną dziewczyną w ciąży.

Zachcianka na ciasta pojawiła się u niej około trzeciego miesiąca. To było niesamowite uczucie. Czasami wydawało jej się, że zaraz oszaleje. Terapeutka uspokajała ją, iż zachcianki są w ciąży czymś normalnym, lecz Julia wiedziała swoje. Dziecko rosnące w jej brzuchu najwyraźniej odziedziczyło po Sawyerze jego magiczną słabość do ciast. Wkrótce Julii przestały wystarczać słodczyce, jakie zjadała w ciągu dnia, więc zaczęła wymykać się ze wspólnej sypialni do stołówki. Tam upiekła swoje pierwsze ciasto. Po jakimś czasie nabrała wprawy, bo tylko to uspokajało dziecko. W niezwykle sposób oddziaływało to również na resztę szkoły. Kiedy piekła w nocy, zapach ciasta powoli rozchodził się korytarzami, a dziewczęta w sypialniach - nawet te, których sny były zawsze mroczne - zaczynały śnić o swoich dobrodusznym babciach i przyjęciach urodzinowych z dawnych lat.

Terapeutka zaczęła rozmawiać z Julią o adopcji około piątego miesiąca ciąży. Julia stanowczo odmawiała rozważenia tej możliwości, lecz na każdej sesji terapeutka pytała ją: „Jak zamierzasz sama zadbać o to dziecko?”. I Julia zaczęła się bać. Nie wiedziała, jak da sobie radę. O pomoc mogła poprosić jedynie swojego ojca, jednak

gdy poruszyła ten temat, natychmiast powiedział „nie”. Beverly nie chciała dziecka w domu.

Wiosną, ze strachem i w bólu tak wielkim, iż zgięła się wpół na lekcji francuskiego, Julia zaczęła rodzić. Poszło tak szybko, że urodziła w karetce wiozącej ją do szpitala. Czowała frustrację dziecka, jego zniecierpliwienie, kiedy wydostawało się na świat. I nie była w stanie go powstrzymać. Choć bardzo go pragnęła, nie mogła już dłużej fizycznie utrzymać tego dziecka przy sobie. Jej córka miała własny umysł i własny plan. Po wszystkim dziecko zaczęło się skarżyć na trudy swojej podróży wszystkim, którzy chcieli słuchać, niczym staruszki w tweedowych płaszczach lubiące narzekać na długie podróże w dusznych pociągach do miasta. Rozbawiło to Julię, która siedząc w karetce, trzymała drące się niemowlę w ramionach. Małeństwo było doskonałe. Miało blond włosy Sawyera i jego niebieskie oczy.

Następnego dnia ojciec Julii przyjechał do Maryland, by odwiedzić ją w szpitalu. Wtedy po raz ostatni poprosiła go, żeby zabrał ją do domu razem z dzieckiem.

Stojąc przy szpitalnym łóżku z czapką baseballową w dłoni, onieśmielony i wyraźnie zagubiony, po raz kolejny odmówił. Po tym zrezygnowała z wszelkich prób nawiązania ze swym ojcem prawdziwej relacji. Już nigdy nie będzie tak jak przedtem.

Decyzja o oddaniu jej małej dziewczynki była dla Julii najtrudniejsza w życiu. Kiedy dziecko stało się niezależne

od jej ciała, Julia zdała sobie sprawę, iż nie da rady zająć się nim sama. Ledwo była w stanie zająć się sobą. Znienawidziła Beverly za to, że nie chciała dziecka w domu, i znienawidziła swojego ojca za to, że był taki słaby. Ale przede wszystkim znienawidziła Sawyera. Gdyby ją kochał i był tu, żeby jej pomóc, zatrzymałaby dziecko. Pozbawił ją jedynej osoby na świecie, która naprawdę jej potrzebowała. Jedynej osoby, którą będzie kochała do końca życia. Bez pytań. Bez ograniczeń.

Powiedziano jej, że dziecko zostało adoptowane przez małżeństwo z Waszyngtonu. Julia dostała dwa zdjęcia: jedno oficjalne ze szpitala i drugie, na którym Julia siedząca na szpitalnym łóżku trzyma w objęciach córeczkę - ciepłą, miękką i pachnącą czymś różowym. Julia natychmiast schowała zdjęcia, bo patrzenie na małą bolało zbyt mocno. Znalazła je wiele lat później w starym podręczniku, kiedy wyprowadzała się z Mullaby po skończeniu koledżu.

Wiele czasu upłynęło, zanim znów poczuła się dobrze. Wkrótce po wypisaniu ze szpitala ponownie zaczęła się ciąży. Jej terapeutka niestrudzenie pracowała nad tym, żeby Julia została przyjęta na letni program w Collier, gdyż nie była gotowa na powrót do domu. Na jesieni Julia nadal była zbyt słaba, żeby wrócić do Mullaby, więc jej ojciec zgodził się na to, by pozostała w Collier i skończyła tam ostatnią klasę szkoły średniej.

Po roku złożyła papiery do koledżu i została przyjęta. Choć nie piekła od czasu, gdy była w ciąży, w ciągu tych

paru miesięcy nabrała takiej wprawy, iż udało jej się dostać pracę w piekarni przy sklepie spożywczym. Chciała w ten sposób pomóc ojcu w spłacie czesnego. Julia kontynuowała terapię i do tego czasu była już w stanie myśleć o Sawyerze, nie wpadając we wściekłość, i przypomniała sobie jego opowieść o podążaniu za zapachem ciasta jego matki. Stało się to dla niej swoistym symbolem. Może któregoś dnia pieczenie ciast sprowadzi do niej córkę, która odziedziczyła po ojcu słabość do słodczy. Wtedy Julia wytłumaczy jej, dlaczego musiała ją oddać. A przynajmniej wraz z zapachem prześle jej swoją miłość. Gdziekolwiek by była.

Prawie dwadzieścia lat później Julia nadal wysyłała jej tę wiadomość. Świadomość, iż jej córka przebywała gdzieś w świecie, pomagała Julii przetrwać każdy kolejny dzień. Nie wyobrażała sobie życia bez tej chwili, w której ją pozna.

Sawyer wiódł to niewyobrażone życie.

Wtedy postanowiła, że mu powie.

Już wcześniej była tu nieszczęśliwa.

Lecz kolejne sześć miesięcy spędzi w piekle.

Julia usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Otworzyła oczy i z zaskoczeniem stwierdziła, że niebo przybrało kolor jeżyn i pojawiła się na nim pierwsza gwiazda. Wstała i podeszła do drzwi sypialni.

- Julio? - zawołała Stella. - Julio, czy wszystko w porządku? Strasznie tu u ciebie cicho. Sawyer już sobie poszedł, jeśli na to czekałaś. - Zamilkła na chwilę. -Okej, będę na dole, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Jeśli chcesz pogadać.

Usłyszała, jak Stella z powrotem schodzi na dół.

Julia na moment oparła głowę o framugę drzwi, po czym wyszła na korytarz. Stała przy drzwiach prowadzących na schody, lecz zaraz minęła je w drodze do kuchni.

Ciasto kolibrowe - zdecydowała, włączając światło w kuchni. Potrzebne są banany, ananasy i orzechy pękań, a do przełożenia masa z kremowego serka.

Będzie na tyle lekkie, żeby rozplýwać się w ustach.

Sięgnęła do góry, by otworzyć okno.

A zapach popłynie do jej córki.



## ROZDZIAŁ 10

W samochodzie był odtwarzacz na kasety. Kierownica była tak ogromna, że powinna była znaleźć się na statku. Wnętrze cuchnęło syropem na kaszel. Ale był cudowny.

Emily była zachwycona samochodem.

Kiedy mechanik odstawił go następnego dnia, z chęcią siadła za kółkiem. Właśnie wtedy uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, dokąd mogłaby pojechać. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była pewna, iż tak naprawdę nie chce opuszczać Mullaby. Choć nie wypowiedziała tego na głos i nie zamierzała nikomu się z tego zwierzać, omylność jej matki stała się dla niej osobliwą pociechą. W Bostonie Dulcie ustawiła poprzeczkę niemożliwie wysoko i Emily sądziła, iż nigdy nie zdoła zrobić wystarczająco dużo, zaangażować się wystarczająco

mocno, pracować wystarczająco ciężko. Czasami jej się to nie podobało, przez co czuła się jeszcze gorzej. Ale okazało się, że nawet Dulcie nie była w stanie spełnić własnych wymagań. Przynajmniej nie tutaj.

Emily siedziała w samochodzie, aż zrobiło się zbyt gorąco i musiała wysiąść. Nie mogła złożyć wizyty w sąsiednim domu, gdyż Julia zdążyła już wybyć. Nie chciała wracać do własnego domu, bo dziadek Vance ucinał sobie właśnie drzemkę, a nowa, motyła tapeta w jej sypialni działała jej na nerwy. Mogłaby przysiąc, iż czasami się poruszała, lecz nadal nie wiedziała jak. Idąc bez celu, znalazła się z tyłu domu w ogrodzie tak zarośniętym, że na wysokości wzroku ciężko było dostrzec altanę na granicy działki. Rozglądając się dookoła, zdziwiła się, że nocna pogoń za światłem z Mullaby skończyła się zaledwie na rozciętej pięcie.

Od powrotu znad jeziora nie widziała w lesie światła i była tym nieco rozczarowana. Byłoby miło zrozumieć choć jedną rzecz tutaj.

Nie mając nic lepszego do roboty, wzięła się do zbierania chrustu w ogrodzie. Potem szukała w garażu kosiarki, ale bezskutecznie. Znalazła za to sekator, więc wróciła do altany i zaczęła ścinać przerośnięty bukszpan, czym wypłoszyła ogromną żabę skrywającą się w cieniu krzewu.

Gdy niespiesznie posuwała się naprzód, skracając krzewy tak, by widać było okratowanie i słupki altany, tłusta żaba podążyła za nią.

W którymś momencie gałązka ściętego przez nią bukszpanu spadła na żabę. Emily zaśmiała się i schyliła, by uwolnić żabę od tego ciężaru. Wtedy to dostrzegła.

Duże serce z inicjałami D.S. i L.C. w środku.

Było wyryte na tylnym słupku altany, blisko ziemi, tak jak na drzewie nad jeziorem.

Wodziła palcami po liniach serca. Logan Coffey był w tym ogrodzie. Nie wiedziała dlaczego, lecz jej oczy powędrowały w stronę lasu. Przeczucie jej nie myliło, gdyż na jednym z drzew na brzegu lasu znajdowały się kolejne inicjały.

D.S. + L.C.

Położyła sekator na schodkach altany i podeszła do słupa. Żaba przeskoczyła za nią parę kroków, po czym zatrzymała się. Głębiej w lesie Emily dostrzegła kolejne serce. I następne. Tworzyły trasę zbyt kuszącą, by nią nie pójść. Serce z inicjałami w środku wyryto na każdym co trzecim lub co czwartym drzewie. Niektóre trudniej było znaleźć niż inne, więc spędziła przynajmniej piętnaście minut, powoli idąc przez las, aż doszła do jego skraju.

Dokładnie do tego miejsca przywiodło ją światło w noc, kiedy za nim pobiegła.

Do parku przy Main Street.

Spojrzała na altanę i również tam, u jej podstawy obok bocznych schodków, zauważyła serce z inicjałami. Podeszła do altany i przyklękła, żeby go dotknąć.

Dlaczego trasa prowadziła tutaj? Czy miała coś wspólnego z tym, w jaki sposób jej matka przywiodła Logana Coffeya tamtej nocy na scenę altany?

Emily wstała i rozglądnęła się po parku. Tego dnia było w nim pełno ludzi. Niektórzy jedli lunch, inni się opalali. Kilkoro rzucało swoim psom frisbee.

Był tu również Win Coffey.

Stał na środku parku w gronie kilku dorosłych. Jednym z nich był duży mężczyzna, którego widziała na imprezie nad jeziorem. Wtedy tego nie dostrzegła, lecz ewidentnie był spokrewniony z Winem - jeśli mogły o tym świadczyć ciemne włosy, letni garnitur z lnu i muszka. Dorośli żywo gestykulowali, pokazując na ogromny baner festynowy, który właśnie wieszano nad ulicą, lecz głowa Wina była zwrócona w drugą stronę. Patrzył prosto na nią.

Odruchowo schowała się za altaną i natychmiast tego pożałowała. Co z nią nie tak? Przecież w małym mieście nie można uniknąć wpadania na siebie. Nie chciała jednak, aby pomyślał, że go śledzi, choć pewnie chowanie się na sam jego widok jej w tym nie pomogło.

Przeczekała parę minut, zanim wyprostowała ramiona i wyszła z za altany. W końcu park jest miejscem publicznym. Tak jak on miała prawo tu przebywać.

Gdy tylko wyłoniła się z za budynku, wydała okrzyk zdziwienia.

Stał tuż przed nią z rękami w kieszeniach, opierając się ramieniem o ścianę altany.

- Dlaczego się przede mną chowasz? - zapytał.

- Nieprawda - odparła pospiesznie. - To znaczy nie wiedziałam, że tu będziesz. Nie wiedziałam nawet, że ja tu będę. Szłam z domu dziadka trasą, którą mi wytyczyło to. - Wskazała na inicjały.

Nie poruszając się, opuścił wzrok do wysokości wyrytego serca.

- Są w całym mieście. Po śmierci wujka dziadek próbował wydrapać je wszystkie, ale stwierdził, że jest ich zbyt wiele i jest mało prawdopodobne, by znalazł wszystkie.

- Dulcie Shelby i Logan Coffey. Dobrze odczytałam? Skinął głową.

- Choć ludzie tutaj mają o niej złą opinię, nie była taka okrutna, jak myślą - powiedziała niespodziewanie dla samej siebie, ponownie wskazując na inicjały. - Na pewno nie po swoim wyjeździe.

- Wiem - odparł. Kiedy uniosła brwi, wzruszył ramionami. - Wygooglowałem ją dzień po tym, jak się poznaliśmy, i wiele się o niej dowiedziałem. Przeczytałem o szkole, którą pomogła założyć w Bostonie. I zobaczyłem twoje zdjęcie na stronie szkoły.

Poczuła, że zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. Miała nadzieję, że nie było to zdjęcie z bożonarodzeniowej zbiórki jedzenia. Wyglądała na nim, jakby cierpiała na zaparcie, a mimo to tylko ono pojawiało się w materiałach szkoły. Kiedy Emily zaprotestowała, jej matka odrzekła: „Nie bądź próżna. Twój wygląd nie ma znaczenia.

Liczą się twoje czyny". Emily podejrzewała, iż jej matka nie ma pojęcia, jak to jest być nastolatką.

- Wiesz o mnie o wiele więcej, niż ja wiem o tobie - powiedziała w końcu. - To nie jest fair.

Win pochylił się ku niej, sprawiając, iż serce dziwnie jej załomotało. Wpił się wzrokiem w jej usta i niespodziewanie zaczęła się zastanawiać, czy ją pocałuje. Chyba zupełnie oszalała, bo mimo wszystko jakaś małeńka część jej pragnęła, by to zrobił.

- Czyli jesteś zaciekawiona? - spytał.

- Owszem - przełknąwszy ślinę, odparła szczerze. - Zwłaszcza tym, dlaczego wyjście w nocy z domu pchnęło twojego wujka do samobójstwa. Moja matka nie była tutaj zbyt miłą osobą, ale przez ujawnienie jakiej tajemnicy można się targnąć na własne życie?

Nie zdawała sobie sprawy z tego, co powiedziała, dopóki nagle nie odsunął się od niej i nie posłał jej badawczego spojrzenia.

- Widzę, że po naszej ostatniej rozmowie dowiedziałas się paru rzeczy.

- Dziadek nie chciał o tym rozmawiać, bo jak stwierdził, byłoby dla mnie lepiej, gdybym nie wiedziała. Nie jest zachwycony tym, że wzięłaś na siebie zapoznawanie mnie z przeszłością mojej matki.

- A jak ty się z tym czujesz?

- Nadal kocham moją mamę.

Zawahał się, jakby to nie była odpowiedź na jego pytanie.

- Nie próbowałem cię przekonać, żebyś czuła inaczej. Wybacz, ja tylko chciałem pomóc.

Coś sprawiło, iż zaczęła się zastanawiać, czy miał na myśli „pomóc tobie” czy „pomóc sobie”.

- Czemu to był dla niego taki problem, żeby się pokazać w nocy? - zapytała nagle. - To znaczy przecież teraz wychodzicie, prawda?

-Nie.

- Nie? - spytała zaskoczona. - Czemu?

- Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział.

- Już to mówiłeś. Skąd wiesz?

Posłał jej spojrzenie, przez które poczuła każdy nerw swojego ciała. Zupełnie jak wtedy gdy ktoś zaskoczył ją od tyłu - nagle, krótkie szarpnięcie i pospieszne łapanie powietrza.

- Uważaj, bo twoje marzenie może się spełnić - odpowiedział.

- Winie, co ty tu robisz? - Mężczyzna ubrany jak Win niespodziewanie wyszedł zza altany. Był masywny, ale nie gruby - wydawało się, że to jego ranga urosła do takich rozmiarów. Był przesiąknięty zapachem cygar i krochmalu. Spojrzał na Wina, który napiął się jak struna, co zdradzało ich wzajemne animozje. Mężczyzna przeniósł wzrok na Emily.

- Ach - rzekł, jakby nagle wszystko nabrało sensu. -Ty pewnie jesteś Emily Benedict.

- Owszem.

Posłał jej uśmiech godny polityka: widać było mnóstwo zębów, ale oczy pozostały niewzruszone.

- Jestem Morgan Coffey, burmistrz Mullaby. I ojciec Wina. Zdaje się, iż widziałem cię na przyjęciu mojej córki w zeszłą sobotę. Nie przypominam sobie, abyś była zaproszona.

- Nie wiedziałam, że potrzebne jest zaproszenie. Proszę przyjąć moje przeprosiny.

- No cóż. - Wyciągnął dłoń, którą Emily uścisnęła. Prawie zmiądzzył jej palce. - Witamy w Mullaby.

- Dziękuję - odparła, próbując zabrać swoją dłoń. On jednak trzymał ją nadal. Uniósł lekko jej rękę i wpatrywał się w bransoletkę z zawieszka na jej nadgarstku.

- Skąd to masz? - domagał się odpowiedzi.

Z kolejnym szarpnięciem udało jej się wyrwać dłoń z jego uścisku i przykryć bransoletkę drugą ręką.

- Należała do mojej matki.

Morgan Coffey był całkowicie ogłuszony tą wiadomością.

- Ojciec podarował to mojej matce z okazji ślubu. Emily potrząsnęła głową. Z pewnością się mylił.

- Może tylko wyglądały podobnie.

- Na zawieszce w kształcie księżycy jest inskrypcja: „Twój w ciemności i świetle”

Emily nie musiała sprawdzać. Napis prawie się wytarł, lecz te słowa nadal można było tam odczytać. Do jej oczu napłynęły łzy.



- Przepraszam - rzekła, szarpiąc zapięcie. Choć serce jej pękało, podała mu bransoletkę. - Pewnie ją ukradła. -Po tym, czego dowiedziała się o własnej matce, dopuszczała taką możliwość.

Zacisnął szczęki.

\_ Nie ukradła jej. Winie, idziemy. - Odwróciwszy się, Morgan Coffey odszedł bez słowa. I bez bransoletki.

Win spojrzął za nim, po czym powiedział do Emily:

- Prawdę mówiąc, poszło lepiej, niż się spodziewałem. Odwróciła wzrok, próbując powstrzymać łzy.

- Chyba nie chcę wiedzieć, czego się spodziewałeś. Uśmiechnął się i podszedł do niej. Wziął bransoletkę,

którą nadal trzymała w wyciągniętej dłoni, i założył ją z powrotem na jej nadgarstek.

Jego dotyk był ciepły i, o dziwo, zdawał się mieć większy zasięg niż jego dłoń. I znów dodał jej otuchy. Wzięła głęboki oddech, a łzy zniknęły. Jak on to robił, że wzbudzał w niej nieufność, lecz jednocześnie bardzo go lubiła.

Zapiąwszy bransoletkę, podniósł wzrok do jej oczu. Nadal dotykał jej nadgarstka, zaś ona mimo roztrzęsienia próbowała stać spokojnie.

- Zobaczymy się w ten weekend na festynie?

Julia zdążyła już zadać to pytanie, lecz Emily do tej pory zastanawiała się nad odpowiedzią. Teraz już wiedziała:

-Tak.

- Będziemy przyjaciółmi? - spytał, jakby prosił ją o zrobienie czegoś ryzykownego.

Sprawiał, że czuła się odważna, stojąc tam z nim twarzą w twarz, choć nie wiedziała dlaczego. Nigdy wcześniej nie czuła się odważna. Nigdy wcześniej nie pozostawiono jej wyboru.

Skinęła głową.

- Będziemy.

Kiedy tego samego dnia Sawyer, wracając z pracy, skręcił na podjazd, ujrzał Julię siedzącą na schodach wejściowych jego kamienicy z białym pudełkiem na ciasto leżącym na kolanach. Nawet nie podejrzewał, że Julia zna jego adres, i w tym momencie poczuł się kimś ważnym dla niej, choć najprawdopodobniej się łudził. Przy niej często mu się to zdarzało. Jednak jej obecność wyjaśniała to, iż parę budynków stąd zobaczył zaparkowanego przy krawężniku czarnego pikapa. Gdy go mijał pod drożdze, pomyślał, że wygląda jak auto Julii, choć nie miał pojęcia, dlaczego zostawiła go tak daleko. Zastanawiał się, czy to dlatego że nie chciała być widziana w jego towarzystwie.

Zatrzymał się przed garażem i wyłączył silnik. Wysiadł z lexusa, zabierając ze sobą aktówkę. Oglądał tego dnia potencjalne nieruchomości do wynajęcia. Ich rodzinny interes zarządzania nieruchomościami powoli

rozrastał się na sąsiednie hrabstwa. Z początku jego ojciec się temu sprzeciwiał. Przez długi czas ich jedynymi klientami byli Coffeyowie, do których należała większość nieruchomości do wynajęcia w Mullaby. Sawyer nieustannie walczył z ojcem, by choć rozważył jakiś alternatywny pomysł. Obecnie interes kręcił się tak dobrze, iż planował utworzenie biura w innym mieście.

Gdy się do niej zbliżył, Julia wstała. Była ubrana w niebieskie dzinsy i granatową bluzkę z cienkiego materiału, niezawiazaną przy szyi. Wydawała mu się piękna i miękka, a jej wielkie brązowe oczy i jasnobrązowe włosy jaśniały w popołudniowym słońcu. Gdy nie dostrzegł różowego pasemka, poczuł nieodpartą chęć znalezienia go. Zawsze go fascynowała i przyciągała do siebie w sposób, w jaki ciekawskich ludzi ciągnie do rzeczy, których nie rozumieją. Niemniej w spektakularny sposób zaprzepaścił wszelkie szanse na bycie z nią, i to w zadziwiająco młodym wieku szesnastu lat. Doprawdy, powinien za to dostać jakąś nagrodę. Przyznał sobie tytuł najdłużej żałującego mężczyzny na świecie.

Noc, którą spędził z Julią, była niezwykła, a marzył o niej przez wiele lat. Do tamtej pory była zaledwie jego fantazją. Był popularnym dzieciakiem z bogatego domu, ona zaś punkową twardzielką. Nie sądził, aby miał u niej jakieś szanse, więc trzymał się na dystans i obserwował ją z daleka. Ta noc, choć słodko-gorzka, spełniła wszystkie jego marzenia. Dał się ponieść emocjom,

lecz wszystko, co wtedy mówił, było absolutną prawdą. Ale gdy się dorasta, światła wystarcza jedynie na oświetlenie drogi tuż przed sobą i ani na krok dalej. Kiedy następnego dnia Julia wyjechała do szkoły, zaczął się bać. Jego związek z Holly zyskał aprobatę nie tylko ich rodziców, ale też całej szkoły. Zwłaszcza po tym, co się stało tego samego lata z Dulcie i Loganem, po tym jak całe miasto odwróciło się od niej i patrzyło podejrzliwie na jej przyjaciół, chciał poprzestać na tym, co miał. Julia zaś była jak woda w jego dłoniach - przeciekała mu przez palce. Śliczna, dziwna i nieprzewidywalna, stanowiła jego doskonałe przeciwieństwo. Posiadała cechy, do których nie był przyzwyczajony. Na jej telefon w sprawie ciąży zareagował bardzo źle. Gdy wracał myślami do tamtej rozmowy, było to jak oglądanie filmu. To nie był on, ale jego cień, jakiś okropny chłopiec, który zmusił zgnębiającą dziewczynę do aborcji, bo nie chciał stawić czoła konsekwencjom swoich działań.

Ostatecznie i tak musiał się z nimi zmierzyć. Los lubi sobie z nas zadrwić. Sądził, że już po wszystkim, uciekł w związek z Holly, a potem w zarządzanie rodzinną firmą. Ale gdy Julia wróciła do miasta, uświadomił sobie, że nic się nie zmieniło.

Ze całym czas na nią czekał.

Czekał, aż wróci i mu przebaczy.

- Nie wiedziałem, że znasz mój adres - powiedział, zbliżając się do niej po schodach.

- Prawdę mówiąc, nie znałam. Ktoś mi kiedyś powiedział, że masz duży dom przy Gatliff Street. Założyłam, że nadal tam mieszkasz, ale Stella wytłumaczyła mi, iż to był wasz wspólny dom, a po rozwodzie z Holly przenieśliście się tutaj.

- Właściwie to nadal jesteśmy współwłaścicielami tamtego domu - zatrzymał się na werandzie naprzeciwko niej. - Po jej przeprowadzce do Raleigh uzgodniliśmy, że go wynajmiemy i podzielimy się zyskami.

- Dlaczego tam nie zostałeś?

- Był za duży. Dostaliśmy go od rodziny w prezencie ślubnym. Jakby sugerowała, iż mamy zapełnić te pięć sypialni wnukami.

- Och - wykrztusiła z siebie Julia.

- Nie krępuj się. Ja nie jestem skrepowany. Już się z tym pogodziłem.

Posłała mu powątpiewające spojrzenie, po czym, chcąc zmienić temat, wyciągnęła w jego stronę pudełko na ciasto.

- Przyniosłam ci ciasto kolibrowe - rzekła. - Upiekłam je zeszłej nocy.

Położył swoją aktówkę na ziemi i zaskoczony, odebrał pudełko z jej rąk.

- Naprawdę upiekłaś dla mnie ciasto?

- Tylko się przy mnie nie rozklejaj. Muszę ci coś powiedzieć. Prawdę mówiąc, to parę rzeczy. Najważniejszą zostawię sobie na później.

„Później”. To go zastanowiło. I było zachęcające. Nie mógł się powstrzymać. „Później” oznaczało, iż upłynie trochę czasu. Czasu, który spędzi z nią.

- A ciasto ma mnie zmiękczyć?

- Ciasto przyniosłam, bo wiem, że je lubisz. Gestem wskazał na drzwi.

- Wejdz, proszę - powiedział, niespodziewanie pod-  
eksytowany myślą, iż Julia będzie w jego domu. Jakby jej  
przejście przez próg oznaczało, iż udało mu się dokonać czegoś  
ważnego. Zbliży się do niego, tak jak on zbliży się do jej  
przebaczenia.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę. Po drodze tutaj skończyła mi się benzyna.

- Ach, to dlatego zobaczyłem twojego pikapa zapar-  
kowanego kilka domów stąd.

Przytaknęła.

- Czekałam, aż wrócisz do domu, żeby dać ci to i coś ci  
powiedzieć. Potem muszę iść na stację benzynową.

- Podwiozę cię.

- Dam sobie radę - odparła lekceważąco. Niczego od niego  
nie chciała, choć on chciał tak wiele od niej. - To prawda, że  
piekę ciasta przez ciebie. Cóż, zaczęłam je piec przez ciebie.  
Chciałam ci to powiedzieć.

Nie spodziewał się tego. Lekko zakołysał się do tyłu na  
piętach.

Wcisnęła ręce głęboko w kieszenie dzinsów, nieco się przy  
tym garbiąc.

- Chodzi o to, jak mi powiedziałaś, że zawsze wyczułam, kiedy twoja matka piekła ciasta. Uwielbiałam tę historię. Zaczęłam piec w tej szkole z internatem, ale wiąże się z tym jeszcze inna sprawa. Zmierzam do tego, że kiedy w moim życiu wydarzyło się wiele złych rzeczy, ty dałeś mi coś dobrego. Coś, czego mogłam się trzymać. Po powrocie do Baltimore zamierzam otworzyć własną piekarnię, a to wszystko zaczęło się dzięki tobie.

Potraktował to jako niezwykłą lekcję pokory. Julia była dla niego zbyt wielkoduszna.

- Nie dałem ci nic prócz cierpienia. Jakim cudem możesz to doceniać?

- Nauczyłam się zauważać również dobre strony. Nie wiedział, co powiedzieć. Zastanawiał się przez moment, zanim rzekł:

- I to nawet nie jest ta najważniejsza sprawa? Uśmiechnęła się.

-Nie.

Z jednej strony bardzo chciał się dowiedzieć, ale z drugiej - pragnął przedłużyć spędzone z nią chwile. Mimo całej swojej ciekawości mógł spędzić resztę życia, niecierpliwie wyczekując odpowiedzi, jeśli oznaczałoby to możliwość cieszenia się jej obecnością.

Przełożył w rękach pudełko, po czym je otworzył. Uwielbiał ciasto kolibrowe. Tylko tyle mógł zrobić, jeśli nie chciał od razu zanurzyć w nim dłoni na podobieństwo łopaty. Kiedy był mały, matka próbowała chować

przed nim ciasta, on jednak zawsze je znajdował. Nie mógł się powstrzymać. W tym wieku nie wyćwiczył jeszcze wystarczająco silnej woli. Słabość do wypieków odziedziczył po dziadku. Z tego powodu czuł się z nim blisko związany - bliżej niż z jakimkolwiek członkiem rodziny. Gdy chwycił go o jeden ból brzucha za dużo, to właśnie dziadek nauczył go, jak sobie z tym radzić. Również on zdradził Sawyerowi, iż nie wszyscy widzą to samo co on, więc musi zachować ostrożność. Obecnie Sawyer zazwyczaj to ignorował, chyba że był zdenerwowany albo zmęczony. Wtedy mimowolnie dostrzegał srebrny brokat wylatujący z okien albo błyszczący trop biegnący z pudełka śniadaniowego jakiegoś dziecka. Robił to świadomie wyłącznie wtedy, gdy Julia coś piekła w czwartkowe noce. Kryła się przed nim, ale i tak wiedział, co robiła. Była w tym taka dobra, ciasta pięknie pachniały, a on ją do tego zainspirował. Wzruszył się.

- Tylko tobie opowiedziałem o mojej słabości do wypieków - rzekł. Nie powiedział nawet swojej byłej żonie.

- Przykro mi to mówić, ale nie robisz z tego sekretu. Przymknął wieczko pudełka, kiedy jeszcze zdołał oprzeć się pokusie. Pokręcił głową.

- Uhm... To już nie działa. Możesz być twarda i sarkastyczna, ale oboje wiemy, że tak naprawdę masz do mnie słabość. Przed chwilą sama się do tego przyznałaś.

- Zaprzeczę, jeśli komuś o tym powiesz.



- No chodź - zachęcał. Było mu lekko na sercu. -Podwiozę cię do twojego auta. Wydaje mi się, że mam w garażu kanister z benzyną.

- Nie chcę. Ja...

Zdążył już chwycić za swoją aktówkę i właśnie schodził po schodach.

Kiedy kładł ciasto i aktówkę na tylnym siedzeniu samochodu oraz wkładał kanister z benzyną do bagażnika, Julia czekała na podjeździe zakłopotana i niewiarygodnie śliczna.

Otworzył przed nią drzwi pasażera, a ona westchnęła i wsiadła do środka.

Sawyer usiadł za kierownicą i uruchomił silnik, podczas gdy Julia bawiła się jego nawigacją. Tylko się uśmiechnął, widząc, że zaprogramowała cel ich podróży na Świat Toalet Franka przy autostradzie.

Zamiast do Świata Toalet w ciągu paru minut dojechali do jej pikapa. Wysiedli oboje, on nalał benzynę do jej zbiornika. Podziękowała mu, lecz zanim wsiadła do swojego auta, pod wpływem impulsu powiedział:

- Zjedz dziś ze mną kolację. Pokręciła głową.

- To nie jest dobry pomysł.

- Daj spokój. Zostało ci sześć miesięcy w Mullaby. Pożyj trochę.

Parsknęła.

- Czyżbyś proponował mi przelotny romans?

- Ależ oczywiście, że nie - odparł, udając, że jest w szoku. - Mówiłem o kolacji. To twój lubieżny umysł powędrował myślami od razu do sypialni.

Julia uśmiechnęła się, co go ucieszyło. Lepsze to niż ciągle zjeżanie się na jego widok. Odruchowo podniósł dłoń do jej włosów. Gładził je, po czym przeczesał je palcami w poszukiwaniu różowego pasemka. Często zastanawiał się, dlaczego je zostawiła. Musiało mieć to związek z tym, że jako nastolatka farbowała włosy na różowo. Czy upamiętniła to w ten sposób? Czy było to przypomnienie, żeby nigdy do tego nie wracać?

Napotkawszy jej wzrok, z zaskoczeniem stwierdził, że jej oczy są ogromne. Obrzuciła spojrzeniem jego usta.

Wiedziała, że ma zamiar ją pocałować.

A mimo to nie uciekła.

Nagle w żyłach zawrzała mu krew, a stale przyspieszające tętno zaczęło walić w uszach. Wtedy pochylił się i ją pocałował.

Nie myślał już o niczym, tylko o dotykaniu jej i całowaniu. Między nimi istniała niesamowita chemia. Chryste, prawie czuł, jak pęka jej pancierz i Julia tak po prostu wpuszcza go do środka. Jakby nie sprawiało jej to żadnej trudności. Pamiętał, że odczuwał to samo, kiedy tak chętnie mu się oddała na boisku futbolowym. I że pomyślał sobie wtedy: „Ta dziewczyna musi być we mnie zakochana”.

Zaskoczony, odsunął się od jej ust.

- Muszę już iść - rzekła pośpiesznie, unikając jego wzroku. Była wyraźnie zawstydzona. - Dziękuję za benzyne. - Gwałtownie szarpnęła drzwi i wyszła z samochodu.

Stał na chodniku jeszcze długo po tym, jak odjechała. „Co tu się przed chwilą stało?” - zastanawiał się. - „Co tu się, do cholery, stało?”

## ROZDZIAŁ 11

Tak dawno, że już prawie nikt tego nie pamięta, na ziemiach wokół Mullaby wypasano wieprze. W tych nieurodzajnych latach, kiedy bydło nie chciało rosnać, hodowla świń okazała się dobrodziejstwem dla całego stanu. Podobnie jak mieszkańców wielu okolicznych miasteczek, obywatele Mullaby powolne, staranne wędzenie wieprzowiny napawało dumą i wkrótce stało się dla nich ważnym sposobem na zaznaczenie własnej odrębności. Początkowo była to niedzielna tradycja, potem symbol wspólnoty. W końcu wędzenie stało się prawdziwym północnokarolińskim kunsztem zrodzonym z pracy tak ciężkiej, iż mogła zmorzyć nawet krzepkiego mężczyznę.

Z biegiem lat małe gospodarstwa i niegdyś uczęszczane szlaki handlowe rozciągające się aż po Tennessee zaczęły stopniowo zanikać. Powstały dzielnice i centra handlowe,

a potem autostrada międzystanowa. Zaczęli wyjeżdżać ludzie, którzy pamiętali, a ich miejsce zajęli zupełnie nowi. W końcu źródło i przyczyna odeszły w zapomnienie, została zaś nieświadomość zbiorowa; tradycja pozbawiona pamięci; sen, jaki w ten jeden dzień w roku snuli wszyscy mieszkańcy Mullaby.

Wczesnym rankiem w dzień festynu barbecue miasto zasnuła mgła, której pasma wpełzały przez okna do sennych marzeń. „Kiedy się obudzisz, zapomnisz o tym”, szeptały. „Ale teraz pamiętaj i bądź dumny.

To jest twoja historia”.

Stelli nie było już od paru godzin, kiedy Julia wreszcie zdecydowała się wyjść. Dla Stelli dzień festynu był pretekstem do rozpusty. Zaczęła rano z zamiarem powrotu do domu dopiero kolejnego dnia. Czasami Julia niepokoiła się o nią. Nie mogła się powstrzymać. Przez ostatecznie półtora roku dobrze poznała Stellę i nie spotkała jeszcze nikogo, kto by tak bardzo starał się być szczęśliwym z tym, co ma.

Stella, którą Julia znała obecnie, bardzo różniła się od tej ze szkoły średniej. Wtedy lubiła zwracać na siebie uwagę, jak Dulcie Shelby, z którą trzymała sztamę. Jeździła lśniącym czarnym bmw, kupionym właśnie po to by pasował do jej lśniących czarnych włosów. Julia przypominała sobie, że matka Stelli, dekoratorka wnętrz

z Raleigh (Stella mieszkała z ojcem w Mullaby), zaprojektowała córce sypialnię w stylu kina wraz z ekranem do wyświetlania filmów i maszyną do popcornu. Pokój pojawił się nawet w jakimś magazynie wnętrzarskim. Szczerze powiedziawszy, Julia była zdziwiona, kiedy po swoim powrocie zastała Stellę w jej dawnym domu. Po bogatych koleżankach ze szkoły spodziewała się raczej, iż będą wiodły niezwykle życie. Miały wszystko - istniało dla nich tyle możliwości. Jeśli dostały od losu tak wiele, jak mogły zaprzepaścić swoje szanse? Jak mogły przystać na banalną egzystencję?

Okazało się, że problemem Stelli była miłość do nieodpowiedniego faceta. Historia stara jak świat. Były mąż wyciął jej niezły numer: zdradzał ją i przehulał jej fundusz powierniczy. To doświadczenie zmieniło Stellę w zabawną kobietę potrafiącą spojrzeć na siebie z dystansem. Pracowała w kwiaciarni, mieszkała w domu, na który ledwo było ją stać, i piła wino z kartonika. Czasami Julia zastanawiała się, czy Stella chciałaby cofnąć czas i oddać wszystko, czego się nauczyła, za to, by znów być tą dziewczyną, na którą każdy spogląda z zazdrością.

Julia nigdy jej o to nie spytała. Przeszłość była dla nich obu drażliwym tematem, dlatego też Julia, choć miała na to wielką ochotę, nie powiedziała jej o pocałunku z Sawyerem. A skoro nie mogła się zdobyć na opowiedzenie jej o czymś tak osobistym, najwyraźniej nie

były ze sobą tak blisko, jak Stella sądziła. Julia pomyślała o tym ze smutkiem, choć nie miała pojęcia dlaczego. Przecież nie chciała się zaprzyjaźniać z nikim stąd. Jej prawdziwe życie toczyło się w Baltimore.

Było już południe, kiedy Julia poszła do domu Vance'a, by zabrać Emily na festyn barbecue. Zapukała do drzwi

i usłyszała, jak Emily zbiega po schodach z nietypowym dla siebie entuzjazmem. Julia od razu nabrała podejrzeń.

Emily wybiegła na zewnątrz, a tuż za nią wyszedł Vance.

- Na pewno nie chcesz iść z nami? - Emily zapytała dziadka, niemal przestępując z nogi na nogę.

- Na pewno - odparł Vance. - Bawcie się dobrze. Razem z Julią patrzyli, jak Emily zbiega ze schodków werandy.

- Wrócimy przez zmrokiem - obiecała Julia. - I przyniesiemy ci jakieś smakołyki z festynu.

- To bardzo miło z twojej strony, Julio. Jest bardzo podekscytowana, prawda? - rzekł Vance, gdy Emily zniknęła między drzewami.

- Owszem - odparła Julia z namysłem. - Na to wygląda.

- Przejęła się tym barbecue. Jesteśmy do siebie podobni - zamilkł, rozważając ponownie to, co powiedział. - To znaczy nie mam zbyt wielu cech, którymi mógłbym się szczycić, ale...

Julia położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ona jest do ciebie podobna, Vance. I bardzo dobrze. Kiedy Julia dołączyła do niej na chodniku, Emily spytała:

- Dlaczego nie chce iść z nami? Przecież uwielbia barbecue.

- Vance stara się unikać tłumów - powiedziała Julia, gdy szły w stronę centrum.

- Chyba tak się do tego przyzwyczaiłam, że czasem zapominam.

- Czyli pasujesz do tego miejsca lepiej, niż ci się wydawało. To powiedz, jak się układa między wami.

Rozkojarzona Emily wzruszyła ramionami.

- Chyba w porządku. Jest lepiej, niż było.

- To dobrze.

Kiedy dotarły na Main Street, widać było, że Emily, jak prawie każdy za pierwszym razem, jest nieco zaskoczona. Większość spodziewała się niewielkiej imprezy, gdyż Mullaby było zaledwie miasteczkiem, lecz tutejszy festyn barbecue był największy na południowym wschodzie Stanów i zjeżdżali na niego ludzie z całego kraju. Ulicę zamknięto dla samochodów, a białe namioty ciągnęły się aż po horyzont. W oddali majaczył diabelski młyn. Wokół intensywnie pachniało czymś przepysznym, jakby znajdowały się wewnątrz pieca.

Przedzierając się przez zatłoczoną ulicę, minęły mnóstwo namiotów z barbecue, które było wszak głównym punktem programu. W namiotach kanapki barbecue



produkowano taśmowo: „Z sosem czy bez? Dać coleslawę na wierzch? Chce pani do tego kuleczki kukurydziane w kubku?”. Co druga osoba na ulicy dzierżyła w ręku kanapkę owiniętą folią. Były również stoiska z prażynkami ze skóry wieprzowej, kolbami gotowanej kukurydzy, szaszłykami z kurczaka, smażonymi kiełbaskami, kiszone ogórki w panierce, głęboko smażone batoniki i, rzecz jasna, faworkowe gniazdko. W okolicy było też pełno namiotów z rzemiosłem artystycznym.

- Nie sądziłam, że będzie tu tyle ludzi - powiedziała Emily, rozglądając się dokoła. - Ciężko będzie znaleźć kogoś w tym tłumie.

- Szukasz kogoś? - zapytała Julia. Emily zawahała się.

- Nie, tak tylko patrzę.

Aby sprawdzić jej prawdomówność, Julia podprowadziła ją pod główną scenę. Z okazji festynu wzniesiono kilka scen, na których zespoły grały przeważnie folk i bluegrass, lecz główna scena została ustawiona na środku Main Street, przez co idący w tamtą stronę tłum musiał ją opływać.

U podnóża schodów stała ściśnięta grupa ludzi, w większości z rodziny Coffeyów: mężczyźni nosili kapelusze, kobiety zaś szeleszczące sukienki spinane paskiem. Win miał na głowie kanotier, który na innych chłopcach w jego wieku wyglądałby idiotycznie. Jak można się było spodziewać, natychmiast przyciągnął

spojrzenie Emily, przy czym wiedział dokładnie, kiedy to się stało, gdyż od razu na nią popatrzył. Żadne z nich się nie poruszyło, lecz otwarcie przeszzywali się wzrokiem.

- Czemu Win... czemu Coffeyowie ubrali się tak odświętnie? - spytała Emily. - To znaczy bardziej niż zazwyczaj.

- Bo to tak naprawdę doroczne wydarzenie ich rodziny. Stworzyli ten festyn jakieś sześćdziesiąt lat temu. Jest ich dzieckiem. Niedługo zaczną czynić honory na scenie, a potem sędziować w konkursie barbecue i ciast.

Ojciec Wina zerknął na syna, po czym powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem. Natychmiast przywołał Wina do siebie, a w tym samym czasie Julia odciągnęła Emily w drugą stronę.

W ciągu kolejnych paru godzin świetnie się bawiły. Zjadły o wiele za dużo i kupiły pamiątkowe koszulki z napisem: NAŻARŁEM SIĘ JAK ŚWINIA NA FESTYNIE BARBECUE W MULLABY. Julia ledwo mogła sobie pozwolić na takie przepuszczanie pieniędzy - wydzielala sobie tylko na niewielkie kieszonkowe, by jak najszybciej spłacić hipotekę restauracji - ale było warto.

Julia od lat nie była na festynie. Jej restauracja również rozbiła tu swój namiot, lecz nie miała z tym nic wspólnego - wszystkim zajęli się jej pracownicy. Przypomniała sobie, jak bardzo jej ojciec kochał to wydarzenie i że kiedyś uwielbiała z nim tu przychodzić. Sądziła,

że festyn stracił dla niej swój urok, ale spodobało jej się patrzeć na niego oczami Emily. Po raz pierwszy od dłuższego czasu doszła do wniosku, że jednak tęskniła za czymś z Mullaby.

Zmęczone, spocone i zadowolone, dotarły w końcu do lunaparku przy końcu ulicy. Robiło się już późno, więc zamierzały przejechać się parę razy na karuzeli, kupić sobie lody z syropem i smakołyki dla Vance'a, a potem wrócić do domu.

Ale wtedy pojawił się Sawyer w bojówkach i koszulce polo, a co gorsza, zaczął iść w ich kierunku. Julia najchętniej uciekłaby gdzieś w bok, ciągnąc za sobą Emily, lecz jej towarzyska zobaczyła go pierwsza. Zawołała: „Widzę Sawyera!”, jak gdyby był on rzadkim gatunkiem barwnego ptaka, którego można obserwować, wyłącznie stojąc nieruchomo.

Nie sposób było zaprzeczyć, że wyglądał niesamowicie, lecz na jego widok mięśnie ramion Julii napięły się. Od zeszłego wtorku starała się go unikać, obmyślając nowy plan. Nie wiedziała, co począć bez swojej niechęci do niego. Towarzyszyła jej przez długie lata, a teraz udało mu się ją przewyciężyć. Kiedy wreszcie pojęła decyzję, żeby powiedzieć mu, co tak naprawdę się wtedy wydarzyło, ponownie mógł ją zranić. Chodziła po cienkiej linie bez siatki zabezpieczającej, a tamten pocałunek dowiódł, iż bardzo łatwo mogła spaść.

Dołączywszy do nich, Sawyer posłał Julii tak ogniste spojrzenie, iż prawie ją zawstydził. Mimo to pierwsze słowa, jakie wyszły z jego ust brzmiały:

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolona. Mój GPS przez cały tydzień próbował mnie zabrać do Świata Toalet Franka.

Emily roześmiała się, a Julia odparła:

- Wybacz.

- Zdaje mi się, że lubisz wskazywać mi zły kierunek. - Zanim Julia zdążyła odpowiedzieć, zwrócił się do Emily: - Dobrze się bawisz?

- Spędziłyśmy razem wspaniały dzień - powiedziała Emily.

- Niedługo wracamy - wtrąciła Julia. - Jeszcze tylko pojeździmy na karuzeli i zbieramy się do domu.

Uznał, że lepiej będzie zinterpretować to jako zaproszenie niż próbę pozbycia się go. Sawyer tak rzadko spotykał się z odmową, iż w ogóle jej nie uznawał.

- Świetnie, to się do was przyłączę.

- Nie chciałybyśmy cię zatrzymywać - odrzekła Julia. - Pewnie jesteś tu z kimś umówiony.

- Przyszedłem sam, jeśli o to pytasz. Wcześniej widziałem się ze Stellą, lecz jej świta była zbyt duża. Stella jest jak kometa, która przelatując, zbiera kosmiczne śmieci.

Słyszając to, Emily znów się zaśmiała. Julia zaś od czasu gdy Sawyer powiedział jej o nocy spędzonej ze Stellą,

była zaciekawiona bardziej, niż by chciała, zapytała więc z powagą:

- Nie chciałeś być w ogonie komety Stelli?

- Przyciągnęło mnie do siebie inne niebiańskie ciało -odparł, patrząc Julii prosto w oczy.

Emily odchrząknęła.

- Pewnie chcielibyście zostać sami. Może pojeździecie razem na diabelskim młynie? I tak chciałam się tu trochę przespacerować sama.

Julia oderwała wzrok od Sawyera.

- To nie jest dobry pomysł, Em - powiedziała i położyła rękę na jej ramieniu, żeby przytrzymać ją w miejscu.

- Dlaczego? - zapytała Emily.

- No właśnie, Julio - zawtórował jej z uśmiechem Sawyer. - Dlaczego?

- Bo obiecałam twojemu dziadkowi, że nie spuszczę cię z oka - przypomniała Julia Emily.

- Nic mi się nie stanie. -Ale...

- Julio - powiedziała poważnie Emily - mam siedemnaście lat, a nie cztery.

Julia wiedziała, że tym razem z nią nie wygra.

- Spotkamy się przy altanie za godzinę. Za godzinę. Emily pocałowała Julię w policzek. Był to z jej strony słodki, nieoczekiwany gest. Coś, co zrobiłaby córka.

- Dzięki.

- Godzinę - Julia zawołała za nią, gdy Emily zaczęła niknąć w tłumie. Czuła przemożną chęć, by na powrót ją stamtąd wyciągnąć, ochronić ją przed wszystkim, co tak bardzo ją skrzywdziło, gdy sama była nastolatką.

W końcu odwróciła się do Sawyera, który uniósł brwi.

- Szukała pretekstu, żeby się mnie pozbyć. Win Cof-fey wpatrywał się w nią całe popołudnie, a widziałam, że i ona co rusz na niego zerka.

- Nie dało się tego uniknąć - odpowiedział Sawyer. - Choćby nie wiem co, tych dwoje lgnęłoby do siebie jak mucha do miodu. Zakazany owoc kusi najbardziej.

- Nie chcę, żeby ją skrzywdził. Już i tak wiele przeszła.

- Widzę, że naprawdę ci na niej zależy. Nic się jeszcze nie wydarzyło a Win jest całkiem miłym chłopakiem. Jeśli jednak ją skrzywdzi, będzie miał ze mną do czynienia. A teraz... - powiedział, pochylając się lekko i przysuwając blisko swoją twarz - ... porozmawiajmy o zeszłym wtorku.

- Mam lepszy pomysł - odparła. - Zamiast tego chodźmy do gabinetu śmiechu.

Sawyer wyglądał na zdezorientowanego. Nie mogła go za to winić.

- To niby jest lepszy pomysł?

- W końcu to gabinet śmiechu. Wszyscy go kochają - stwierdziła, podchodząc do małego budynku.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to absurdalnie, lecz rozmowa o zeszłym wtorku wykraczała daleko poza jej

plany. Pragnął jej. Wiedziała o tym, od kiedy tu wróciła. Lecz najpierw musiała mu co nieco powiedzieć o ich córce, a to wszystko zmieni.

Sawyer poszedł za nią i kupił dla nich bilety. Gdy weszli do środka, Julia straciła równowagę na falującej podłodze i wpadła na niego. Chwycił ją za rękę i przeciągnął w poprzek pokoju. Wiele dzieciaków wołało tu zostać, surfując po drewnianych falach, więc kiedy Julia i Sawyer weszli do gabinetu luster, byli tam zupełnie sami.

Żeby pójść do przodu, musiała wyciągnąć przed siebie rękę. Gdzie była droga, a gdzie tylko jej odbicie? Gdzie była prawdziwa Julia? Pospiesznie odwróciła się, kiedy Sawyer zniknął jej z pola widzenia.

- Gdzie poszedłeś? - zawołała.

- Nie jestem pewien - odkrzyknął.

Próbowała podążać za jego głosem, lecz prawie weszła w lustro. Potem posuwała się wzdłuż krawędzi tego lustra do korytarza, którym w jej mniemaniu poszedł. Lampy stoboskopowe jej nie pomogły - czuła się jak w psychodelicznej jaskini lodowej, a dudniąca muzyka brzmiała niczym uderzenia serca.

- Jeśli chcesz, żebym powiedział: „Przykro mi, że cię pocałowałem”, to tak zrobię - odezwał się po chwili Sawyer. Przemknął jej przed oczami, lecz zaraz zniknął. -Ale to będzie nieprawda. Przykro mi z powodu wielu rzeczy, ale nie tego.

Tam! Tam się pojawił! Nie, znowu gdzieś poszedł.

- Nie ruszaj się, żebym mogła cię *znaleźć* - zażądała. - Nie chcę, żebyś mówił, że ci przykro. Tylko... niedługo wyjeżdżam. Nic tego nie zmieni. Jeśli potrafisz się z tym pogodzić, to...

Z następnego pokoju doszedł ją perlisty śmiech.

- Wtedy... co? - spytał Sawyer. - Mogę cię znowu pocałować?

- Nie o to mi chodziło. Jest coś, o czym jeszcze nie wiesz. - Wyszła zza kolejnego rogu, trafiając w ślepy zaułek, który wyglądał jak przymierzalnia w galerii handlowej. Wycofała się.

- To zaczyna nabierać sensu - rzekł Sawyer. - Przecież sam podsunąłem ci ten pomysł, prawda? „Pożyj trochę, skoro będziesz tu jeszcze tylko sześć miesięcy”. Czy może od początku miałas taki plan, żeby poczekać do paru miesięcy przed wyjazdem i wtedy zabawić się po raz ostatni?

Dopiekł jej tak, że aż przystanąła. Jak mógł tak szybko wyciągnąć złe wnioski? Przecież miała dobre zamiary.

- Naprawdę sądzisz, że byłabym do tego zdolna?

- Byłaś w stanie zniknąć na osiemnaście lat bez oglądania się za siebie. Żałujesz tego choć trochę? - Jego głos się oddalał.

Przyspieszyła, chcąc go dogonić.

- To nie ja popędziłam do przodu, nie oglądając się za siebie. I skąd wiesz, że się nie oglądałam? Patrzyłeś?



Nie, nie patrzyłeś. Nie masz pojęcia, czego żałuję, Sa-wyerze Alexander, więc nawet nie zaczynaj tego tematu.

- Masz rację. Nie mam, bo nigdy się ze mną nie podzieliłaś swoim żalem. Chciałaś go mieć wyłącznie dla siebie. A z tego, co mówisz, potrafisz się zaangażować tylko na chwilę. Dopuszczasz mnie do siebie wyłącznie, jeśli w określonym momencie będziesz mnie mogła opuścić. Żadnych zobowiązań. Żadnych rozmów o naszej skomplikowanej przeszłości.

- Gdzie jesteś? - wykrzyczała swoją frustrację.

- Coś ci powiem. Ja nie będę na chwilę. Zresztą wolałbym, żebyś ty też nie była.

- O co ci chodzi?

- Zostań w Mullaby, Julio, a sama się dowiesz. - Usłyszała skrzypnięcie otwieranych, a potem zamykanych drzwi.

- Gdzie idziesz? Sawyerze!

Wyjście z gabinetu luster zajęło jej parę minut. Gdy przeszła przez drzwi, znalazła się w beczce śmiechu. Przebiegła przez nią do samolotów, a potem znów wypadła na zewnątrz, lecz nigdzie go nie znalazła. Festynowe powietrze było gęste niczym wata cukrowa.

Przynajmniej próbowała przekazać mu, że z powodu tego, co musiała mu powiedzieć, nie uważa wiązania się z nim za dobry pomysł. Kiedy się dowie, może ją znienawidzić. Nie chodziło jej o to, że chciałyby mieć z nim przelotny romans, ale najwyraźniej on to tak

zinterpretował i bardzo chciał odwrócić sytuację na swoją korzyść. Ale po co? Żeby wyszło na jego? Przecież bycie z nią choćby na chwilę powinno być spełnieniem jego marzeń. Zamiast tego dał jej do zrozumienia, że będzie z nią jedynie na swoich zasadach. Tylko jeśli Julia zostanie.

„Czy naprawdę sądził, że pozwolę się wodzić na sznurku?”

Kiedyś myślała, że na zawsze będą razem, i proszę jak to się skończyło.

Poszła ulicą w stronę altany, fukając z oburzenia. Dobrze się z tym czuła. Niechęć powróciła. Nie była mu nic winna, mogła po prostu odejść. Nic więcej nie trzeba było mówić.

Na Boga, gdyby tylko była w stanie to sobie wmówić. Gdyby tylko jej nie pocałował. Gdyby tylko jej nie powiedział... Ledwo wyszła z terenu wesołego miasteczka, kiedy usłyszała:

- Julio! Juuuuuuuuulio!

Odwróciwszy się, dostrzegła, iż podchodzi do niej Beverly, stukając małymi klamkami w swoich sandałkach na obcasach. Idący obok niej Bud Dale, obciążony wszystkimi torbami, wyglądał niczym juczny osioł.

- Beverly - przywitała ją chłodno Julia, po czym zwróciła się do jej męża: - Dawno cię nie widziałam, Budzie. Jak leci?

- Całkiem nieźle, Julio. Okropnie miło, że pytasz. -Uwagę Julii przykuł sposób, w jaki to powiedział. Jej ojciec wypowiadał się tak samo dobrotliwie. Beverly go zostawiła, a mimo to wyszła za mężczyznę, który był taki sam.

- Mam dla ciebie wielką niespodziankę - stwierdziła Beverly.

- Jaka?

- Nie mam jej teraz przy sobie - odparła, choć Julii ciężko było w to uwierzyć, zważywszy na ilość toreb, które Bud za nią nosił. - Wpadnę do ciebie jutro w porze lunchu, dobrze? Jestem tym strasznie podekscytowana.

- Dobrze. - Julia zaczęła się odwracać - To do zobaczenia.

- Dlaczego tak się zachowujesz, Julio? - spytała Beverly, kładąc ręce na biodrach. - Dlaczego zawsze jesteś taka nieszczęśliwa? Robisz się przez to nieatrakcyjna. Zadbaj o wygląd: przefarbowała to okropne pasemko, pouśmiechała się do panów, odsłoniła trochę ciała. - Beverly poprawiła bluzkę, jeszcze mocniej naciągając swój dekolt w szpic. - Och, wiem, że nie lubisz pokazywać swoich blizn, ale żaden mężczyzna nie spojrzy na twoje ręce, kiedy już wylądujesz z nim w łóżku, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Dziękuję za cenną uwagę, Beverly. Żegnaj, Bud.

- Miło cię było spotkać, Julio - odparł, gdy odchodziła.

- Od zawsze próbowałam zastąpić jej matkę - usłyszała słowa Beverly. - No wiesz, podzielić się swoją wiedzą. Ale myślę, że coś jest z nią nie tak i nie da się tego naprawić.

Julia walczyła ze sobą, aby się nie odwrócić i nie stawić czoła Beverly, która nigdy nie była dla niej jak matka. Szła naprzód, myśląc o tym, że niedługo nie będzie już musiała zrosić ani jej, ani Sawyera.

Akurat dla Beverly powinno być oczywiste, dlaczego Julia była nieszczęśliwa. Poczucie się lepiej, gdy tylko wróci do Baltimore. Choć nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była tam wyjątkowo szczęśliwa, wiedziała, że otworzenie własnej cukierni to zmieni.

A przynajmniej nie będzie tutaj.

Emily powolnym krokiem przechadzała się wśród gorących oparów jedzenia ze stoisk i przy melodyjkach z karuzeli. Próbowała zachowywać się tak, jakby wcale go nie szukała. Istniała pewna możliwość, że Win nie zamierzał spędzać z nią czasu, kiedy zapytał, czyją spotka na festynie, lecz do tej pory nie miała okazji, by się tego dowiedzieć.

Widziała go tego dnia kilka razy, ale tylko przez moment, zanim Julia ją odciągnęła albo ojciec rozproszył Wina. Kiedy podszedł do nich Sawyer, Emily poczuła wielką ulgę. Był to dla niej doskonały pretekst, żeby

się urwać, choć Julia nie wydawała się tak zadowolona z perspektywy pozostania sam na sam z Sawyerem, jak Emily przypuszczała.

Zaledwie pięć minut później, kiedy szła w kierunku kiosku informacyjnego, przy którym widziała przedtem Wina tłumaczącego coś odwiedzającym, poczuła na ramieniu znajome ciepło dłoni.

Odwróciła się z uśmiechem.

Win ściągnął marynarkę i krawat, rękawy jego koszuli były podwinięte. Zgubił gdzieś również swój kanotier. W białej koszuli, która falowała przy każdym podmuchu wiatru, nabrał karaibskiego luzu. Pochłaniał ją swoimi zielonymi oczami.

- Cześć - zagaiła w jakże oryginalny sposób. Nic nie mogła na to poradzić. Była oszołomiona przebywaniem tak blisko niego.

- Witaj - odparł.

- Zauważyłeś pewien spisek mający na celu utrzymanie nas z dala od siebie na odległość przynajmniej sześciu metrów? Kto by pomyślał, że tak trudno będzie się nam przyjaźnić.

Machnął dłonią do przodu, pokazując, iż powinni stąd iść.

- Myślę, że na tym polega różnica między nami -stwierdził, z niepokojem oglądając się przez ramię. - Ja od początku wiedziałem, że to będzie trudne.

- Czyli to tobie przysługuje odznaka za odwagę?

- Wybacz - odrzekł. - Nie chciałem, żeby tak zabrzmiało. Cieszę się, że wreszcie mogę spędzić z tobą trochę czasu.

Nieco udobruchana powiedziała:

- Ciężko cię rozgryźć, Winie.

Słyszając to, wykrzywił w uśmiechu kącik ust.

- Gdybyś tylko wiedziała, jak krzepiące są twoje słowa.

- Och, daj spokój. Twierdzisz, że rozgryźli cię już wszyscy oprócz mnie?

Wzruszenie ramion zmarszczyło mu koszulę przy ramionach.

- Przynajmniej wszyscy w Mullaby.

- O rety, teraz to już w ogóle czuję się dziwadłem.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodzi. Mieszkasz w dziwnym mieście, niemniej to ty czujesz się dziwna.

Kiedy tak szli, przepychając się przez tłum, bezwiednie dotykali się ramionami. Podobało jej się to. Wszystko inne w Winie było takie rozmyślne.

- Cóż, cieszę się, że mogłam narobić trochę zamieszania - odrzekła, czym wzbudziła jego śmiech.

Spacerowali dopiero parę minut, kiedy zatrzymał się i podprowadził ją do krótkiej kolejki.

- Przejdźmy się - niespodziewanie zaproponował.

- Dlaczego akurat tym? - spytała, idąc za nim. Przebywanie z nim było czasami jak gra, z tym że nie znała jej zasad. Ani nie wiedziała, kto wygrywa.

- Bo było najbliżej - odparł. - A mój tata tu krąży.

Emily spojrzała za siebie, próbując zlokalizować Morgana Coffeya, ale nie dostrzegła go. Win zapłacił za ich bilety i przeszli po pomoście do diabelskiego młyna. Gdy zajęli wolne siedzenie, pracownik obsługi ułożył w poprzek nich belkę bezpieczeństwa.

Karuzela powoli ruszała z miejsca, zaś Win objął ją ramieniem i wpatrywał się w niebo. Za to Emily patrzyła w dół na ludzi, którzy robili się coraz mniejsi. W końcu wypatrzyła jego ojca. Stał nieruchomo jak słup soli i spoglądał na nich wzrokiem przepełnionym złością i duchami przeszłości.

- Niedługo odejdziesz - powiedział Win, nadal wpatrując się w niebo o zmierzchu. - Nie chce, by inni spostrzegli, jak bardzo się przejmuję tym, że jesteśmy razem.

- Nie najlepiej się dogadujecie, prawda?

- W wielu sprawach jesteśmy do siebie podobni, lecz nie we wszystkim się zgadzamy. Na przykład sądzi, że wszystko powinno być robione tak jak dawniej. Nie podzielam jego zdania.

Diabelski młyn zatrzymał się w momencie, kiedy ich siedzenie znajdowało się dwa miejsca od szczytu.

- Dużo o tobie myślałam w tym tygodniu - wyznała. Zabrzmiało to o wiele bardziej romantycznie, niż zamierzała.

Przeniósł wzrok z nieba na jej oczy i posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Doprawdy?

- Nie w ten sposób - odparła, śmiejąc się. Przestała, gdy ich siedzenie zaczęło się bujać na wietrze. Złapała się belki bezpieczeństwa. Rzecz jasna, on nie bał się przebywania na takiej wysokości. - Po prostu nie potrafię pojąć jednej rzeczy.

- Jakiej?

- Nie jesteś chyba wilkołakiem?

- Że jak? - zdziwił się.

Powoli rozluźniła swój uchwyt na belce i wyprostowała się.

- Jestem w stanie wymyślić tylko dwa powody, dla których nie wychodzicie w nocy: ślepotą zmierzchową albo wilkołactwo.

- I postanowiłaś zacząć od wilkołactwa?

- Rzuciłam monetą.

Win zamilkł na chwilę, a w końcu odparł:

- To z powodu tradycji. Trwa od stuleci.

- Dlaczego?

- Dobre pytanie. Przypuszczam, że na tym właśnie polega istota tradycji.

- Czy to kolejna sprawa, w której nie zgadzacie się z ojcem? Diabelski młyn znów ruszył.

- Owszem. Lecz przeciwstawienie się tradycji nie jest proste. - Zwrócił się przodem do niej. - Spośród



wszystkich rzeczy, które ci powiem, najważniejsze jest, byś zrozumiała właśnie to.

Tymi słowami wywołał w niej nagłe poruszenie.

- O czym mi powiesz?

- O rzeczach dziwnych i cudownych - zapowiedział przejmującym głosem niczym narrator książki.

- A dlaczego? Po co to robisz?

- Już ci mówiłem. Łączą nas wspólne więzy.

- Prawdę mówiąc... - wtrąciła. - ... więzi łączyły twojego wujka i moją matkę.

- Historia lubi zataczać koło. Jesteśmy dokładnie tam, gdzie dwadzieścia lat temu byli oni. Co należało do nich, jest też nasze, a co do nas, będzie ich.

- Chyba długo nad tym rozmyślałeś.

- Owszem.

Karuzela zrobiła jeszcze jeden obrót i ponownie stanęła. Tym razem ich siedzenie, które niebezpiecznie trzeszcząc, kołysało się na wietrze, zatrzymało się na samym szczycie. Emily znów chwyciła za belkę.

Win uśmiechnął się do niej.

- Chyba się nie boisz?

- No pewnie, że nie. A ty? Skierował wzrok na horyzont.

- Lubię oglądać rzeczy z tej perspektywy, bo wiem, jak to wszystko wygląda z dołu. Lubię wypatrywać nowych możliwości. Tego, co znajduje się poza kołem historii.

Nie zdawała sobie sprawy, iż się w niego wpatruje, dopóki nie odwzajemnił jej spojrzenia. Nagle powietrze wokół nich się zmieniło. Była tak blisko niego, iż poczuła nikły zapach wody kolońskiej i zobaczyła kropelki potu zebrane w załamaniach u podstawy jego szyi. Spojrzeniem powędrował do jej ust, wypełniając jej ciało uczuciem zarazem ciepłym i rozpaczliwym. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś takiego. Zupełnie, jakby cały wszechświat miał przestać istnieć, gdyby coś nie wydarzyło się właśnie wtedy.

Lecz ten moment przeminął, a jego klatka piersiowa uniosła się i opadła, jakby wziął głęboki oddech. Potem cofnął ramię, którym ją obejmował.

Po kolejnym okrążeniu karuzela zatrzymała się i pracownik obsługi usunął belkę bezpieczeństwa. W milczeniu zsiadli i wyszli pomostem na zewnątrz.

- Wybacz, ale muszę już iść - powiedział.

Nadal czuła się dziwnie, jakby była oszołomiona i rozdrażniona.

- W porządku.

Nie odchodził jednak.

- Mój ojciec czeka za rogiem - tłumaczył się. - Chcę ci oszczędzić tego, co może powiedzieć.

- W porządku. Nadal nie odchodził.

- Poza tym niedługo zrobi się ciemno.

- A ty nie chcesz, żeby przy mnie wyrosły ci kły i futro - odparła. - Rozumiem.

jego ciemne włosy skręciły się od wilgoci. Przeczesał je palcami.

- Obawiam się, że nie.

- To mi wytłumacz. Opowiedz mi o rzeczach dziwnych i cudownych.

Sprawiła, że się uśmiechnął - jakby dokładnie to chciał usłyszeć i wszystko poszło zgodnie z jego planem.

- Dobrze. Następnym razem. Zaczął odchodzić.

- Zaczekaj! - Zawołała, zaś on się zatrzymał. - Muszę cię o coś zapytać.

- O co?

Zdecydowała się nie owijać w bawełnę.

- Obwiniasz mnie za to, co zrobiła moja matka?

- Oczywiście, że nie - odparł bez zastanowienia.

- Ale twój ojciec tak. Zawahał się.

- Nie mogę mówić za niego.

- Dziadek twierdzi, że mama zrobiła to, co zrobiła, ze złości, bo CofTeyowie nie chcieli jej dopuścić do swojego kręgu towarzyskiego.

- Tak to szło - odpowiedział, po czym utkwiał w me) zaciekawione spojrzenie.

Gdy odgarniała włosy za uszy, śledził wzrokiem każdy jej ruch.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział... że nie jestem zła.
- To znaczy?
- Na to, że twoja rodzina mnie nie lubi. Rozumiem, z jakiego powodu. I nie jestem zła.
- Och, Emily - odrzekł. -Co?
- Teraz jest to jeszcze trudniejsze.
- Co? Odejście?
- To też. Do następnego?

Skinęła głową. Lubiła tę ciągłość, to oczekiwanie. Co zrobi? Co powie? Była nim zbyt zachwycona, zbyt zafascynowana i nic nie mogła na to poradzić. Chciała się wpasować w to miejsce, a on sprawiał, że czuła, iż to możliwe.

- Do następnego - pożegnała się, kiedy odchodził.

Zgodnie z obietnicą Emily spotkała się z Julią przy altanie. Nietrudno było zauważyć, iż nastrój obu zmienił się, od kiedy widziały się po raz ostatni. Kupiły dziadkowi Vance'owi kanapkę barbecue i kiszzonego ogórka w panierce, po czym poszły w stronę domu. Żadna z nich nie była jakoś specjalnie rozmowna.

Gdy dotarły do domu dziadka Vance'a, rozkojarzona Julia życzyła jej dobrej nocy. Emily patrzyła, jak odchodzi - była wyraźnie zatopiona w myślach.

Wszedłszy do domu, Emily zapukała w ścianę obok harmonijkowych drzwi do sypialni Vance'a.

- Dziadku, wróciłam.

Gdy otworzył drzwi, po raz pierwszy było jej dane zerknąć do jego pokoju. Niegdyś służył zapewne za salon. Okna były zasłonięte, by powstrzymać letni skwar, lecz promienie przebijające się przez ceglaste zasłony sprawiały, iż wnętrze stale tonęło w słonecznej poświacie. Pomieszczenie wyglądało na dusznawe, ale unosił się w nim delikatny zapach słodkich perfum, jakby zaledwie przed chwilą wyszła stąd jakaś kobieta.

Na przeciwległej ścianie stały na półkach rzędy starych fotografii przedstawiających tę samą kobietę: ładną blondynkę z uśmiechem matki Emily. To musiała być jej babcia Lily. Zastanawiała się, gdzie są zdjęcia jej matki. Czy dziadek w ogóle miał jakieś?

Wyciągnęła owinięte w folię jedzenie.

- Przyniosłam ci coś z festynu.

- Wspaniale! Chyba zjem w kuchni. Przyłączysz się? - Poszedł przodem i na miejscu udał się od razu do pralni. Emily usłyszała, jak otwierają się i zamykają drzwiczki suszarki, po czym Vance ponownie wkroczył do kuchni. - Jak ci się podobała nasza skromna impreza?

Emily uśmiechnęła się.

- Wcale nie była skromna.

- Co robiłyście z Julią? - Usiadł w kąciku śniadaniowym i z roztargnieniem pocierał swoje kolana, jakby go bolały.

- Szwendałyśmy się po stoiskach, objadłyśmy się i Julia kupiła mi tę koszulkę. - Emily podeszła do dziadka, położyła jedzenie na stole i usiadła naprzeciwko. Wyciągnęła koszulkę z niewielkiej torby, którą przyniosła z sobą.

- Ha! Niezła jest - skomentował Vance, gdy przeczytał napis. - Spotkałaś jakieś dzieciaki w swoim wieku?

Emily zawahała się, zanim odpowiedziała:

- Tylko Wina Coffeya.

- Cóż, to festyn jego rodziny- stwierdził, odwijając kanapkę, i zaczął jeść. - Musisz poznać innych ludzi w swoim wieku. Jeśli dobrze pamiętam, to mój przyjaciel Lawrence Johnson ma wnuczka... chyba w gimnazjum.

Zmieszana Emily odparła:

- Myślisz, że potrzebuje babysitterki?

- Tak, chyba jest dla ciebie trochę za młody - przyznał Vance. - Dopiero lipiec. Szkoła zacznie się w przyszłym miesiącu, a do tego czasu się zanudzisz, - Wyglądał na zmartwionego. - Ta przyjaciółka twojej matki Merry obiecała, że cię zapisze i prześle twoje punkty z zajęć. Sądysz, że powinienem zapytać o to w szkole, tak na wszelki wypadek?

Emily była tak zaabsorbowana tutejszymi sprawami, że ani razu nie pomyślała o Merry. Zaskoczyło ją to.

- Merry pewnie zajęła się wszystkim. Jest bardzo drobiazgowa, tak jak mama. - Emily spuściła wzrok na koszulkę leżącą na jej kolanach. - Mama pomogła założyć tę szkołę, do której chodziłam. Wiedziałaś o tym?

Skinął głową.

- Ucieliśmy sobie z Merry dłuższą pogawędkę. Twoja matka miała niezwykle życie. Merry opowiadała mi też o tobie, że się angażowałaś w wiele spraw.

Emily wzruszyła ramionami. Jej dawne życie ciążyło jej i wydawało się teraz ograniczone.

- Tego wymagano od nas w szkole.

- Założę się, że tutaj też będzie wiele spraw, w które będziesz się mogła zaangażować. Też takie, które można robić w nocy.

Wiedziała, do czego zmierza z subtelnością godną dwuipółmetrowego mężczyzny. Nie chciał, aby zadawała się z Winem. Rozumiała, co nim kierowało, ale zastanawiała się, czy była w stanie to zmienić, jeśli rzeczywiście przybyła tutaj, żeby wszystko naprawić. Jak zwykła powtarzać jej matka: „Nie czekaj, aż świat się zmieni”. Ostatnimi czasy dużo rozmyślała o wskazówkach, jakie przez lata - świadomie lub przypadkowo - zostawiała jej matka na temat tego, jak tu żyła i czego się nauczyła. Emily zaczynała powoli rozumieć, iż to, kim stała się jej matka, było jej pokutą. W młodości

krzywdziła ludzi, a gdy dorosła, zaczęła ich ratować. Lecz mimo że uczyniła tyle dobrego, ciągle było jej mało. Jej matka nigdy nie była z siebie zadowolona.

Po posiłku dziadek Vance wstał i wyrzucił opakowania, po czym poszedł do pralni, żeby sprawdzić suszarkę.

Dłużej tego nie zniesie. Musiała się dowiedzieć. Kiedy wrócił, wysunęła się ze swojego miejsca w kąciu śniadaniowym i zapytała:

- Dlaczego to robisz? Czemu tak często sprawdzasz suszarkę?

Zaśmiał się, posyłając jej chytre spojrzenie.

- Zastanawiałem się, kiedy spytasz - powiedział. Podeszedł do lodówki i wyciągnął z niej dwie zielone butelki 7UP-a. Jedną z nich podał Emily. - Na początku naszego małżeństwa zachowywałem się jak typowy stary kawaler. Kiedy Lily się tu wprowadziła, mieszkałem sam już od dłuższego czasu. W trakcie sprzątanía, zupełnie nieświadomie, chodziłem za nią po całym domu, żeby upewnić się, że robi wszystko tak, jak było robione do tej pory. Lily najbardziej irytowało, gdy sprawdzałem po niej suszarkę, aby się upewnić, że nie zostawiła tam żadnych ubrań. - Pokręcił głową na to wspomnienie. - Z powodu wzrostu trudno mi popatrzeć w okienko, więc tylko wkładam rękę do środka i staram się coś wyczuć. Któregoś dnia, kiedy już wyszła z koszem prania, wszedłem do pralni i włożyłem rękę



do suszarki, wyczułem coś zimnego i śliskiego... Wrzuciła tam żabę z ogrodu, żebym ją znalazł! Wyciągałem rękę tak prędko, że przewróciłem się do tyłu. Żaba od razu wyskoczyła ze środka i patrzyłem, jak przeskakuje przez pokój obok butów Lily, która stała w progu i się zaśmiewała. Cóż, dostałem nauczkę. Potem przez lata w ramach żartu kazała mi sprawdzać, co jest w suszarce, i zawsze znajdowałem tam jakiś prezencik od niej. - Odkręcił kapsel z butelki i wypił łyk. - Po jej śmierci dalej sprawdzałem. Sam nie wiem czemu. Nigdy niczego nie znalazłem, ale to sprawia, że o niej myślę. A kiedy martwię się czymś albo jestem zdenerwowany, zawsze idę sprawdzić, bo może akurat Lily chce mi coś przekazać.

- To kochane z twojej strony, dziadku - odparła Emily. - Żałuję, że jej nie poznałam.

- Ja też. Spodobałabyś się jej.

Przy schodach powiedzieli sobie dobranoc i Vance wrócił do swojego pokoju. Emily weszła do połowy schodów, po czym się zatrzymała. Po chwili wahania zeszła z powrotem na dół i udała się do pralni.

Przez moment przyglądała się suszarce, pochylając się nawet, by sprawdzić, co jest za nią. Mimowolnie chwyciła za uchwyt i pospiesznie otworzyła drzwiczki, odskakując na wypadek, gdyby miało na nią wylecieć coś ze środka.

Ostrożnie zerknęła do wnętrza. Pusto. Wychodząc z pralni, prawie wyśmiała samą siebie. Co ją opętało, żeby to zrobić? Na jaki znak czekała?

Parę godzin później Emily powoli otworzyła oczy niepewna, co ją obudziło. Wzięła głęboki oddech. Za sprawą przyćmionego umysłu wydychane przez nią powietrze wydało się jej niebieskie niczym dym. Utkwiła wzrok w suficie i stopniowo do niej dotarło, iż coś jest nie tak. Zazwyczaj w pokoju było jaśniej.

Gdy kładła się spać, przez otwarte drzwi balkonowe widać było księżyc, a do pokoju wpadały jego promienie, blade niczym papier. Przewróciła głowę na poduszce i ujrzała, że drzwi balkonowe były teraz zamknięte, a zasłony zaciągnięte.

Poczuła, że serce jej łomocze, skóra głowy zaś się napina, jakby stanął na niej każdy włos. Zaskoczona, uświadomiła sobie, że ktoś był w jej pokoju. Sięgnęła pod poduszkę, by wyłączyć MP3, po czym powoli oparła się na łokciach. .

Wiedziała, że to on. Wyczuwała jego obecność lepiej niż kogokolwiek innego. Powietrze było nadal przesycone jego ciepłem.

Wyciągnęła z uszu słuchawki, wstała i szybko podeszła do włącznika światła. Gdy go nacisnęła, pokój zalało przenikające przez pajęczyny światło zyrandola.

Ale nikogo tu nie było.

Z drugiego końca pokoju dostrzegła kawałek papieru wystający zza zasłon. Został włożony pomiędzy zatrzaśnięte drzwi balkonowe. Podbiegła do nich i wyciągnęła karteczkę.

*Wybacz, że musiałem wyjść z festynu. Naprawdę nie chciałem. Spędzimy razem jutrzejszy dzień? Spotkajmy się rano na deptaku przy jeziorze Piney Woods.*

*Win*

Emily natychmiast otworzyła drzwi i wyszła na balkon, rozglądając się dokoła. - Winie?

Cisza. Słyszeć było tylko pasikoniki i liście szumiące na wietrze niczym papier.

Serce nadal waliło jej mocno i szybko, lecz teraz nie ze strachu, ale na myśl o niezwykłym spotkaniu. Od dawna nie czuła czegoś takiego. Od miesięcy niczego nie wyczekiwała z taką niecierpliwością: ani jedzenia, ani urodzin, ani weekendów. Sprawił, że przypomniała sobie to uczucie.

Przy jej nogach łopotał skraj koszuli nocnej, a powietrze było jak naelektryzowane. Bała się poruszyć, by to uczucie nie zgasło.

Parę minut później usłyszała dźwięk włączanego silnika. Światła zaparkowanego przy krawężniku pikapa Julii niespodziewanie rozbłysły. Emily patrzyła, jak samochód rusza i odjeżdża w dół ulicy.

Podejrzewała, że nie tylko ona nie zaśnie tej nocy.

## ROZDZIAŁ 12

Kiedy Sawyer stanął w drzwiach wejściowych swojej kamienicy, był skrajnie poirytowany, jak każdy, kogo wyciągnięto by z łóżka w środku nocy natarczywym dzwonieniem do drzwi. Gdzie się tak pali?

Drzwi otworzyły się, gwałtownie uderzając w mur, gdy on zapalał światło na werandzie.

Julia zsunęła rękę z dzwonka i od razu ustał drażniący pisk wewnątrz jego domu.

Kilkakrotnie zamrugął oczami.

- Julia? - spytał po to, żeby się upewnić.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Teraz? - Nie był w najlepszej formie. Przewróciła oczami.

- Tak, teraz.

Dobrze jej się przyjrzał. Nie przebrała się. Miała na sobie te same wyblakłe džinsy i białą haftowaną bluzkę

co na festynie. Żałował, że z nią nie został, ale był na nią zbyt wściekły. Uważała, że zadowoli się ochłapem - że zgodzi się na przelotny romans. Choć uciał sobie w życiu niejednego romans i przeważnie znajdował w każdym z nich przyjemność, w przypadku Julii chciał postąpić szlachetniej. A ona nie chciała mu na to pozwolić.

- Jesteś pijana? - zapytał.

- Nie, nie jestem pijana, tylko zła.

- Och, to dobrze, bo przez chwilę obawiałem się, że to coś innego niż zwykle. - Cofnął się o krok. - Wejdz, proszę. - Był to odruchowy gest. Nie zastanawiał się nad nim, dopóki nie przeszła obok niego i nie wkroczyła do ciemnego salonu. Wtedy do niego dotarło, że przecież była w jego domu. Dokładnie tam, gdzie chciał, by się znalazła. I nie miał pojęcia, co ma teraz zrobić.

Światło paliło się jedynie nad okapem w kuchni, bo akurat to Sawyer zawsze zostawiał na noc. Julia rozejrzała się po pokoju, nieznacznie kiwając głową. Zgodnie z jej oczekiwaniami urządzone było elegancko, lecz zdradzało zamożność właściciela, co zupełnie jej się nie podobało.

- Czy chodzi o tę ważną rzecz, którą chciałaś mi powiedzieć? - spytał z obawą, iż przyszła właśnie po to. Powie mu tę jedną ważną rzecz, a potem nie będzie już chciała mieć z nim nic wspólnego?

Odwróciła się przodem do niego i posłała mu nieprzyjazne spojrzenie:

- No co?

- W zeszłym tygodniu przyniosłaś mi ciasto. Powiedziałaś, że to przeze mnie zaczęłaś piec i że później powiesz mi jakąś ważną rzecz. Czy teraz jest to „później”?

- Nie, mam na myśli coś innego. Dlaczego miałabym się złościć o tamto?

Westchnął.

- Nie mam pojęcia, Julio. Z tobą mogę tylko zgadywać. Zaczęła krążyć po pokoju.

- Wszystko grało, dopóki nie postanowiłeś się przede mną ukorzyć. Prawie dałam się nabrać. Prawie ci zaufałam. - Prychnęła pogardliwie. - A mimo to masz czelność oskarżać mnie o przebiegłość?

- O czym ty mówisz?

- O tym, co mi dzisiaj powiedziałeś.

Potańszczył, kilkudniowy zarost w kolorze blond na swoim policzku.

- Możesz mi przypomnieć?

- Powiedziałeś, że dopuszczam cię do siebie tylko dlatego, że planuję wyjazd. A potem sobie poszedłeś.

- Ach. - Pozwolił opaść swojej ręce. - O to ci chodzi.

- Zupełnie nie o to mi chodziło i wytłumaczyłabym ci to, gdybyś został na miejscu. Ale to i tak nie ma najmniejszego znaczenia. Bo nawet jeśli, to co z tego?

Zaczynał podejrzewać, że nie może za to obwiniać swojego zaspanego umysłu. Ona naprawdę mówiła od rzeczy.

- Nie rozumiem.

- Co z tego, jeśli dopuszczam cię do siebie tylko dlatego, że planuję wyjazd? Czemu miałoby cię to obchodzić? Próbujesz się dobrać do moich majtek od dnia mojego powrotu. Pozwoliłbyś, żeby coś takiego jak mój wyjazd pokrzyżowało twoje plany? Ostatnio ich nie pokrzyżowałam.

Jego głowę oblała fala gorąca. Dotknęła drażliwego tematu.

- Ustalmy jedno. Wiesz równie dobrze jak ja, że mogę się do nich dobrać w dowolnej chwili. - Zrobił krok w jej stronę. Był tak blisko, że ciałem musnął jej piersi. - Bo doskonale wiem, jak to się robi.

- Zrób więc to teraz - odparła wyzywająco, choć głos jej nieco zadrżał.

- Chcę być też tutaj. - Przyłożył palec do jej skroni.

- Jesteś tam.

- A tutaj? - Położył rękę na jej klatce piersiowej. Serce jej łomotało. Z gniewu? Ze strachu? Z pożądania?

Niespodziewanie się cofnęła.

- Nie zrobisz mi tego po raz drugi.

- Czego?

- Nie wślizgniesz się do mojego serca. Nie omamisz mnie, bym uwierzyła, że to na zawsze. Zajęło mi całe lata, by się pozbierać po ostatnim razie. Nie wmówisz mi znów, że to na zawsze. Nie obiecuj mi niczego, a ja nie będę obiecywać tobie. Nie przejdą ze mną bzdety typu



„zostań, bo wolałbym, żebyś nie była tylko na chwilę”. Wiesz, o ile byłoby mi łatwiej, gdybyś obiecał mi tylko jedną noc? Tamtą noc? Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię nienawidziłam za to udawanie, że mnie kochasz?

- Julio...

- Przestań. Obiecuj mi jedną noc - powiedziała. -Nie mów, że mnie kochasz. I nie prosź, żebym została.

Do diabła ze szlachetnością. Objął ją i pocałował z namiętnością, której nie mógł już dłużej poskramiać. Natychmiast zatracił się w tym pocałunku. Zrobił to bez wysiłku, jakby nie płynął sam, tylko uniosła go fala powodzi.

Powędrował dłońmi do brzegu jej bluzki i powoli uniósł ją do góry. Kiedy musnął rękami jej nagie piersi, wygięła się do tyłu. Wtedy przerwał ich pocałunek, a jej palce odruchowo zacisnęły się na jego włosach, jakby chcąc go zatrzymać.

- Dobry Boże, przyszłaś tu bez stanika - skomentował.

Przyparł ją do ściany i wkrótce jej bluzka znalazła się na podłodze. Jęknął, gdy niecierpliwie zaczęła się o niego ocierać. Zacisnął dłoń na jej biodrze i przyciągnął je do siebie. Bezbłędnie wpasowała się w narzucony przez niego rytm.

Kiedy sięgnął do guzików jej dzinsów, próbowała mu pomóc, nie przerywając pocałunku, lecz co rusz jego usta gdzieś jej uciekały. W końcu ułatwił sobie sprawę i zsunął spodnie stopą, żeby mogła z nich wyjść.

- Chcesz jedną noc, to ci ją dam - powiedział, przenosząc ją i kładąc na sofie. - Ale to będzie piekielna noc.

Staął, wpatrując się w nią tak zachłannie, że próbowała się zasłonić. Nie odrywając od niej wzroku, ściągnął dół od swojej piżamy. Oparł się kolanem na sofie tuż obok niej. Przełknęła ślinę i położyła dłoń na jego nagim torsie.

- Zaczekaj, Sawyerze.

Spuścił głowę, próbując złapać oddech.

- Co ty ze mną robisz, Julio?

- Chciałam powiedzieć, zaczekaj, bo muszę wyciągnąć gumki z kieszeni džinsów.

Zdziwiony uniósł głowę.

- Nie kłamałam. Nie mogę mieć dzieci.

- Na pewno?

- Na pewno. - Mimo to zupełnie nieprzytomny wstał i podszedł do jej spodni. Wygrzebał z kieszeni gumki i sprawnie założył jedną z nich.

- Nie chcę już czekać - rzekł, kładąc się na niej.

- To nie czekaj.

Z nikim nie było jej tak dobrze. Spletli się w uścisku z siłą, która miała zrekompensować im długą rozłąkę. I na chwilę im się to udało. Sawyer chciał ją zatrzymać, żeby trwać w niej już na zawsze.

Później, łapiąc drugi oddech, leżeli w objęciach tak mocnych, że zostawiały odciski na ciele. Wtuliwszy głowę w jej szyję, Sawyer zdołał wykrztusić:

- Ubolewam nad tym brakiem samokontroli, ale zapewniam cię, że umiem teraz więcej niż jako szesnastolatek.

Zaśmiała się.

- Jak tylko będę miał siłę wstać, zabiorę cię do sypialni i ci udowodnię.

Obudziła się rano, lecz w jego sypialni nadal było ciemno. Sawyer patrzył na nią, kiedy mrugnawszy parę razy, odwróciła głowę na poduszce i napotkała jego spojrzenie.

Miała rozczochrane włosy, a różowe pasemko okręciło się jej wokół ucha. Z pewną rezygnacją wzięła głęboki oddech.

- A niby wszystko sobie poukładałam...

- Sądysz, że obietnica kolejnej nocy nieco ci w tym pomoże?

Uśmiechnęła się, lecz nie odpowiedziała.

Musnął palcem jej przedramię, wodząc nim po liniach jej blizn. Widział moment, w którym to sobie uświadomiła - natychmiast zabrała mu rękę, ale chwycił ją ponownie.

- Dlaczego to sobie zrobiłaś? - zapytał. Spoglądała na niego, gdy on podążał wzrokiem za palcem wędrującym po jej bliznach.

- W ten sposób radziłam sobie z depresją i poczuciem osamotnienia. Nie wiedziałam, jak inaczej się z tym

uporać, więc kierowałam agresję do wewnątrz, a to był jej rezultat. Nie myśl sobie, że sama na to wpadłam. Przemawiają przeze mnie lata terapii. Skrzyżował z nią wzrok.

- Myślisz czasem o tym, żeby to znowu zrobić?

- Nie wiem, czy zauważyłeś, ale jestem teraz całkiem niezła w uzewnętrznianiu swojego gniewu. - Przesunęła się nieznacznie i lekko skrzywiła.

- Wszystko w porządku? Odchrząknęła.

- Chyba... wyszłam z wprawy.

Czy to źle, że ucieszyła go ta wiadomość? Nawet jeśli, to trudno. Często się zastanawiał, co robiła w Baltimore, z kim tam była. Wiedział naprawdę niewiele

o tym okresie jej życia.

- Dlaczego nie wróciłaś do Mullaby?

- Sądziłam, że nic tu na mnie nie czeka. - Z powrotem przekreśliła głowę na poduszce i zapatrzyła się w sufit.

- Nie tęskniłaś za domem?

- Cały czas za nim tęsknię - odparła, nadal nie patrząc na niego. - Tylko nie wiem, gdzie on jest. Gdzieś tam czeka na mnie szczęście, wiem to. Czasami nawet to czuję. Ale to jak pogoń za księżycem - jak tylko wydaje ci się, że go złapałeś, znika za horyzontem. Rozpaczasz

i próbujesz się pozbierać, ale to cholerstwo powraca następnej nocy, znowu dając ci nadzieję, że zdołasz je złapać.

Nigdy wcześniej nie słyszał, by mówiła równie szczerze i otwarcie. I to Julia, która nie rozmawiała o uczuciach.

- Czy to ta wielka rzecz, którą chciałaś mi powiedzieć? -Nie. Jęknął.

- Zamęczysz mnie. Czy to coś dobrego? -Tak.

Położył rękę na jej udzie i zaczął przesuwać ją do góry.

- Lepszego niż ubiegła noc?

- Nie ma porównania. - Położyła dłoń na jego ręce, by go powstrzymać. - Która godzina?

Uniósł się na łokciu i spojrzał na zegarek stojący na stoliku nocnym.

- Parę minut po dziewiątej. Zawahała się.

- Ale rano?

- Owszem.

Ze stłumionym okrzykiem wyskoczyła z łóżka. Podeszła do ciężkich zasłon i je rozsunęła. Poranne słońce natychmiast rozświetliło ciemny pokój. Gdy tylko mroczki przestały mu latać przed oczami, zaczął się wpatrywać w zarys jej nagiego ciała na tle okna. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Poczł mrowienie w lędźwiach i zaszumiało mu w głowie.

- Nie wierzę, że już rano! Dlaczego mi nie powiedziałaś? Co to za zasłony? - Chwyciła jedną z winowajczyń i przyjrzała jej się z bliska. - Myślałam, że jest jeszcze ciemno!

- Są z materiału blokującego światło. Oślepiąoby mnie każdego ranka, gdyby ich nie zamontował. -Usiadł, opierając się o poduszki, i założył ręce za głowę. -Naprawdę przyjemnie cię pooglądać z tej strony, ale myślę, że na widok sąsiadów wystawiłaś tę lepszą. Może się odwrócisz?

Pospiesznie odeszła od okna i schowała się za jedną z zasłon.

- A niech to! Ale zabłysłam przed twoimi sąsiadami. I to w niedzielny poranek!

- Za to ja stanąłem przed boskim obliczem.

- Muszę już iść - stwierdziła, zerkając na drzwi.

- Zostań.

- Muszę upiec ciasta na dzisiaj. Jestem już bardzo spóźniona. Zwykle o tej porze już wychodzę z restauracji. Gdzie są moje ubrania? - Rozejrzała się po pokoju, po czym rzekła: - No tak, na dole. - I naga wybiegła z jego sypialni.

Uśmiechnął się i wstał. Ściągnął szlafrok z wieszaka na drzwiach, włożył go i zszedł za nią po schodach.

Była szybka. Miała już na sobie dzinsy oraz buty i właśnie ubierała bluzkę. Kiedy jej głowa wyłoniła się z wycięcia, już tam był i przypierał ją do ściany przy drzwiach.

- No to wróciliśmy do punktu wyjścia. Myślę, że powinno nas to zachęcić do małej powtórki.

- Jeśli mnie puścisz, to upiekę ci ciasto.

- Spryciara.

Nagle po ich prawej stronie rozległo się pukanie do drzwi, które tak bardzo zaskoczyło Julię, iż wydała z siebie cichy okrzyk.

Sawyer skrzywił się i podrapał po głowie.

- Kto to? - wyszeptała.

- Nie mam pojęcia.

- Nie otwieraj. Może sobie pójdzie.

- I zadzwoni na policję, bo jakaś kobieta tu krzyczała. W czym problem? Nie chcesz, żeby ludzie widzieli nas razem? - Odwrócił się i podszedł do drzwi z obawy, że jeśli da jej chwilę na zastanowienie, to odpowie twierdząco. Mimo ostatniej nocy nadal czuł, że Julia przecieka mu przez palce. Nie wiedział, jak ją zatrzymać.

Sawyer otworzył drzwi i kiedy zobaczył, kto stoi na progu, pomyślał „O cholera”. To mu na pewno nie pomoże.

- Cześć, Sawyerze - przywitała się Holly, wchodząc do środka. - Czy to ty krzyczałeś jak dziewczyna?

Holly przystanęła na widok Julii. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Wszyscy troje stłoczyli się w niewielkiej przestrzeni przy drzwiach i wpatrywali się w siebie.

- Holly - powiedział w końcu Sawyer. - Pamiętasz Julię Winterson?

- Oczywiście - odparła Holly, posyłając Sawyerowi surowe spojrzenie, po czym odwróciła się do Julii z uśmiechem. - Miło cię znów zobaczyć, Julio.

- Ciebie również. Przepraszam, ale muszę iść, bo jestem spóźniona. - I w ciągu sekundy już jej nie było. Znowu.

Sawyer zamknął drzwi i zwrócił się w stronę byłej żony.

- Zapomniałem, że miałaś dzisiaj przyjść.

Holly pocałowała go w policzek i przeszła przez salon do kuchni, gdzie zaczęła robić kawę. Poszedł za nią przypominając sobie to uczucie, kiedy w szóstej klasie poprosił Holly, by została jego dziewczyną - ten wybuch radości, iż wreszcie będzie mógł chwycić ją za rękę. Przez całą szkołę była jego najlepszą przyjaciółką. Ceni ją i darzył szacunkiem, ale nie był pewien, czy kiedykolwiek ją kochał. Noc z Julią na boisku futbolowym powinna mu to uświadomić, lecz był zbyt przestraszony, by zrezygnować ze swoich planów na przyszłość.

To on zakończył ich małżeństwo. Holly zostałaaby z nim, mimo że nie mógł mieć dzieci. Prawdę mówiąc, gdy się o tym dowiedzieli, z uporem maniaka próbowała znaleźć rozwiązanie. Przynosiła do domu broszury na temat adopcji i próbowała podejść do niej z entuzjazmem. Dzieci były nieodłączną częścią ich planu, jednak wreszcie dotarło do niego, dlaczego Holly pragnie ich tak bardzo. Po prostu nie wystarczało jej to, co istniało między nimi. Od samego początku.

- W końcu ci się udało - rzekła Holly, gdy wszedł do kuchni. Wygrzebywała z puszką mieloną kawę. - Sama w to nie wierzę.



Sawyer wyciągnął stołek i usiadł w kącie.

- O czym ty mówisz?

- Nie udawaj głupiego. - Obejrzała się przez ramię, posyłając mu szeroki uśmiech. Ładnie wyglądała. Promieniała szczęściem. Ściągnięte w kucyk włosy odsłoniły pełniejszą buzię. Przytyła i jej zazwyczaj wydatne kości policzkowe zaokrągliły się. - Znam cię aż za dobrze. Czuleś coś do niej, od kiedy byliśmy dziećmi. I wreszcie ją zdobyłeś.

Sawyer westchnął.

- Nie jestem tego taki pewien. Uśmiech zniknął z twarzy Holly.

- O rany. Nie chciałam...

- Nie, to nie twoja wina. Tak przy okazji, to wspaniale wyglądasz.

- Nie masz do mnie żalu? Że znów wychodzę za mąż? I za to? - Położyła dłoń na brzuchu.

- Cieszę się twoim szczęściem, Holly. Naprawdę. Prychnęła i wróciła do przygotowywania kawy.

- Mówisz tak tylko dlatego, że nie byłeś sam ubiegłej nocy.

Sawyer ześlizgnął się ze stołka i poszedł do biura.

- Przyniosę ci papiery do podpisania.

Kiedy obudziła się, jaskrawe światło poranka wpadało do pokoju przez otwarte drzwi balkonowe. Emily nie

miała pojęcia, która jest godzina, lecz zdawało jej się iż zasnęła przed zaledwie paroma minutami. Liścik.

Pospiesznie odwróciła się w stronę stolika nocnego Liścik nadal leżał tam, gdzie go zostawiła.

Podniosła go i zaczęła się w niego wpatrywać. Kusiło ją nawet, by podetknąć go sobie pod nos.

Zrobić to? Spotkać się z nim?

Win twierdził, że nie obwinia jej za to, co zrobiła jej matka, ale czy mogła mu zaufać? Czym się kierował? Nie dowie się tego, jeśli się z nim nie spotka.

Jej matka była najodważniejszą osobą, jaką знаła, a mimo to nie była w stanie zmierzyć się z własną przeszłością.

Emily więc zajmie jej miejsce.

Podejmie się tego, czego ona nie potrafiła zrobić. Aby wpasować się w to miasto, musiała nie tylko pokazać że rozm się od swojej matki, ale też spróbować wszystko naprawić. Nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób tego dokonać. Zadręczała się myślą, iż Win być może zna jakiś sposób - że miał głębszą motywację, by okazywać jej zainteresowanie, choć wolał przedstawiać to inaczej. Lecz przecież jej zainteresowanie również nie było bezinteresowne.

Rozmyślała nad kołem historii, o którym opowiadał. Znajdowała się teraz w tym samym miejscu co kiedyś jej matka, była mniej więcej w tym samym wieku

i tak samo, jak wtedy, uwikłała się z Coffeyem w relację, której nikt nie pochwalał. Musiał istnieć ku temu jakiś powód.

Nadal trzymając w dłoni liścik, wstała i podeszła do komody, by wyjąć z niej szorty i bokserkę. Zaczęła się powoli przyzwyczajać, że musi odwrócić wzrok, aby uniknąć patrzenia na szaloną motylową tapetę, i że co jakiś czas dochodzi stamtąd dźwięk delikatnego trzepotania skrzydeł. Przyzwyczajenie się do tego zdaniem Julii oznaczało, iż Emily wpasowuje się w to miejsce.

Albo to, albo najwyraźniej popada w obłąd.

Jednak sięgając do komody, uświadomiła sobie nagle, iż tego ranka nie dobiegł jej żaden dźwięk. Spojrzała w górę i zaskoczona, cofnęła się o krok. Motyle zniknęły, a w ich miejsce pojawiła się nastrojowa, oszałamiająco piękna tapeta w kolorze srebra upstrzona maleńkimi białymi plamkami przypominającymi gwiazdy. Widząc ją, poczuła, iż niecierpliwie czegoś wyczekuje -zupełnie jak zeszłej nocy. Dziadek Vance nie mógł tego zrobić bez jej wiedzy.

Czy naprawdę tapeta zmieniała się sama?

Akurat ta była cudowna. Za jej sprawą pokój wyglądał jak wnętrze chmury. Położyła dłoń na ścianie obok komody. Była aksamitnie miękka. Jak matka mogła jej nie powiedzieć o istnieniu takiego pokoju? Nigdy o nim nie wspomniała. Nawet w bajce na dobranoc.

Rozkojarzona, szybko się ubrała i zeszła na dół. Na szczęście dziadek Vance wyszedł już na śniadanie. Zostawiła mu wiadomość, że będzie nad jeziorem.

Nie napisała jednak, z kim się tam spotyka.

Gdy stanęła na chodniku gotowa, by wsiąść do swego samochodu, usłyszała, jak poranną ciszę przerywa dźwięk jej imienia. Już przedtem była podenerwowana, więc teraz z zaskoczenia aż podskoczyła i upuściła kluczyki. Pospiesznie odwróciła się i ujrzała Stellę, która szła do niej od strony swojego domu. Jak na tę porę dnia była dziwnie wystrojona. Miała na sobie czerwoną sukienkę bez ramiączek, a na nogach wysokie obcasy. Na jej szerokiej twarzy dostrzegła przyblakłe plamy makijażu, w jej egzotycznych oczach zaś czaiło się zmęczenie. Musiała to być dla niej ciężka noc. Albo może bardzo udana. Emily nie mogła się zdecydować.

- Widziałaś Julię? - spytała Stella, kiedy Emily schyliła się, żeby podnieść kluczyki. - Byłam właśnie w J's Barbecue i jej tam nie zastałam.

Emily wstała.

- Nie widziałam jej od wczoraj, ale słyszałam, jak koło pierwszej w nocy wyjeżdża z domu samochodem.

Stella zdębiała.

- Ciekawe, gdzie pojechała.

Emily wzruszyła ramionami. Próbowwała zachowywać się zwyczajnie, jakby nie robiła nic złego. Przecież nie

robiła niczego złego. Co się z nią działo? Dlaczego była tak zdenerwowana?

- Julia prawie nigdy nie bierze auta i nigdy nie wychodzi tak późno. Martwię się o nią. - Stella zaczęła skubać czerwony lakier na swoich paznokciach. Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę i zapytała: - Nie sądzisz, że ostatnio zaczęła się zachowywać dziwnie?

- Tylko w pobliżu Sawyera.

- Hm, coś ją trapi. Jeśli wleję w nią odpowiednią ilość wina, zazwyczaj udaje mi się skłonić ją do rozmowy. Ale myślę, że mnie już rozszyfrowała.

Zaniepokojona Emily spojrzała przez ramię, jakby obawiała się powrotu dziadka Vance'a.

- Mnie nic nie powiedziała.

- Cóż, jeśli ją spotkasz to powiedz, że jej szukam. -Stella skinęła w stronę oldsmobilu zaparkowanego przy krawężniku.

- Gdzie się wybierasz tak wcześnie?

- Nad jezioro. A ty?

- Och, ja dopiero wróciłam - odparła Stella, po czym zamilkła. - Cholera. Jak mogłam powiedzieć coś takiego przy tobie. Wymaż to z pamięci. Daję ci zły przykład. Cholera. Po prostu... rób to, co mówię, a nie to, co robię.

Rozbawiło to Emily wsiadającą do samochodu. Ściągawszy szpilki, Stella poszła do domu, kiwając głową.

O tej porze ruch na drodze był niewielki, tak więc Emily dotarła nad jezioro Piney Woods w rekordowym

czasie. Parking był prawie pusty. Zaparkowała auto, wyjęła kluczyki ze stacyjki i siedząc spokojnie, czekała, aż ostygnie silnik. Wiedziała, że przyjechała za wcześnie, ale chciała wyjść z domu, zanim wróci dziadek. Nie zamierzała kłamać mu w żywe oczy. Nie wiedziała, czy dziadek zrozumie, co nią kierowało.

W końcu wysiadła z samochodu. Poranna mgła była tak przesycona wilgocią, że skraplała się na jej skórze, gdy szła w stronę deptaku, a potem usiadła na jednej z ławek przy brzegu. Było tam niewiele osób. Oparłszy stopy na poręczy, Emily patrzyła na kłęby unoszące się znad jeziora. Zaledwie w kilku okolicznych domach paliło się światło.

Za plecami usłyszała zbliżające się kroki i niedługo potem przy jej ławce pojawił się Win. Wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie spodziewała się, że będzie tu równie wcześnie jak ona. Odczekał chwilę, po czym usiadł obok niej na ławce i naśladując ją, położył stopy na poręczy. Zapatrzył się w wodę, jakby mogło mu umknąć coś bardzo ważnego, gdyby odwrócił wzrok. Jego profil był mocno zarysowany i dość kanciasty, a sam Win poważny, dumny, pełen sekretów. Chciała, by ją do nich dopuścił. Chciała poznać jego tajemnicę. Czy właśnie to czuła jej matka? Zastanawiała się, czy istniała jakaś klątwa, przez którą mężczyźni z jego rodziny wydawali się kobietom z jej rodziny niezwykle pociągający.

A mimo to nadal tu siedziała, milcząc.

- Chciałbym cię zabrać do naszego domu przy plaży i zjeść z tobą śniadanie - zaproponował w końcu.

- Od dawna na mnie czekasz?

- Tak. Nie chciałem cię przegapić. - Wziął głęboki oddech i wstał. - Cieszę się, że przyszłaś. - Wyciągnął do niej dłoń.

Nie namyślała się długo i ją ujęła.

## ROZDZIAŁ 13

Szli pustą plażą, a potem Win wprowadził Emily po schodkach na przydomowy taras. Gestem wskazał, by usiadła w jednym z drewnianych foteli ogrodowych. Tak też zrobiła, po czym podciągnęła nogi i objęła kolana.

Rozluźniła się dopiero, kiedy gospościa Penny przyniosła im frittaty. Penny była sześćdziesięcioletnią wdową mającą swoje nawyki, jak również słabość do Wina, który ją uwielbiał. Gdy był mały, wydawało mu się, że Penny i dom nad jeziorem tworzą zamkniętą całość. Sądził, że dzień i noc siedzi na stołku w kuchni i czeka na wizytę jego rodziny, by dla niej gotować. Spacerując kiedyś z matką przy Main Street, zobaczył gospozię oderwaną od domu (miała wtedy dzień wolny). Ujrzał Penny idącą w dół ulicy i pomyślał, że uciekła. Wpadłszy w histerię, krzyczał do matki, żeby ją złapała



i przyprowadziła z powrotem do domu. Na swój dziecięcy sposób uzmysławiał sobie, iż z uwagi na to, kim jest, nie mógł opuszczać Mullaby w przeciwieństwie do innych ludzi. Oni mogli wyjechać i nigdy nie wrócić. Przerazało go to.

Wraz z Emily zjedli śniadanie w milczeniu. Nie czuli się tu zbyt komfortowo. Była przy nim podenerwowana, on zaś czuł się przy niej wytracony z równowagi, zachłanny, jakby żądał od niej zbyt wiele. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Spędził całe lata, próbując zaakceptować to, czego zdaniem ojca nie mógł nigdy zmienić, i bardzo się starał nie pożądać swobody innych ludzi. Ale zmiany musiały nastąpić. Nie potrafił trzymać się reguł ustalonych dla innej epoki. Zrozumiał to, gdy spotkał Emily. Ona mogła to wszystko naprawić, zatrzeć jego piętno. Jeśli spośród wszystkich ludzi córka Dulcie Shelby mogła przyjąć go takim, jaki był, wtedy jego rodzina będzie zmuszona to zauważyć. Dzięki Emily zrobi pierwszy krok na drodze do nowego życia.

Na tym etapie nie rozważał już nawet, czy może się mylić. Musiał mieć rację. Po prostu musiał.

Po śniadaniu usiedli obok siebie w fotelach ogrodowych i w ciszy patrzyli, jak słońce rozprasza poranne mgły. Plaża powoli wypełniała się ludźmi i wzrastał się hałas.

- Czy latem spędzasz tu dużo czasu? - zapytała Emily, obserwując śmigającą w poprzek jeziora motorówkę,

która zostawiła za sobą ślad w postaci wzburzonej wody podobnej do piany na wodzie sodowej.

Do tej pory gryzł się w język, czekając, aż coś powie. Nie chciał jej przynaglać.

- Moja rodzina korzysta z tego domu przez cały rok. To taki dom z dala od domu, choć doprowadza to Penny do szału. Lubi trzymać się harmonogramu, a my zawsze go burzymy, zjawiając się niespodziewanie, jak dzisiejszego ranka.

- Zdaje się, że nie ma nic przeciwko. Widać, że cię uwielbia.  
- Spojrzała na niego z uśmiechem, który niespodziewanie nim wstrząsnął.

Był świadomy tego, iż nią manipuluje, lecz po raz pierwszy dotarło do niego, z jaką łatwością mogła zrobić z nim to samo. Potrzebował jej przyjaźni, by urzeczywistnić swoje plany. Nie spodziewał się, że zacznie do niej żywić również inne uczucia. Jeden dobrze umiejscowiony w czasie uśmiech i zapomniał, co miał powiedzieć. Mógł tylko rozmyślać nad tym, jak bardzo różniła się od dziewczyny, którą sobie wyobraził po wysłuchaniu opowieści o jej matce. Była frapująca i urocza... jak również miała interesujące włosy. Stale wyglądały tak, jakby zaczął się w nich podmuch wiatru czekający na to, by się zerwać. Były rozczulająco dziwaczne.

W ciszy, która nastąpiła, jej uśmiech zbladł, a ręce powędrowały do włosów.

- Mam coś na głowie?

- Nie, wybacz. Właśnie myślałem o twoich włosach. Posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Myślałeś o moich włosach?

Natknął się na ten sam problem, gdy byli na karuzeli. Musiał się teraz skupić.

- Tak. Nie. To znaczy zastanawiałem się, czy nosisz je czasem rozpuszczone.

Pokręciła głową.

- To jest ten dziwny moment, kiedy odrastają.

- Jak krótkie były wcześniej?

- Bardzo krótkie. Moja mama takie miała, więc ja też chciałam. Ale nieco ponad rok temu zaczęłam je zapuszczać.

- Co sprawiło, że nie chciałaś już być jak ona?

- Nigdy nie przestałam tego chcieć. Była wspaniałą osobą - zapewniła go gorąco, po czym odwróciła się ponownie w stronę jeziora. - Ale zbyt ciężko było sprostać jej oczekiwaniom.

Tak nic u niej nie wskóra. Musi jakoś zwalczyć to skrepowanie.

- Chodźmy na spacer - zaproponował, wstając.

Zostawili buty przy fotelach i schodkami zeszli z tarasu. Spacerując przy samym brzegu, zmoczyli sobie stopy. Nie rozmawiali za dużo, lecz nie miało to znaczenia. Wystarczyło, że szli obok siebie, zrównywali swoje kroki i oswajali się ze swoim towarzystwem.

Kiedy dotarli do zatoki, Emily spojrzała na miejsce, gdzie odbyła się impreza urodzinowa jego siostry. Dziś, w cieniu i z dala od tłumów, siedziały tam na składanych krzesłach dwie pary staruszków. Wiedział, co zamierza zrobić, zanim ruszyła w tamtą stronę.

Bez słowa Emily zostawiła go przy wodzie i weszła między drzewa. Zawahał się na moment, po czym podążył za nią. Minawszy staruszków, stanęła pod drzewem, na którym wyryto inicjały jej matki i jego wujka. Win zatrzymał się przy staruszkach, aby się z nimi przywitać i ich uspokoić, bo przyglądali się Emily ze zdziwieniem. Potem do niej dołączył.

W ciągu ostatnich paru miesięcy nad jej życiem zapanował chaos, który mógł sobie tylko wyobrazić. Spoglądając na nią, teraz dostrzegał jej żal. Widział, jak osamotniona się z nim czuła, i rozumiał to. Istniały rzeczy, o których nie można było mówić innym ludziom, bo nie mieli żadnej podstawy do porównań. Bo nie byli w stanie ich zrozumieć.

- Czy dzieciaki w szkole będą wiedziały o mojej mamie? O tym, kim tutaj była? - spytała Emily, wpatrując się w drzewo.

- Jeśli rodzice im powiedzą. Prawdopodobnie najgorzej zareagował mój ojciec. Na twoim miejscu nie martwiłbym się szkołą. Nie jest taka zła. - Nie mógł znieść jej smutku. Musiał ją jakoś oderwać od tych myśli. - Opowiedz mi o swojej poprzedniej szkole. Brakuje ci jej?

Ze strony internetowej wywnioskowałem, że twój plan był bardzo... napięty. - Delikatnie to ujął. W szkole dla dziewcząt w Roxley kierowano się słusznym, politycznie poprawnym oburzeniem, więc chciało się uciec z klasy od samego czytania syllabusa. Wzruszyła ramionami.

- Po śmierci mamy szukałam w szkole jakiegoś pocieszenia, ale nie znalazłam. Była tam wyłącznie jej spuścizna. Bardziej niż kiedykolwiek ludzie chcieli, żebym ją zastąpiła, a ja nie mogłam. Czy to nie ironia losu, że po przyjeździe tutaj spotkało mnie to samo, tyle że w inny sposób? Sama nie wiem, co jest gorsze: próba sprostania tym oczekiwaniom czy zawiedzenie ich.

- A co z twoimi przyjaciółmi?

- Gdy mama zmarła, zaczęłam mieć ataki paniki. Nie chciałam, by inni się o tym dowiedzieli, więc mnóstwo czasu spędzałam samotnie.

Przypomniało mu się wtedy, jak siedziała z głową w dół na ławce przy Main Street. Tamtego ranka obserwował ją przez dłuższy czas i dostrzegł moment, w którym to się stało: gwałtownie zatrzymała się na chodniku i krew uciekła jej z twarzy. Uznał to za niepokojące symptomy i był zmuszony do niej podejść, choć wcale nie zamierzał. A to zmieniło wszystko.

- Miałaś taki atak przy naszym pierwszym spotkaniu? Skinęła głową.

- Co je sprowadza?

- Panika.

Słyszając to, uśmiechnął się.

- Cóż, to dość oczywiste.

- Chwyta mnie, kiedy zaczynam się czuć przytłoczona i w mojej głowie za dużo się dzieje. - Nagle poczuła się zaniepokojona. - Dlaczego pytasz?

- Z czystej ciekawości.

Nadal wpatrywała się w niego, mrużąc swoje intensywnie niebieskie oczy.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Nie mówiłam jeszcze nikomu o moich atakach -odparła, jakby zmusił ją do tego w jakiś sposób. - Poznałeś mój słaby punkt.

- Uważasz, że nie powinnaś go mieć? - Nad jej ramieniem sięgnął do pnia drzewa i w roztargnieniu zaczął z niego odrywać korę. - Wszyscy mamy jakieś słabości.

- Ty też?

- No pewnie. - Nie miała pojęcia, jak bardzo komplikującą życie.

Skubał korę, dopóki nie powstrzymała go, kładąc dłoń na jego ręce.

- Powiesz mi? Wziął głęboki oddech.

- To skomplikowana sprawa.

- Rozumiem - rzekła i odwróciwszy się, poszła w kierunku plaży. - Nie chcesz mi powiedzieć.

Pobiegł za nią.

- Nie o to chodzi, że nie chcę ci powiedzieć, tylko że... muszę ci pokazać.

Zatrzymała się. Prawie na nią wbiegł.

- No to mi pokaż.

- Teraz nie mogę. - Sfrustrowany, przeczesał włosy palcami.

- Musisz mi uwierzyć na słowo.

- Nie za bardzo mam wybór, prawda? - odparła.

W milczeniu okrążyli brzeg jeziora, dochodząc z powrotem do domu. Był to długi spacer i kiedy wrócili, Penny bez prośnienia przyniosła im lunch. Rozstawiwszy talerze z kanapkami i owocami, przeszła za krzesłem Emily, aby tylko Win mógł ją dostrzec. Uśmiechnęła się w stronę Emily i podniosła kciuki do góry, po czym weszła do środka, by odebrać telefon.

Win odwzajemnił jej uśmiech.

Po posiłku Emily wstała i podeszła do poręczy. Zlustrował ją wzrokiem, zaczynając od długich nóg, a kończąc na twarzy. Zafascynowało go przesuwanie się frotki, która wyginając się i naciągając, powoli ześlizgiwała się z kucyka, aż w końcu spadła z jego końcówki na podłogę tarasu. Emily tego nie zauważyła.

- Szkoda, że nie wzięłam kostiumu kąpielowego - rzekła. - Weszłabym do wody, żeby się ochłodzić.

- Wejdzmy do środka, tam jest chłodniej. Oprowadzę cię po domu.

Kiedy się odwróciła, schylił się, by podnieść jej frotkę.

- Zgubiłaś coś. Wyciągnęła dłoń.

- Dzięki.

Ale on schował frotkę do kieszeni.

- Nie oddasz mi?

- Kiedyś oddam - odpowiedział, schodząc z tarasu do ogromnego salonu.

Emily podążyła za nim, wyklócając się o swoje prawo własności.

Zamilkła, gdy znalazła się w środku. Na ścianach nie było obrazów przedstawiających nadmorskie wydmy ani zabytkowych boi z drewna, typowych dla wystroju okolicznych domów do wynajęcia, które do złudzenia przypominały smażalnię ryb nad jeziorem. To miejsce wyglądało, jakby jego rodzina rzeczywiście spędzała tu dużo czasu. Sofy były wygodne i nieco zapadnięte. Na jednej ze ścian królował płaski telewizor, a na podłodze poniżej leżała konsola gier wideo i setki porzucanych filmów na DVD. Przyjeżdżanie tu tylko na noc byłoby dla nich uciążliwe, dlatego zazwyczaj zostawali na dłużej.

- Nie spodziewałam się, że będzie tu tak domowo - powiedziała w końcu.

- To nie zawsze są wieże z kości słoniowej.

Zaprowadził ją na pierwsze piętro i pobieżnie zaznajomił z czterema pokojami, po czym przez drzwi w białej liźniarce weszli na poddasze. Na otwartej przestrzeni



znajdowały się tylko: niska kanapa, stos książek, telewizor i duże pudła. Prócz niego nikt tu nie przychodził. Kochał swoją rodzinę, ale kiedy wszyscy tu zjeżdżali, potrzebował czasem odpoczynku od tego bycia razem. Przychodził wtedy tutaj. Nie przepadał za ich domem przy Main Street z jego zimnymi marmurami i przytłaczającą historią, lecz tam było dużo łatwiej unikać ludzi.

- Spędzam dużo czasu na poddaszu, kiedy tu jestem - powiedział, gdy rozglądała się dookoła. Światło wpadało do pokoju z okien na przeciwległej ścianie ułożonych w trójkąt, którego boki odpowiadały liniom skosu. W powietrzu lśniły różowe pyłki kurzu.

- Nic dziwnego. Wygląda, jakby tkwiła w nim jakaś tajemnica. Pasuje do ciebie. - Podeszła do rzędu okien. - Wspaniały widok.

Z drugiego końca pokoju spojrzał na jej podświetloną sylwetkę i zanim się spostrzegł, zaczął iść w jej stronę. Zatrzymał się zaledwie parę centymetrów za nią. Jego obecność poraziła ją niczym prąd.

Minęła pełna minuta, zanim stwierdził:

- Coś nagle ucichłaś.

Widział, jak Emily przełknęła ślinę.

- Nie mam pojęcia, jak to robisz.

Lekko się nad nią pochylił. Poczul kwiatową woń jej włosów - jakby ulotny zapach bzów.

- Co robię?

- To twój dotyk.

- Wcale cię nie dotykam, Emily. Odwróciła się.

- O to właśnie chodzi. Czuję, jakbyś mnie dotykał. Jak ty to robisz? Jakby wokół ciebie coś było, otaczało cię i sięgało aż do mnie. To, co mówię, nie ma najmniejszego sensu.

Zdziwił się. Wyczuwała to, choć jeszcze nikomu się to nie udało.

Czekała, aż coś powie, wytłumaczy to lub temu zaprzeczy, lecz w obu przypadkach nie mógł tego zrobić. Zrobił krok do przodu i stanął bliżej okna, obok niej.

- Kiedyś to wszystko należało do twojej rodziny -rzekł.

Z wahaniem, ale pogodziła się ze zmianą tematu. -Co?

- Tereny wokół jeziora Piney Woods. W ten sposób zrodziła się przed laty fortuna Shelbych. Wyprzedali je działka po działce. - Wskazał odległą kępę drzew. -Ten las po drugiej stronie jeziora nadal jest własnością twojego dziadka, a jego potencjał rozwojowy to miliony dolarów. Mojego ojca doprowadza to do szału. Chce, by twój dziadek odsprzedał mu część tego terenu.

- Dlaczego?

- Coffeyowie zawsze lubili mieć coś do powiedzenia w sprawie rozwoju Mullaby. Działki budowlane, interesy, tego typu rzeczy.

- Dlaczego? - spytała ponownie.

- Bo to nasz dom. Przez długie lata sądziliśmy, że to jedyne miejsce, w którym możemy mieszkać.

- A tak jest? Odwrócił się do niej.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - „Moja słabość”.

- Tak, oczywiście, że tak.

Czyli nadszedł ten moment. Jeśli jej powie, nie będzie już odwrotu. Wtedy musi jej pokazać.

- Mężczyźni w mojej rodzinie mają pewną... przypadłość.

Wyglądała na zdezorientowaną.

- Jakiego rodzaju jest ta przypadłość? Zostawiając ją pod oknem, zaczął krążyć po pokoju.

- Ma podłoże genetyczne - wyjaśniał. - To prosta mutacja, lecz w mojej rodzinie jest wyjątkowo silna. Miał ją mój dziadek, miał wujek, ma mój ojciec. - Zamilkł. - Ja również ją mam.

- Ale co masz? Wziął głęboki oddech.

- Nazywamy ją „poświatą”.

Emily wpatrywała się w niego, nadal nie rozumiejąc.

- W nocy nasza skóra promieniuje światłem - wytłumaczył. Wspaniale było powiedzieć o tym komuś spoza rodziny. Tak jak przewidział, poczuł się wyzwolony. A nawet lepiej. Słowa padły i nie mógł ich już cofnąć. Czekał, aż Emily coś powie, ale milczała.

- Wyczuwasz właśnie to - dodał, z zapalem podchodząc do niej od tyłu, po czym przyłożył dłonie do jej twarzy, choć jej nie dotykał.

Skrzyżowała z nim wzrok.

- Chcesz mi wmówić, że świecisz w ciemności? - zapytała monotonnym głosem.

Win opuścił ręce.

- Dałabyś wiarę, że jestem wilkołakiem, ale w to nie chcesz uwierzyć?

- Nigdy nie brałam cię za wilkołaka.

Odsunął się, próbując ukryć rozczarowanie. Musiał dokończyć swoją opowieść.

- Sięga to wielu pokoleń wstecz. Moi przodkowie opuścili Anglię, by uniknąć prześladowań. Sądono tam, że ich przypadłość jest dziełem szatana. Istnieje mnóstwo historycznych doniesień, że w trakcie podróży przez ocean ludzie brali ich statek za zły omen. Gdy dotarli do Ameryki, Indianie nazwali ich duchami księżyca. Osiedlili się tutaj, na ziemi uprawnej, z dala od wszystkich, lecz stopniowo wokół nich zaczęło się tworzyć miasto. Nikt nie znał ich tajemnicy i uświadomili sobie, że nie chcą już być osamotnieni. Niemniej opowieści o prześladowaniach były przekazywane z pokolenia na pokolenie. Miały nas nastraszyć, byśmy strzegli naszego sekretu, nawet w obecnych czasach. Wszystko uległo zmianie, kiedy twoja matka zmusiła mojego wujka, by wyszedł z domu. Tamtej letniej nocy

stał w altanie na widoku całego miasta i po raz pierwszy wszyscy zobaczyli, co potrafimy robić.

- Nieźle to obmyśliłeś - skomentowała.

- Emily, przecież sama mnie widziałaś. W nocy, we własnym ogrodzie.

Słyszając to, wystraszyła się.

- To ty świecisz z tyłu domu? Ty jesteś światłem z Mullaby?

-Tak.

Było widać, iż Emily próbuje to sobie jakoś ułożyć w głowie.

- To dlaczego przestałeś przychodzić?

- Przychodzę co noc, ale twój dziadek siedzi na werandzie pod twoim balkonem i każe mi sobie iść, zanim zdążysz mnie zobaczyć.

- Mój dziadek o tym wie? - Jej głos stał się piskliwy.

- Owszem.

- Chcę na to dowodu. - Rozglądając się, dostrzegła drzwi do szafy. Podeszła i otworzyła ją. W środku był tylko płaszcz przeciwdeszczowy i pojedyncza narta wodna. - Podejdz no.

Dołączył do niej, a ona zagnała go do szafy i również tam weszła, po czym zamknęła drzwi. Ledwo się tam mieścili. Po chwili wyczekiwania w egipskich ciemnościach rzekła:

- Ha! Nie widzę żadnej poświaty.

- Bo potrzeba jeszcze światła księżycy - poinstruował ją z cierpliwością.

Prychnęła.

- Cóż, to dla ciebie bardzo wygodne.

- Prawdę mówiąc, to nie.

- To jakiś absurd - rzekła, próbując znaleźć klamkę.

- Zaczekaj - odparł, próbując ją powstrzymać. Kiedy w ciemności jego ręka wylądowała na jej biodrze, zamarła. - Spotkajmy się dziś przy altanie. O północy. Pokażę ci.

- Dlaczego to robisz? - spytała szeptem. - Czy to jakiś wymyślny plan?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Skoro wiedziała, że nią manipuluje, to czemu mu na to pozwalała?

- Plan?

- Żeby zemścić się na mojej matce za to, co zrobiła.

- Nie - odpowiedział. - Już ci mówiłem, że nie obarczam cię za to winą.

- Ale próbujesz odtworzyć tę noc z moją matką i twoim wujkiem.

- Wprowadzam przyjemną symetrię, nie sądzisz?

- W porządku - zgodziła się z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. - Przyjdę.

Prawie się zaśmiał.

- Mówisz o tym z niezwykłym entuzjazmem.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym nie lubiła cię tak bardzo.

- Lubisz mnie? - Poczul się zarazem uradowany i zawstydzony. Nie odpowiedziała. - Jak bardzo? - spytał szeptem, a w powietrzu dało się wyczuć narastające napięcie.

- Wystarczająco, żeby spotkać się z tobą dziś w nocy, choć podejrzewam, że zaplanowałaś co innego, niż pokazywanie mi swojej poświaty.

- Czy to nie dość? - Widział, że wstrzymała oddech, kiedy zobaczyła, jak blisko niej znajduje się jego twarz. - Jesteśmy ze sobą związani. - Ciągnął. - Nie czujesz tego? Od kiedy się spotkaliśmy. Moim przeznaczeniem jest ci to pokazać.

- Muszę już iść. - Otworzyła drzwi, wpuszczając do szafy oślepiające światło.

W ciągu sekundy zniknęła.

Dogonił ją na tarasie, kiedy wkładała buty.

- Nie idź dziś w nocy przez las. Wejdz do parku od strony ulicy.

Stała tam i wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, uspokoić siebie i ją, lecz lekko skinęła głową, odwróciła się i zeszła po schodkach na plażę.

Patrzył, jak odchodzi, po czym włożył ręce do kieszeni i zamyślony, wszedł powoli do domu.

Zatrzymał się na progu salonu.

W dużym fotelu obitym czarną skórą ustawionym obok sofy siedział ze skrzyżowanymi nogami jego ojciec.

Win był tak wstrząśnięty, że przez moment nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Zwykle wyczuwał, kiedy ojciec go szukał. W końcu zapytał:

- Od dawna tu jesteś?

- Właśnie wszedłem. Dzwoniłem wcześniej, żeby cię poprosić o niezastawianie samochodu twojej matki, kiedy wrócisz do domu, bo jutro rano jedzie z Kylie do Raleigh po ubrania do szkoły. Penny powiedziała mi, że jesteś na plaży. Spytałem z kim. Odparła, że z dziewczyną. Poprosiłem, żeby ją opisała. Wyglądała mi na Emily Benedict. Ale stwierdziłem: „To niemożliwe, przecież Win doskonale wie, czego mu nie wolno”.

Przypomniał sobie, że Penny odebrała jakiś telefon. Win musiał przyznać, że starała się, jak mogła. Powiedziała ojcu, że był z Emily na plaży, a nie sam na sam w domu.

- A więc przyszedłeś, żeby samemu się o tym przekonać - podsumował Win. Wzjął głęboki oddech i oznajmił: - Lubię ją.

- W twoim wieku też polubiłem pewną dziewczynę - odparł Morgan, składając palce w piramidę. - Miała na imię Veronica i również była nowa w Mullaby. Mogłem się w nią wpatrywać przez cały dzień. Zaprosiłem ją na popołudniowy seans i twój dziadek się o tym dowiedział. Wymierzył mi policzek, po czym zamknął mnie w pokoju. Kiedy nie pojawiłem się w kinie, Veronica przyszła do naszego domu, żeby spytać, czy nic mi się nie stało. Twój dziadek zachował się okropnie.



Powiedział jej, że zaprosiłem ją tam dla żartu. Zniemawiała mnie za to, ale on dowiódł swoich racji.

- Jakich racji?

- Że nie możemy żyć normalnie.

- Czy twój ojciec traktował twojego brata w ten sam sposób? - spytał Win, siadając na sofie.

- Logan musiał się podporządkować tym samym zasadom.

Win nie wiedział, że dziadek uderzył jego ojca. Pamiętał staruszka jak przez mgłę - był wtedy bardzo cichy. Ludzie mówili, że nigdy nie doszedł do siebie po tym, jak jego najmłodszy syn Logan popełnił samobójstwo. Win rozumiał już teraz, dlaczego Logan i Dulcie Shelby musieli się spotykać po kryjomu. Najwyraźniej dziadek Wina wymierzyłby Loganowi policzek i zamknąłby go w pokoju, gdyby się o tym dowiedział. Wydało mu się to teraz takie absurdalne. Zaostrzone środki bezpieczeństwa. Ukradkowe nocne łowy. Wszyscy poznali ich sekret, więc próby utrzymania go nie miały najmniejszego sensu.

- Teraz jest inaczej.

- Mówisz tak, jakby „inaczej” znaczyło „lepiej” - odrzekł Morgan. - Jeśli odczekamy wystarczająco długo, ludzie zapomną, co widzieli, i będzie jak dawniej. To tylko kwestia czasu. Czasami łudzę się, że twoja matka też zapomniała.

- Nie chcę, żeby było jak dawniej.

- Nie masz wyboru. Od dzisiaj masz szlaban i nie pozwalam ci zadawać się z Emily.

Win spodziewał się tego.

- Czy chciałeś o tym powiedzieć tej dziewczynie, którą lubiłeś?

Morgan wyprostował nogi, po czym ponownie je skrzyżował. Przez chwilę wpatrywał się w skórki przy swoich paznokciach.

- Nie - odparł w końcu. - Podobała mi się ta iluzja. Kiedy z nią byłem, czułem się...

- Normalny - Win dokończył za niego. Morgan skinął głową.

- Przez jakiś czas tak samo było z twoją matką. A potem przymuszono Logana, by pokazał wszystkim, co potrafimy robić. Byliśmy z twoją matką zaledwie dwa lata po ślubie. Od tamtego czasu wszystko się zmieniło. Nigdy mi nie wybaczyła, że jej nie powiedziałem i dowiedziała się razem z całym miastem.

Mężczyźni z rodziny Coffeyów dzielili się tym sekretem ze swoimi kobietami w różny sposób, ale zawsze dopiero po ślubie. Była to tradycja, która tak jak pozostałe nie miała sensu. Win zastanawiał się czasem, czy jego ojciec kiedykolwiek wyznałby prawdę swojej żonie, gdyby Logan go nie uprzedził.

- Mama cię kocha - stwierdził Win pewien, że przynajmniej kiedyś tak było.

Morgan wstał i skierował się do drzwi wejściowych.

- Kocha mnie za dnia, jak każdy. Wierz mi, Winie. Próbuję ci tylko zaoszczędzić cierpienia.

## ROZDZIAŁ 14

Julia zaparkowała pikapa za restauracją, obok kontenera na śmieci, i pomyślała: „Cholera, co ja najlepszego zrobiłam?”. Sawyer tak bardzo ją rozzłościł, że aż poszła z nim do łóżka. A może to nie był powód, tylko wymówka, której potrzebowała? Teraz to dopiero namieszała. Nie wiedziała, co robić. Nie miała już celu ani planu. I jeszcze we wczorajszych ciuchach, które nadal nim pachniały, musiała iść do restauracji, jak zwykle o tej porze napakowanej klientami. Przekręciła wsteczne lusterko, by na siebie spojrzeć. O rany, miała nawet zadrapania od zarostu.

Z jękiem położyła głowę na kierownicy. Przypuszczała, że mogłaby jechać do domu. Ale wtedy ktoś mógł przyjść i zapytać, gdzie była i czy wszystko w porządku. Wolą nie ryzykować, że będzie musiała udzielać wyjaśnień. A niedziela była najbardziej ruchliwym dniem

w restauracji. Przynosiła największe dochody, więc musiała tam iść.

Próbowała przygładzić trochę włosy, ale niewiele to dało. Westchnęła i wysiadła z auta.

Wejście od tyłu oznaczało, że musiała przejść parę kroków przez salę, tuż obok toalet. Chciała się prześlizgnąć, lecz przyblokował ją tłum w środku. Wiedziała, że interes dobrze się kręci po wynikach finansowych, ale zupełnie inaczej było to zobaczyć na własne oczy. Jej ojciec byłby zachwycony. Stałby tu, słuchając najświeższych wiadomości, i rozmawiałby z ludźmi, żeby czuli się mile widziani. Przez moment zdawało się jej, że go widzi: w koszulce i dżinsach, w bejsbolówce i kuchennym fartuszk. Był jednym z duchów jej przeszłości i wspomnienie o nim towarzyszyło jej na każdym kroku. Ale wtedy ktoś wszedł w jej pole widzenia i straciła go z oczu. Zastanawiała się, czy kiedy opuści to miejsce, jej ojciec nadal tu będzie. Czy pamięć o nim przetrwa?

- Hej, Julio! - Zawołał ktoś ze swojego miejsca przy stoliku i parę osób zwróciło się w jej stronę. Jeszcze kilka osób coś do niej krzyknęło, inni pomachali jej na powitanie. Starsze panie, z którymi w dzieciństwie chodziła do kościoła, wstały i zaprosiły ją na wieczorną mszę. Zazwyczaj była tu tak wcześnie, że nikogo nie spotykała. Och, widywała ich w sklepie albo na ulicy, ale nigdy nie zachowywali się tak przyjaźnie. Z jakiegoś powodu zobaczenie jej tutaj robiło im różnicę. Tutaj była

właścicielką restauracji - osobą, dzięki której mieli gdzie przychodzić także w celach towarzyskich. Tutaj była córką Jima, czym zasłużyła sobie na ich podziw.

Nieco oszołomiona Julia uśmiechnęła się do nich i czym prędzej uciekła do kuchni.

Skończyła pieczenie ciast kilka godzin później, w szczycie pory obiadowej. Kiedy stojąc za barem, zapisywała ich nazwy na kredowej tablicy, obsługa szybko je pokroiła i zaczęła serwować.

Julia o tym nie wiedziała, lecz kiedy była w kuchni, przysłała jej macocha Beverly. Rzecz jasna, nie chciała zjeść, tylko czekała na Julię przy stoliku niedaleko drzwi. Kiedy wstała, na twarzach towarzyszących jej osób pojawił się wyraz ulgi.

- Julio! - Beverly podeszła do niej, machając dużą brązową kopertą. Odwróciło się za nią kilku mężczyzn. -Szukałam cię w domu Stelli Ferris, bo nigdy cię tu nie było w porze lunchu. Co ty tutaj robisz o tej godzinie? Zwykle jesteś tylko wczesnym rankiem. Wszyscy to wiedzą. Powinnaś ustalić sobie plan dnia i się go trzymać.

Julia była dziś zbyt zmęczona, fizycznie i emocjonalnie, żeby znosić jeszcze Beverly. Odłożyła kawałek kredy.

- Porozmawiajmy kiedy indziej, Beverly. Jestem wyczerpana i chcę jechać do domu. - „A tak dokładnie to gdzie on jest?”, zapytała samą siebie. „W mieszkaniu Stelli? W starym domu taty? W Baltimore?” Nie było to już takie oczywiste.

- Nie, nie, nie. Zdążyłam się już przez ciebie zdenerwować, moja panno. Gdybym wiedziała, że będziesz w restauracji, przyjechałabym od razu tutaj i nie czekałabym na ciebie w domu Stelli. Ta kobieta jest bardzo dziwna. A więc co tutaj robisz w porze lunchu? - spytała ponownie. - Nigdy cię tu nie ma o tej godzinie.

- To moja restauracja, Beverly. Mogę do niej przychodzić i z niej wychodzić, kiedy zechcę.

- Skoro już o tym mowa... Wybacz, skarbie - powiedziała do mężczyzny siedzącego przy barze, kiedy wciskała się biodrami między niego a faceta siedzącego obok. Ledwo się mieścili, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Mężczyznom również. - To ta niespodzianka, o której ci mówiłam! - Rzuciła kopertę na blat tuż przed Julią. - Twój ojciec byłby ze mnie dumny. Mój prawnik sporządził umowę spółki na to miejsce. Musisz tylko przepisać na mnie połowę własności J's Barbecue. W ten sposób, kiedy sprzedamy restaurację, będziemy się mogli podzielić zyskiem.

Mężczyźni siedzący po obu stronach Beverly przyglądali się bacznie Julii tak jak Beverly, czekając, aż coś powie. Całą przemowę słyszeli również ludzie przy najbliższym stoliku i wiadomość o niej rozeszła się po sali z szybkością błyskawicy.

Julia wpatrywała się w kopertę leżącą na barze. To nie powinno wyrzeć na niej takiego wrażenia, a jednak wywarło. Zupełnie jak wczorajsza noc.

Minęła cała minuta, zanim Beverly poczuła się nieswojo.

- Ależ Julio, wiesz przecież, że sobie na to zasłużyłam - pochylając się, rzekła miększym głosem. - Myślałam, że się rozumiemy.

- W moim rozumieniu - odparła Julia, odrywając w końcu wzrok od koperty - mój ojciec cię kochał, ale go zostawiłaś.

W ciągu następnych paru sekund w restauracji zapanowała przenikliwa cisza.

Beverly zabrała swoją kopertę.

- Chyba jesteś dziś nie w sosie. Widać, że w nocy za dużo nie spałaś. I nie myśl sobie, że nie zauważyłam: jesteś ubrana w to samo co wczoraj. Jak się już doprowadzisz do porządku, to spotkamy się na zewnątrz.

- Nie, Beverly. Zakończmy to tu i teraz - powiedziała Julia, a kolejne słowa same popłynęły z jej ust. - Byłaś dla niego wszystkim, co zaszkodziło jego relacjom ze mną. Kiedy pojawiłaś się w jego życiu, ja przestałam istnieć. Te blizny, o których tak bardzo lubisz przypominać przy każdym naszym spotkaniu, wzięły się stąd, że nawet na mnie nie spojrział, gdy byłaś w pobliżu. Ciężko pracował w restauracji, ale tobie to nie wystarczyło, prawda? Więc kiedy przestał zarabiać nawet te psie pieniądze, zostawiłaś go. Czy naprawdę uważasz, że oddam ci teraz połowę interesu? Że na niego zasłużyłaś?

Beverly zacisnęła swoje cienkie wargi obramowane perłową konturówką w odcieniu brzoskwini.

- Kiepsko ci idzie to rzucanie we mnie kamieniami. Ty pierwsza go zostawiłaś. To przez ciebie popadł w długi. To była wyłącznie twoja wina, moja panno, więc nie waz się mnie pouczać.

Julia nie sądziła, że można mieć taki tupet.

- Jakim cudem mogłam wpędzić go w długi? Urażona Beverly zaśmiała się.

- A sądzisz, że jak zapłacił za twój poprawczak? Kiepsko zarabiał, to i tak za dużo, żeby prosić o pomoc, a że byłaś spoza stanu, płacił wyższe chesne. Dla ciebie zastawił całą hipotekę, ty niewdzięczna dziewczyno. Mimo to go nie zostawiłam. Odeszłam dopiero wtedy, gdy Bud zaczął się mną interesować, a twój ojciec miał to w nosie. Przestał mnie doceniać na długo przedtem. Tylko o tobie mówił: że jako pierwsza w rodzinie poszłaś do koledżu, że mieszkałaś w dużym mieście, że spełniłaś swoje marzenie. Łatwo zapomniał, że próbowałaś zniszczyć samą siebie, zaciążyłaś jako szesnastolatka, zabrałaś wszystkie jego pieniądze i przestałaś go odwiedzać.

Julia dostrzegła zaskoczenie na twarzach klientów. Czego nie wiedzieli o jej bliznach, to pewnie sobie dośpiewali, ale nikt nawet nie podejrzewał, że była w ciąży, gdy stąd wyjeżdżała.

Choć była oszołomiona informacją, jak wiele ojciec dla niej poświęcił, w jej umyśle przeskoczył nagle jakiś trybik i wszystko stało się jasne. Ojciec nigdy nie był dobry w wyrażaniu swoich uczuć. Spędziła na terapii dużo



czasu, próbując wyrobić sobie realistyczne oczekiwania, zwłaszcza w stosunku do mężczyzn obecnych w jej życiu. Sądziła, że potrzeba jej wielkich gestów i szumnych deklaracji, bo nigdy nie otrzymała ich od ojca. Czasami podejrzewała, że również jej nastoletnie uczucie do Sawyera, mimo całej jego wspaniałości, pojawiło się dlatego, iż próbowała zrekompensować sobie braki w relacji z ojcem. Jak mogła tego nie dostrzec? Ojciec wszystko robił po cichu. Tak też wyrażał swoją miłość do niej. Tragedią jego życia było to, że nikt tego nie rozumiał. Wszyscy go opuścili, bo nie umieli być wystarczająco cicho, żeby go usłyszeć. A teraz było już za późno.

„Nie”, pomyślała Julia. „Jeszcze nie jest za późno”.

Wzruszenie wycisnęło jej łzy, które pospiesznie wytarła. Nie mogła uwierzyć, że ta scena odbywa się na oczach wszystkich.

- Był dobrym, prostym człowiekiem - odparła Julia.  
-Zasługiwał na kogoś lepszego niż my obie. Nie dostaniesz żadnej części tej restauracji, Beverly. Ani jednej. Tylko ona nigdy go nie zawiodła. Znalazł w niej oparcie. Całą resztę odebrali mu inni ludzie. - Wskazała na drzwi. - Nie jesteś tu już mile widziana.

- Och, jeszcze tu wrócę - zagroziła Beverly, kiedy kołysząc biodrami, szła niespiesznie w stronę wyjścia. -Kiedy wyjedziesz, wrócę tutaj i nic na to nie poradzisz.

- Już ja jej pokażę, że nie jest tu mile widziana -Charlotte, menedżerka, odezwała się za plecami Julii.

- Ja też - dodała nowa kelnerka.

- I ja jej przypomnę - przyłączył się jeden z mężczyzn przy barze.

- I ja - zakrzyknął ktoś z końca sali. Pozostali klienci wyrazili swoje poparcie chórem głosów.

Beverly osłupiała. Rzuciła Julii piorunujące spojrzenie.

- Zobacz, co narobiłaś! Ciągłe tylko przysparzasz innym zmartwień, a potem wyjeżdżasz.

- Coś ci powiem - odparła Julia. - Tym razem nie wyjadę.

Beverly wychodziła przy huku oklasków, jakie rozległy się w restauracji.

Julia stała, oddychając ciężko, i znów się zastanawiała: „Cholera, co ja najlepszego zrobiłam?”.

- Wreszcie jesteś! - Stella przywitała ją przy drzwiach, gdy tylko Julia weszła do domu. Miała na sobie coś, co nazywała swoją „suknią dzienną”: jedwabny szlafrok z guzikami, który dostała od mamy. Mówiła, że dzięki niemu czuje się jak utrzymanka jakiegoś bogacza. - Martwiłam się o ciebie! Gdzie byłaś zeszłej nocy? Szukała cię nawet twoja okrutna macocha.

- Dlaczego przespałaś się z Sawyerem? - wypaliła Julia na środku foyer. Nie zamierzała tego mówić i była równie zaskoczona jak Stella, słysząc to pytanie.

- Że co?

- Sawyer powiedział, że spaliście ze sobą, trzy lata temu. Kochasz go?

- Ach, o to ci chodzi - rzekła Stella. - Straszne to było. Znaczą się, nie sam seks... a przynajmniej to, co z niego pamiętam. Ale nagle wszystko się posypało. Dopiero co dostałam rozwód i zniknęły wszystkie moje pieniądze. Sawyer wpadł tamtego wieczoru z butelką szampana, żebyśmy mogli oblać moją wolność. Upiłam się i zaczęłam się do niego przystawiać. Nie jestem z tego dumna. Wierz mi, że nigdy nie chciałam należeć do grona kobiet, którym mężczyźni proponują seks z litości. Zdarzyło nam się tylko raz, a potem próbowałam go unikać, ale mi nie pozwolił. Sawyer to dobry facet. Dobry przyjaciel. Dlaczego o to pytasz?

Julia nie odpowiedziała, lecz po jej spojrzeniu Stella domyśliła się prawdy. Natychmiast porwała Julię w objęcia.

- Bardzo się cieszę. Podobałaś się mu od zawsze. Nie mam pojęcia, czemu czekał tak długo. Naśmiewałam się z niego, że się ciebie boi. - Wzięła Julię za rękę i poprowadziła ją do salonu, gdzie przed chwilą pokrzepiała się za pomocą dzbanka Krwawej Mary. - No to opowiadaj ze szczegółami! Co zaszło między wami? Kiedy? Ile razy?

Kręcąc głową, Julia, usiadła i przyjęła drinka z rąk Stelli.

- Akurat. Nie ma mowy.

- Musisz mi powiedzieć. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką - oznajmiła Stella, co Julia przyjęła z zaskoczeniem. - Takie są zasady. W końcu opowiadam ci o wszystkim, co się dzieje w moim życiu.

- Nie powiedziałaś mi o Sawyerze - odparła Julia, wyjmując z drinka łydę selera i zagryzając.

- Sawyer nie jest częścią mojego życia. Był nią, ale dawno temu.

Julia odłożyła szklanę na tacę.

- Naprawdę jestem twoją najlepszą przyjaciółką?

- No pewnie.

- Ale wyśmiewałaś się ze mnie w szkole średniej. Zaskoczona Stella opadła ciężko na krzesło naprzeciwko Julii.

- Szkoła średnia to też dawne czasy. Uważasz, że nie możesz być moją przyjaciółką z powodu tego, co wydarzyło się wtedy?

- Nie - odpowiedziała Julia. Już dawno nie była szczerą wobec siebie. Jej przyjaźnie w Baltimore nie były tak bliskie, bo przedstawiała się tam jako ktoś zupełnie inny. Stella zaś akceptowała ją taką, jaka naprawdę była. To miejsce ją określało. Zawsze tak było. A Stella o tym wiedziała. - Myślę, że jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką miałam.

- I to mi się podoba - odrzekła Stella. - A teraz opowiedz mi o tym ze szczegółami.

Kiedy kilka godzin później Julia otworzyła drzwi, pierwszą rzeczą, jaką Sawyer powiedział, było:

- Ustalmy jedną rzecz. Holly i ja nie jesteśmy już razem. Julia oparła się o framugę drzwi. Miło było znów go widzieć, lecz musieli omówić jeszcze parę spraw.

- Dobrze razem wyglądacie. Pasujecie do siebie. Rozważałeś kiedyś powrót do niej?

- Nie chcę do niej pasować. Sprzedaje mi swoją część domu, który był naszą wspólną własnością. Za parę tygodni wychodzi ponownie za mąż. Jest w ciąży. Zupełnie zapomniałem, że miała w ten weekend przyjechać do miasta.

- Przepraszam, to moja wina.

- Nie przepraszaj. Możemy to powtórzyć. - Próbował wejść do jej mieszkania, ale zamarła z ręką na klamce. Cofnął się. - Nie chcesz, żebym wchodził?

- Nie, to nie to. Po prostu... traktowałam to mieszkanie jako przejściowe i nie jest do końca urządzone. - Nie do wiary, że po tak długim czasie nadal czuła się zawstydzona.

- Nie obchodzi mnie przecież wygląd twojego mieszkania.

- Wybacz, powiedziałam tak odruchowo. - Szerzej otworzyła drzwi.

Wziął głęboki oddech i z zadowoloną miną wszedł do środka, gdzie przystanął i położył ręce na biodrach niczym zdobywca Nowego Świata.

- Chciałem się dostać tu na górę, od kiedy wróciłaś. To nie to, o czym pomyślałaś. Kiedy w czwartki jem pizzę ze Stellą, rozchodzi się stąd ten niewiarygodny zapach ciast, które akurat pieczesz... i za każdym razem uderza mi do głowy.

- Widzisz go? - spytała Julia.

- Zawsze go widzę. Teraz jest na tobie, migocze w twoich włosach. - Wskazał na jej dłoń. - Masz go też w mankiecie koszuli.

Julia wywróciła mankiet i rzeczywiście - wysypały się stamtąd mąka i cukier z porannego pieczenia.

- Niesamowite.

- Oprowadzisz mnie po mieszkaniu? - zapytał Sawyer.

- Mogę ci je opisać z tego miejsca. - Po kolei wskazywała na drzwi. - Sypialnia, łazienka, kuchnia, salon. - Zaprowadziła go do małego salonu i poprosiła, by usiadł. Sama była na to zbyt zdenerwowana, więc nadal stała. - Matka Stelli podarowała mi tę sofę. Mam własną, trochę większą, ale też ładną. Oddałam ją na przechowanie w Baltimore.

- Sprowadzisz ją tutaj?

- Nie wiem.

Rozsiadł się wygodnie, starając się nie naciskać na nią w tym temacie.

- Czy to prawda, że pokłóciłaś się dziś rano z Beverly w restauracji?

Julia wybuchnęła śmiechem.

- Stella ci powiedziała czy wiadomości tak szybko się rozchodzą?

- Jedno i drugie. Jak do tego doszło?

- Musiałam wyrzucić z siebie parę spraw. Najwyraźniej ona również.

- Słyszałem, że nie sprzedajesz restauracji - zaczął ostrożnie.

- Cóż mogę powiedzieć? Jestem tym tak samo zaskoczona jak ty.

- A co z twoim planem dwuletnim? - Zawahał się. -Czy to znaczy, że zostajesz?

Nie odpowiedziała od razu.

- Pamiętasz tę ważną sprawę, o której miałam ci powiedzieć? Powiem ci teraz. A potem zostawię cię w spokoju, żebyś mógł to sobie przemyśleć, dobrze?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Czy to „w spokoju” oznacza, że wyjedziesz i już nie wrócisz?

- Nie, to oznacza, że wyjdę z tego mieszkania na spacer - odparła. - Kto wie, co będzie potem.

- Dobra - powiedział. - No to dawaj.

- Nie ruszaj się stąd.

Poszła do sypialni i zaczęła szukać czegoś po omacku pod łóżkiem. Po chwili wyciągnęła stary podręcznik do algebry, który tam schowała. Otworzyła go i wyjęła stamtąd dwa zdjęcia swojego dziecka. Córki Sawyera. Włożyła je tam, gdy była w Collier, a potem nie mogła

znaleźć dla nich lepszego miejsca. Położyła podręcznik na łóżku i zaniósła zdjęcia do salonu. Była zdenerwowana, a na skórze czuła ukłucia tysięcy igiełek.

Spojrzał na nią, gdy weszła. Zanim zdołała coś z siebie wykrztusić, podała mu zdjęcia.

Obserwowała go, kiedy je oglądał. Z początku był zdezorientowany, lecz potem zaczął im się bacznie przyglądać. Gwałtownie oderwał się od nich, napotykać jej spojrzenie.

- Urodziła się piątego maja - zaczęła. - Ważyła 2900 gramów. W ogóle nie była do mnie podobna, za to do ciebie bardzo. Miała blond włosy i niebieskie oczy. Zaadoptowało ją małżeństwo z Waszyngtonu.

- Mam córkę?

Skinęła głową i wyszła, zanim zdołał zapytać o coś jeszcze.

Metalowe ławki na trybunach oddawały ciepło, przez co powietrze falowało i zamazywało obraz. Ulubione miejsce nastoletniej Julii znajdowało się w najwyższym rzędzie tuż obok betonowej kabiny komentatorskiej, która rzucała przyjemny cień.

Nie była tu od czasu, gdy miała szesnaście lat. Wszystko wyglądało inaczej, ale w przedziwny sposób również tak samo. Widziała stąd linię pięćdziesięciu jardów, na której to wszystko się stało - gdzie zmieniło



się całe jej życie. W przysadzistym budynku z czerwonej cegły na przeciwległym krańcu boiska znajdowała się szkoła, w której teraz było cicho, lecz pootwierane okna oznaczały, że nauczyciele siedzą w swoich klasach, przygotowując się do nowego roku szkolnego. Stołówka była umiejscowiona na parterze, a jej okna wychodziły na boisko. Przypomniała sobie, jak Sawyer opowiadał o tym, że w porze lunchu obserwował ją na trybunach.

Siedziała tam przynajmniej od godziny, zastanawiając się, ile czasu potrzeba mu na przemyślenia i czy przypadkiem nie zajmą mu one reszty życia, kiedy nagle coś przykuło jej wzrok. Po lewej stronie boiska ujrzała Sawyera idącego w jej stronę.

Zatrzymał się przed trybuną i uniósł wzrok. W jego ręce dostrzegła zdjęcia. Ciężko było wyczytać coś z jego twarzy. Czy był wściekły? Czy to znów wszystko zmieni? Chciała się jakoś zabezpieczyć na tę okoliczności, choć wiedziała, że nie tak łatwo ją zranić jak wtedy, gdy miała szesnaście lat. Nie miała już tak wielu oczekiwań. Stworzyła sobie bardzo długą listę rzeczy, których nigdy nie będzie miała, i Sawyer zawsze na niej był, razem z jej córką, długimi palcami i umiejętnością cofania czasu.

Zaczął przechodzić po ławkach w jej stronę. Przy pierwszym kroku był szesnastolatkiem, blondynem o twarzy cherubina, życzeniem, które wypowiadała po cichu każda dziewczyna ze szkoły, gdy miała zdmuchnąć świece na urodzinowym torcie. Z każdym

krokiem robił się coraz starszy, anielskie rysy zmieniły się w wydatne kości policzkowe, jego skóra zyskała złotą opaleniznę, włosy zaś ciemniejszy odcień blondu. Gdy dotarł do niej, był Sawyerem z dzisiaj, z tego ranka... z ubiegłej nocy.

Bez słowa usiadł obok niej.

- Skąd wiedziałeś, że tu będę? - spytała, gdyż sama nie sądziła, że się tu znajdzie, dopóki przechodząc tędy, nie ujrzała szkoły.

- Miałem przeczucie.

- Śmiało - zachęcała. - Pytaj.

- Nie muszę zadawać najważniejszego pytania. Wiem, dlaczego mi nie powiedziałaś.

Skinęła głową.

- W porządku.

- Wiesz, gdzie teraz jest? Co robi? - Spojrzał na zdjęcia. - Jak ma na imię?

- Nie. - Naciągnęła mankiety koszuli. - Nie ma dostępu do dokumentacji. Nie mogę do niej dotrzeć, dopóki ona nie zechce odszukać mnie. Mówiłeś, że wracałeś do domu po zapachu, kiedy twoja mama piekła, więc wbiłam sobie do głowy - i wzięłam sobie do serca - że jeśli tylko będę piekła, to mnie znajdzie. Że to sprowadzi ją do domu. - Julia spuściła wzrok, a potem powędrowała nim w poprzek boiska. Żeby tylko nie patrzeć na niego. - Myślę, że odziedziczyła po tobie słabość do wypieków. Kiedy byłam w ciąży, ciągle domagała się ciasta.

- To samo mówiła moja matka, gdy była w ciąży ze mną.

- Tak bardzo chciałam ją zatrzymać - ciągnęła. -Przez długi czas wściekałam się na wszystkich za to, że mi w tym nie pomogli. Po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że niesłusznie obarczam ich winą, bo przecież sama nie byłam w stanie się nią zająć.

Tym razem to on umknął wzrokiem.

- Powiedzenie „przepraszam” to w tym momencie o wiele za mało. Jestem ci winien dużo więcej. W końcu tobie ją zawdzięczam. - Pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że mam córkę.

- Nie jesteś mi nic winien - odparła. - Była darem z nieba.

- Na tym zdjęciu twoje włosy nadal są różowe. - Podniósł to, na którym trzymała dziecko w szpitalu. - Kiedy przestałaś je farbować?

- Kiedy wróciłam do szkoły. Ściągam je na krótko niedługo po zrobieniu tego zdjęcia.

- A kiedy pojawiło się różowe pasemko? Julia nerwowo założyła je za ucho.

- W koledżu. Moi znajomi w Baltimore sądzili, że chcę być oryginalna. Ale dzięki niemu pamiętam, jak wiele jestem w stanie znieść... jak wiele przeszłam. Przypomina mi o tym, że nie wolno się poddawać.

Nastała długa cisza. Szkolny konserwator wjechał kosiarką na boisko futbolowe i zaczął robić na nim szerokie pętle. Julia i Sawyer zapatrzyli się na niego.

- Zostajesz? - zapytał w końcu Sawyer.

Co miała mu odpowiedzieć? Był bardzo spokojny. Nie miała pojęcia, co tak naprawdę czuł.

- Tak długo wmawiałam sobie, że to nie mój dom, aż w to uwierzyłam - zaczęła ostrożnie. - Ciężko mi gdzieś przynależeć.

- Ja będę twoim domem - wyszeptał. - Będziemy należeć do siebie.

Wpatrywała się w niego oszołomiona tym wielkim gestem, dopóki nie odwrócił się w jej stronę. Widząc łzy w jej oczach, wziął ją w ramiona. Objęła go mocno i płakała tak długo, aż rozbolało ją gardło, a kosiarka zjechała z boiska. Powietrze wypełniło się zapachem świeżo skoszonej trawy, a nad bieżnią zaczęły się unosić roje owadów.

Pomyśleć, że po tych wszystkich latach poszukiwań i czekania, wypełnionych cierpieniem i spędzonych z dala od tego miejsca, wróciła tu, by odnaleźć swoje szczęście, które było dokładnie tam, gdzie je zostawiła.

Na boisku futbolowym w Mullaby w Karolinie Północnej.  
I cierpliwie na nią czekało.

## ROZDZIAŁ 15

Tej nocy Emily włożyła ręce w kieszenie szortów i poszła chodnikiem w dół ulicy. Choć nie widziała żadnych samochodów, stale ich nasłuchiwała. Omijała też plamy światła rzucane przez latarnie i co rusz przystawała, czekając na jakiś znak, że Win zaprosił na ich spotkanie całe miasto, tak jak niegdyś zrobiła to jej matka.

Po przyjeździe do Mullaby Emily odkryła, iż być może jest w stanie uwierzyć w o wiele więcej rzeczy, niż kiedykolwiek przypuszczała. W głębi duszy zastanawiała się, czy to możliwe. Jeśli istnieli olbrzymi, a tapeta sama się zmieniała... to może Win robił... to, co mówił, że robił? Jeśli to była prawda, oznaczałoby to, że nie chodzi mu o zemstę i nie miało znaczenia to, jak podle przed laty postąpiła jej matka. Zbliżając się do celu, coraz bardziej pragnęła, żeby tak właśnie było.

Dotarłszy na Main Street, zatrzymała się na chodniku tuż przy parku. Nikogo tam nie było. Okolicę oświetlało szarozielone światło księżyca, sprawiając, iż cienie drzew wyglądały jak kruche palce czarownic, które mknęły ku niej po trawie. Emily nieśmiało wkroczyła do parku i zmusiła się, by iść do altany.

Zatrzymała się kilka metrów od głównego wejścia i uniosła wzrok aż po wiatrowskaz w kształcie półksiężyca, po czym odwróciła się w stronę ulicy, by sprawdzić, czy nadchodzi stamtąd Win.

- Nie sądziłem, że przyjdiesz. Dochodzący znikąd głos zaskoczył ją.

- Gdzie jesteś? - zawołała w kierunku altany, rozglądając się nerwowo wśród zwodniczych cieni.

- Za tobą. - Gwałtownie odwróciła się do altany. Ręce zaczęły jej się trząść, więc zacisnąwszy pięści, wbiła palce w dłonie. Wyteżając wzrok, zdołała w końcu wypatrzeć w ciemnościach z tyłu sceny jakąś sylwetkę.

Serce podeszło jej do gardła.

- Nie świecisz - rzekła oskarżycielskim tonem, jakby zapomniał o jej urodzinach albo nadepnął jej na palec, nie wyrażając przy tym skruchy. Jak mogła być tak głupia i pozwolić, aby nabrał ją w ten sposób. Nie było w tym nic nadprzyrodzonego. Wytłumaczenie było proste, a takie są z reguły najlepsze. Łatwiej je zrozumieć. Wszak dlatego się tu dzisiaj pokazała - żeby mógł z niej zadrwić. Bo może wtedy uda jej się wszystko naprawić.

Gdy wstał, zobaczyła, że jego biały garnitur wyraźnie odcina się od ciemnego tła. Podeszedł do schodów, po czym powoli zszedł na dół. Dotknął stopami trawy parę metrów od niej. Spojrzała na niego wyzywająco. „Wał prosto z mostu”, pomyślała. „Zniosę to”.

Dopiero po chwili spostrzegła, iż Win jest zdenerwowany i niepewny siebie. I właśnie wtedy to się stało. Zaczął bić od niego blask, jakby ktoś rozdmuchał rozżarzone węgle. Podświetlał Wina od tyłu, lecz, rzecz jasna, nie było za nim żadnego źródła światła. Ciepło promieniujące od jego skóry otaczało go białą falującą łuną. Wyglądał jak słoneczny dzień w środku nocy. Jego poświata niemal żyła - Emily odniosła wrażenie, iż próbuje ją dotknąć. Była skrajnie i przerażająco piękna.

Stał, pozwalając jej na siebie patrzeć. Poluzował nieco napięte mięśnie ramion, gdy okazało się, że Emily nie zamierza uciekać. Bynajmniej nie dlatego, że nie chciała. Po prostu nie mogła. Zamarła z wrażenia.

Zrobił w jej kierunku jeden krok, a potem drugi. Światło zaczęło płynąć w jej stronę i poczuła na sobie wstęgi ciepła. Zazwyczaj to uczucie podnosiło ją na duchu, lecz zobaczenie, skąd się wzięło, było już zupełnie innym doznaniem.

- Stój - rzekła słabym, cienkim głosem. Odchyliła się do tyłu, jakby miała zaraz upaść, ale jej nogi instynktownie poruszyły się, by utrzymać ją w pionie. W końcu udało jej się odejść parę kroków wstecz. - Zatrzymaj się.

Natychmiast przystanął, widząc, iż Emily niezdarnie próbuje się wycofać.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

„Czy czuła się dobrze?” Nie, wprost przeciwnie! Odwróciła się do niego plecami i położyła ręce na kolanach. Nie mogła złapać tchu.

- Nie musisz się mnie bać, Emily.

- Jak ty to robisz? - zapytała ostrym tonem. - Powstrzymaj to jakoś!

- Nie potrafię. Mogę co najwyżej schować się przed światłem księżyca. Podejź do schodów i usiądź.

- Nie zbliżaj się - rozkazała, widząc przez ramię, iż znów zmierza w jej kierunku. - Rób, co musisz, żeby to wreszcie zgasło.

Pospiesznie wycofał się do zacienionego kąta sceny. Emily z ulgą podreptała do schodów i usiadłszy na nich, włożyła głowę między kolana. Starła się skoncentrować na jakiejś przypadkowej myśli: Słowo „letologia” oznacza nieumiejętność przywołania potrzebnego wyrazu.

W końcu zniknęły mroczki przed jej oczyma i mogła unieść głowę. Oblał ją zimny pot, dlatego zrobiło jej się zimno.

- Nie chciałem, żebyś dostała ataku - odezwał się za jej plecami Win. - Wybacz mi.

Całe szczęście, że nie odwróciła się, by na niego popatrzeć.

- Są tu jacyś widzowie? Ktoś nas filmuje? O to w tym wszystkim chodzi?



- To nie była sztuczka - odparł, a w jego słowach słyhać było bezbrzeżny smutek. - Taki jestem.

Wzięła głęboki oddech i wytarła czoło wierzchem dłoni. Jeśli to była prawda... rozumiała już, dlaczego mieszkańcy Mullaby byli w takim szoku, kiedy jej matka nocą wyciągnęła jego wuja z domu.

Rzeczywiście, dziwne i cudowne rzeczy.

- Jak się teraz czujesz? - spytał. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie, zostań tam, gdzie jesteś. - W końcu wstała i ponownie zwróciła się twarzą w stronę altany. - Czy tutaj wszyscy o tym wiedzą?

- Wszyscy, którzy tu byli tamtej nocy. - Odpowiedział z cienia. - Moja rodzina dopilnowała, aby później już nikt tego nie oglądał.

- Ludzie wiedzą, że to ty jesteś tym światłem w lesie?

- Tak. Biegałem tam, od kiedy byłem dzieckiem, ale wielu moich przodków robiło to samo.

- Dlaczego chciałeś mi to pokazać?

Zawahał się, jakby sam nie był pewien. Emily poczuła, że sprawiła mu duży zawód, i zrobiło jej się z tego powodu przykro. Nie tak wychowała ją matka. Uczyła ją tolerancji i szacunku, pomagania innym i angażowania się w ich sprawy. Całe życie przygotowywała swoją córkę do tej chwili, a mimo to Emily nie dała rady. Zawiodła Wina. Zawiodła swoją matkę.

Historia jednak potoczyła się kołem. Nagle Emily zaczęła się bać o siebie i o Wina, gdyż uświadomiła sobie, jak się to skończyło ostatnim razem.

- Nigdy nie wiedziałem, jak podejść do ludzi i powiedzieć im: „Taki jestem. Zaakceptujcie mnie, proszę” -rzekł Win. - Gdy spotkałem ciebie, wiedziałem już, że to przeznaczenie i właśnie tobie mam się pokazać. Sądziłem, że zechcesz mi pomóc.

- Jak? - spytała natychmiast. - Jak mogę ci pomóc? Nie rozumiem.

- Skoro mnie zobaczyłaś, możesz mi powiedzieć, że czujesz do mnie to samo co za dnia. Tylko tyle.

Wyprostowała ramiona i cofnęła się nieco w stronę parku.

- Zejdź do mnie, Winie.

- Jesteś pewna? -Tak.

Zszedł na dół, jego skóra zaś znów zaczęła płonąć. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, był gotów wycofać się na górę. Emily twardo stała w miejscu, choć strach ścisnął jej żołądek.

Gdy do niej doszedł, od razu wyciągnęła dłoń i chwyciła go za rękę, by oboje nie stracili równowagi. Zaskoczyło ją, iż jego dłoń była w dotyku zwyczajnie ciepła, a nie rozpalona.

- Czy to cię boli? - zapytała.

- Nie.

Głośno przełknęła. Cała się trzęsła. Wyczuwał to?

- Myślę, że to piękne. To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Stał tam, jaśniejac niczym słońce, i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Kiedy się do niej przysunął, jego blask zaczął wciągać ją do siebie. Zupełnie, jakby wyszła z cienia na pełne słońce. Skaczące płomienie otoczyły ich oboje, zachęcając, by stanęli jeszcze bliżej siebie. Dostrzegła, iż Win nieznacznie pochylił głowę.

„Zaraz mnie pocałuje”, przyszło jej nagle na myśl. Miała co do tego absolutną pewność, choć nie potrafiła jej wytłumaczyć. Miewała takie przeczucia tuż po przebudzeniu, kiedy czekał ją wyjątkowo dobry dzień. Od dawna wyobrażała sobie tę chwilę - zdecydowanie częściej, niż powinna - lecz jakoś nigdy nie wpadła na to, iż mogłaby wyglądać w ten sposób. Nie tego się spodziewała, a mimo to... uznała tę chwilę za osobliwie doskonałą.

Zanim jednak zdążyli z niej skorzystać, zaskoczeni odgłosem szybko zbliżających się kroków, odsunęli się od siebie. Przez park biegła w ich stronę siostra Wina.

- Winie! Co ty wyprawiasz? - zawołała, bez tchu wpadając w poślizg na zroszonej trawie. - Tata chce, żebyś wrócił do domu. Natychmiast.

Emily i Win wymienili spojrzenia. Tym razem wyjątkowo nie był pewny, co zrobić.

- Co teraz? - zapytała Emily.

- Teraz ponosimy konsekwencje naszych działań i żyjemy dalej. Tak jak ostatnio, tylko...

- Lepiej - skończyła za niego.

Z uśmiechem dotknął jej policzka, po czym pobiegł przez park w stronę domu. Emily i Rylie patrzyły za nim. Jego widok zapierał dech w piersiach.

- Piękny jest, prawda? - stwierdziła Kylie.

Emily odwróciła się do niej ostrożnie. Była zaskoczona, że siostra Wina jest dla niej taka miła.

- Owszem - odparła miękko.

- Chciałabym tak świecić. Nawet nie wyobraża sobie, jak bardzo mu zazdrozczę. - Kylie na moment zamilkła. - Całe życie słucham opowieści o tym, co zaszło tamtej nocy między moim wujkiem a twoją matką. Sądziłam, że będziesz taka jak ona. Cieszę się, że nie jesteś. - Uśmiechnęła, jakby właśnie z jej ust padł komplement.

Emily wzięła to za dobrą monetę, choć nie zamierzała zgadzać się w tej kwestii z resztą miasta. Otwarcie koła historii miało sprawić, iż wszelkie urazy pójdą w niepamięć, lecz tak się nie stało. Emily mogła się tu teraz wpasować. Ale jej matce nigdy nie będzie to dane.

- Lepiej pójde sprawdzic, co się dzieje w domu. Do zobaczenia. Zapewne w towarzystwie Wina - powiedziała Kylie.

Pozbawiona jaśniejącej skóry Kylie wkrótce stopiła się z nocą. Emily została jeszcze chwilę w parku, po czym poszła do domu.

Emily obudził dźwięk walenia pięścią w drzwi wejściowe. Pospiesznie usiadła. Była zbyt wstrząśnięta i wyczerpana, by przed spaniem włączyć swoje MP3. Gdy rozejrzała się po pokoju, zaskoczył ją na moment widok nowej tapety w fazy księżycy. Wtedy przypomniała sobie o wszystkim, czego doświadczyła ubiegłej nocy. Win świecił.

A potem znikąd naszała ją myśl: „Prawie mnie pocałował”.

Walenie pięścią rozległo się ponownie, więc wygramoliła się z łóżka. Jako że spała w ubraniu, natychmiast wyskoczyła z sypialni i zbiegła na dół.

Zdziwiła się, że drzwi wejściowe były zamknięte. Zazwyczaj Vance, wychodząc na śniadanie, zostawiał je otwarte. Zaledwie dotarła do podnóża schodów, kiedy harmonijkowe drzwi gwałtownie się otworzyły, po czym z pokoju wyszedł Vance. Na jego mokrych włosach nadal widać było ślady po grzebieniu. Nie poszedł jeszcze na śniadanie. Która mogła być godzina?

Nie zauważywszy jej, Vance podszedł do drzwi i otworzył je.

- Musimy porozmawiać - odezwał się z werandy Morgan Coffey. Jego biały garnitur był wymiętoszony, jakby miał go na sobie przez całą noc, a zazwyczaj na-żelowane ciemne włosy opadały mu na czoło. Dzięki temu wyglądał młodziej i bardziej przypominał Wina.

- Morgan? - odparł Vance wyraźnie zaskoczony. -Co ty tu robisz o tej porze?

- Wierz mi, byłbym tu wcześniej, ale musiałem czekać na świt.

- Wejdz, proszę. - Vance odsunął się, a Morgan wszedł do foyer. - Stało się coś złego?

Morgan od razu zauważył Emily i cały zeszywniał. Poczowała, jak płynie ku niej fala jego nienawiści, i cofnęła się o schodek wyżej.

- Rozumiem, że wnuczka ci jeszcze nie powiedziała. -Wskazał na Emily skinieniem głowy. Wpatrywał się w nią tak posepnym wzrokiem, iż Vance stanął między nimi, jakby chciał ją przed nim ochronić. - Dlaczego w ogóle pozwoliłeś jej tu przyjechać? Nie dość krzywd nam wyrządziła wasza rodzina?

- Co się stało? - Vance zażądał odpowiedzi.

- To się stało - odparł Morgan. - Ubiegłej nocy twoja wnuczka zwabiła mojego syna do parku. Tak samo jak ostatnio jej matka mego brata.

- Emily nie jest niczemu winna - wtrącił się Win stojący na werandzie. Otworzył drzwi moskitierowe i wszedł do środka. - Prosiłem, żeby się tam ze mną spotkała. Tym razem było zupełnie inaczej. Tylko my dwoje byliśmy w parku.

- Kazałem ci zostać w domu - powiedział Morgan.

- Ta sprawa mnie dotyczy, więc zamierzam tu zostać. Dziadek Vance zdawał się zakłopotany. Zwrócił się w jej stronę.

- Co ty na to, Emily?

- Myślałam, że jeśli tam pójde, Win zrobi coś, by mnie upokorzyć i przez to zemści się za to, co zrobiła moja mama. Nie wierzyłam, kiedy mówił, że świeci. Nie sądziłam, że rzeczywiście pokaże mi to na tym spotkaniu.

- Dziecko, po co tam poszłaś, jeśli uważałaś, że chce cię upokorzyć? - spytał Vance z niedowierzaniem.

- Miałam nadzieję, że to jakoś wyrówna... Vance uniósł swą dłoń wielkości patelni.

- Przestań, natychmiast przestań. Nie musisz wyrównywać rachunków za czyny swojej matki. Morganie, wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze.

- Chcesz, żeby jej to uszło płazem, tak samo jak twojej córce.

Twarz dziadka Vance'a zachmurzyła się. Był wściekły, a wściekły olbrzym robił ogromne wrażenie.

- Nigdy nie próbowałem tłumaczyć Dulcie i zawsze brałem na siebie winę za to, co się stało; za to, że nie miałem nad nią żadnej kontroli. Ale wyteż słuch, bo coś ci powiem: moja wnuczka to nie Dulcie i nie pozwolę, by ją tak traktowano.

Morgan odchrząknął.

- Czułbym się swobodniej, gdybyś usiadł. Vance nie ustępował.

- Przy mnie nikt nie czuje się swobodnie. Akurat ty powinienesz wiedzieć, jak to jest.

- Chcę, żeby trzymała się z daleka od mojego syna.

- Już od jakiegoś czasu widuję twojego syna w lesie za moim domem. To raczej nie podejście Emily jest tu problemem - stwierdził z naciskiem.

Morgan posiał Winowi wściekłe spojrzenie.

- Nie zmusisz mnie, żebym trzymał się od niej z daleka - zapowiedział Win.

- Czy historia twojego wujka niczego cię nie nauczyła? - spytał go Morgan.

- Owszem. Nauczyła, że trzeba mieć odwagę, by pokochać kogoś wbrew swojej rodzinie.

- Nie mówisz chyba poważnie, że ją kochasz - rzekł Morgan z niedowierzaniem w głosie.

Emily nie mogła oderwać wzroku od Wina. Kochał ją? Lecz on, utkwivszy spojrzenie w swym ojcu, walczył z nim o władzę.

- Mój brat popełnił samobójstwo przez jej rodzinę - powiedział Morgan do Wina. - Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Sam podjął tę decyzję - odparł Win zdziwiony własnym opanowaniem. Z Morganem Coffeyem należało się liczyć, ale z Winem również. Zastanawiała się, czy Morgan to dostrzegł i zrozumiał. Wiele wspaniałych cech Wina zdawało się pochodzić od jego ojca. - Sądzę, że ignorowanie jego poświęcenia jest głupotą. Dał nam szansę na normalne życie.

- Od kiedy to się stało, moje życie było dalekie od normalności! Twoja matka nigdy mi nie wybaczyła, że jej nie powiedziałem.



- Chciałeś, żeby spotkało mnie to samo? Pragnąłem jej to pokazać i nie robić już z tego tajemnicy. Jakoś świat się nie skończył. Nie odrzuciła mnie, tato. Nie jesteśmy tobą i mamą. Nie jesteśmy Dulcie i Loganem. Jesteśmy sobą i to jest zupełnie inna historia.

Nastąpiła cisza, którą przerwał Vance słowami:

- Pozwólmy im żyć po swojemu, Morganie. Bez bagażu naszych doświadczeń.

Morgan jednak nie zamierzał na tym poprzestać. Wskazał na Emily.

- Tamtej nocy twoja córka zwabiła mojego brata do parku! Oszukała go! Zepsuła wszystko.

- Opuść rękę, Morganie - odparł Vance. - Powtarzam to po raz ostatni. Moja wnuczka nie jest Dulcie i nie pozwolę, byś obwinił ją o grzechy jej matki.

- No, a jak zamierzasz to zrobić? Vance zrobił krok w jego stronę.

- Mówiąc prawdę. Uznaliście Logana i waszą rodzinę za stronę poszkodowaną, a ja zgodnie z życzeniem Dulcie pozwoliłem na to. Wiedziała, że będziecie ją szkalować. Wyjechała po to, żeby było wam łatwiej, i była to pierwsza bezinteresowna rzecz, jaką zrobiła.

Emily, która przez cały ten czas była wpatrzona w Wina, odwróciła się teraz gwałtownie w stronę Vance'a.

- O czym ty mówisz, dziadku?

- Chodźmy, Winie - pospiesznie rzekł Morgan.

- Nie, chcę go wysłuchać.

- Logan miał problemy na długo, zanim w jego życiu pojawiła się Dulcie - rzekł Vance. - Już wcześniej próbował kilkakrotnie popełnić samobójstwo, o czym wiedziała tylko jego rodzina. Ale Logan powiedział Dulcie. On i twoja matka byli w sobie zakochani. A przynajmniej twoja matka kochała jego. Nie widziałem jej jeszcze w takim stanie. Chodziła po całym mieście, wycinając ich inicjały na każdej drewnianej powierzchni, jaką udało jej się znaleźć.

- Zaraz, to mama wycinała te inicjały? - spytała Emily. - A nie Logan?

Vance skinął głową.

- Durzyła się w nim. Zawsze miała silną wolę i potrafiła postawić na swoim, lecz w stosunku do Logana była uległa. W towarzystwie był nieśmiały, ale kiedy zostawali sam na sam, miał nad nią kontrolę jak nikt inny. Wiedząc, jak bardzo ją to rozzłości, powiedział Dulcie, że nie mogą być razem, bo jego rodzina jej nie akceptuje i ma zbyt wiele sekretów, by pozwolić mu na małżeństwo z kimś przypadkowym. Utrzymywał jednak, że istnieje rozwiązanie tego problemu. Tak więc Dulcie zgodziła się zaprosić całe miasto na swoje tak zwane przedstawienie, wiedząc, iż jest to podstęp, iż umożliwi Loganowi nocne wyjście z domu w obecności wszystkich mieszkańców. Sądziła jednak, iż celem Logana jest wyłącznie publiczne zadeklarowanie uczuć do niej. Dulcie nie miała pojęcia, że Coffeyowie nie wychodzą

w nocy z powodu swojej poświęty. Tak jak wszyscy, była przekonana, iż to tylko kolejny wybieg służący temu, by odseparować się od mieszczańskiej klasy średniej i nadal stanowić elitę. Prawdę mówiąc, pamiętam jeszcze czasy, gdy kilka ważnych rodzin w mieście przestało wychodzić w nocy tylko dlatego, że Coffeyowie tak robili.

- Czyli nie oszukała go? - spytała Emily.

- Jeśli już, to on oszukał ją. Dulcie była tak samo wstrząśnięta jak cała reszta. Po tym wszystkim Logan próbował się z nią skontaktować, ale ona nie chciała z nim rozmawiać. Nie wiem, czy od początku miał taki plan, by popełnić samobójstwo po ujawnieniu rodzinnej tajemnicy, czy też skłoniły go to tego wyrzuty sumienia, które być może naszły go po odmowie Dulcie. Tylko jego rodzina to wie. Ja zaś wiem, że chciał się ujawnić. Chciał, by ludzie się dowiedzieli.

Emily porównała to w myślach z obecną sytuacją Wina. Najwyraźniej jego rodzina próbowała zyskać akceptację dla swojej przypadłości już od pokoleń.

Na twarzy Morgana wykwitły teraz szkarłatne rumieńce.

- Nikt ci nie uwierzy. Nigdy nikt nie uwierzy, że Dulcie była niewinna. A ja zawsze będę utrzymywał, że mogła go powstrzymać. Mogła mu zabronić wyjścia na scenę. Mogła go odwieść od samobójstwa. Przecież ją kochał. Podarował jej rodzinną pamiątkę. - Wskazał na bransoletkę z zawieszka na nadgarstku Emily. - Nasza

matka mu ją dała, żeby przekazał ją kobiecie, którą poślubi, tak jak ona dostała ją w swą noc poślubną. To, że dał ją Dulcie, musiało coś znaczyć, ale gdyby zakochał się w kimś mniej samolubnym i bardziej współczującym, mógłby nadal żyć. Nasz sekret zostałby zachowany, tak jak powinien.

- Emily zna teraz prawdę - rzekł Vance spokojnym tonem. - Tylko to się liczy. Nie mam zamiaru tego rozpowiadać.

Zastanawiała się, dlaczego dla Morgana tak ważna była wiara ludzi w to, iż jego brat został oszukany. Może dzięki temu łatwiej mu było pogodzić się z jego śmiercią. Może gdyby mieszkańcy Mullaby poznali Logana jako manipulanta z problemami, to piętno - ze względu na wspólną przypadłość - przyłgnęłoby do reszty rodziny. A tak ludziom było łatwiej współczuć Coffeyom i zaakceptować to, co widzieli. Emily uświadomiła sobie, iż jej matka musiała o tym wiedzieć i dlatego wzięła na siebie całą winę. Był to pierwszy raz, kiedy wczuła się w sytuację drugiego człowieka.

- Ja też nikomu nie powiem - obiecała. Morgan spojrział na Wina.

- Ja się zastanowię - odparł Win.

- Zastanowisz się w domu. Masz szlaban.

Morgan odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia. Przytrzymał dla Wina drzwi moskitierowe, lecz jego syn podszedł do Vance'a.

- Kiedy skończy się moja kara, to za pańskim pozwoleniem chciałbym zabrać Emily na randkę. - Win wyciągnął dłoń.

- Winie! - zawołał Morgan.

Vance wydał się zaskoczony tymi słowami tak samo jak Morgan, lecz powoli uniósł dłoń i uścisnął rękę Wina.

- Winie! Idziemy!

Chłopak odwrócił się i gdy spojrzał na Emily, która nadal stała na schodach, rzekł do niej:

- Zobaczymy się niedługo?

Skinęła głową. Posłał jej krzepiący uśmiech i wyszedł. Morgan puścił za sobą drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem.

Przez parę chwil Emily i Vance nie ruszali się zapatrzeni w drzwi. W końcu Emily spytała dziadka:

- Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi prawdy?

- Dulcie kazała mi przysiąc, że nie wyjawię jej nikomu. - Wyglądał na zmęczonego. Podszedł do schodów i opadł na stopień niczym zanurzająca się kotwica. Nadal stała, lecz był tak wysoki, że nawet na siedząco przewyższał ją wzrostem. - Lily miała kuzynkę w San Diego, która zgodziła się, by Dulcie z nią zamieszkała, poszła tam do szkoły. Dałem Dulcie dużo gotówki i wyjechała dzień przed pogrzebem Logana. Próbowwała się tam odnaleźć, ale po tym, co się stało, chyba sama nie wiedziała, jak się wpasować. Po paru miesiącach rzuciła

szkołę, a po kilku kolejnych uciekła z domu. Przez parę lat wysyłała mi pocztówki. Potem nie miałem już od niej żadnych wieści.

- Dlaczego nie próbowałeś jej odszukać? - drażyla Emily.

Wzruszył ramionami.

- Było jasne, że Dulcie nie chce, żebym ją odnalazł. Wiedziała, że jeśli się ze mną skontaktuje, dam jej wszystko, o co poprosi. Nie chciała tego. Mogła wieść dobre, uczciwe życie wyłącznie z dala od Coffeyów, Mullaby... i mnie.

- Powinna była tu wrócić i wyznać prawdę! - zawołała Emily. - Wtedy wszyscy by zobaczyli, że stała się dobrą osobą. Odkupiłaby swoje winy.

- Myślę, że zrobiła to w inny sposób - odparł dziadek Vance, spoglądając na swoje zaciśnięte dłonie. - Kiedy wyjeżdżała, powiedziała mi, że swoje dzieci wychowa zupełnie inaczej niż ja: nauczy je odpowiedzialności. Mówiła, że w niczym nie będą jej przypominać. Mam nadzieję, iż w którymś momencie zdołała mi wybaczyć. Jeśli nie, to sobie na to zasłużyłem. - Wziął głęboki oddech. - Jedno jest pewne. Wychowała niesamowitą córkę.

Emily zamarła, po czym usiadła na schodach obok niego, chwytając go za dłoń.

- Ty również wychowałeś niesamowitą córkę, dziadku - stwierdziła.

Pomyślała wtedy, iż może to dobrze, że tylko oni wiedzą, co naprawdę stało się przed laty. W końcu najważniejsze, że wiedzieli.

Vance długo zastanawiał się, czy iść na śniadanie. W końcu doszedł do wniosku, że lepiej będzie pójść, aby uniknąć późniejszych pytań o przyczynę nieobecności. Nikt nie musi wiedzieć o tym, co zaszło tego ranka.

Kiedy parę godzin później wrócił z restauracji, był zmęczony. Nie był to jednak ten rodzaj zmęczenia, jaki towarzyszył mu dzień po dniu. Po ostrym starciu z Morganem czuł się tak, jakby przeżył czołowe zderzenie w samochodzie. Bolały go mięśnie szyi, a jego kończyny zeszywniały. Najchętniej by się położył i uciał sobie drzemkę.

Lecz zamiast iść prosto do łóżka, zaszedł jeszcze sprawdzić suszarkę.

Nie chciał krzyczeć na Morgana. Nieczęsto złościł się na innych, bo nie miało to najmniejszego sensu - rzadko kiedy wzbudzało to w ludziach skruchę. Z kolei złoszczenie się na siebie miało pewne zalety. Oznaczało, iż ma się na tyle rozumu, by zganić kogoś, komu rzeczywiście przyniesie to jakąś korzyść. Vance zaś był na siebie bardzo zły.

Za wiele, wiele spraw.

Za to, że obecna sytuacja wymknęła się spod kontroli; że skupiał się wyłącznie na przeszłości; że nie był

lepszemu ojcem dla Dulcie; że zdążył już przegapić tyle z życia Emily.

Wszedł do pralni i otworzył suszarkę. Aby do niej sięgnąć, zgiął się wpół i o mało nie jęknął z bólu. Czuł się jak mały mężczyzna, który musi targać ze sobą ciało zdecydowanie dla niego za duże.

Włożył rękę do środka, spodziewając się dotknięcia zimnej i gładkiej krzywizny bębna. Zamiast tego jego palce musnęły coś śliskiego. Coś, co się ruszało.

Gwałtownie wyciągnął rękę z pralki i zatoczył się do tyłu.

Z wnętrza wyskoczyła wielka żaba. Zamarł, wpatrując się w nią.

Obserwował, jak skacze w stronę wyjścia z pralni, i przez moment spodziewał się, iż zaraz ujrzy buty Lily. Nawet uniósł wzrok z nadzieją, iż pojawi się w drzwiach roześmiana jak dawniej.

Nikogo tam jednak nie było.

Ponownie spojrzął w dół - żaba zniknęła. Kiedy pośpiesznie wyszedł z pralni, poczuł na sobie powiew delikatnego zapachu: jego włosy się poruszyły, a rękawy koszuli zafalowały.

Zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

Lily.

Poczuł jej obecność z niezwykłą siłą. Przez długi czas stał nieruchomo, aby nie zniknęła. Wciągał głęboko w płuca powietrze i czuł ból w sercu, gdy z każdym oddechem zapach coraz bardziej się ulatniał.



I wtedy znów zniknęła.

Gdy otworzył oczy, ujrzał żabę siedzącą przy drzwiach do kuchni. Precisnęła się przez dziurę w moskitierze, Vance zaś instynktownie wyszedł za nią na zewnątrz.

Za drzwiami moskitierowymi zobaczył, jak żaba przeskakuje przez podwórko. Podążył za nią aż na tyły ogrodu. Zatrzymawszy się przy altanie, żaba zaczęła się w niego wpatrywać.

Vance zawahał się, po czym rozejrzał dookoła. Najwyraźniej Emily już tu była i przycięła bukszpan przy altanie. Nagle przypomniał sobie, iż Dulcie zrobiła to samo po śmierci Lily. Bardzo się starała, by życie toczyło się dalej, choć miała zaledwie dwanaście lat. Powinien był wtedy przy niej być i zająć się tym wszystkim, zamiast zasypywać ją pieniędzmi. Ale załamał się, a wtedy wszystko wokół poszło za jego przykładem.

Lily by tego nie chciała. Może właśnie to próbowała mu przekazać. Ostatni raz włożyła mu żabę do suszarki po to, by przestał rozpamiętywać przeszłość i nie bał się zmian ani tego, co nastąpi.

Nie może już trwonić czasu, jaki mu pozostał. Musiał się zaopiekować wnuczką.

Odetchnął głęboko i skinął głową w odpowiedzi na nieme zapytanie żaby. Więc dobrze. Zadzwoni do swojego starego ogrodnika. Wiedział, że jego rodzina nadal zajmuje się kształtowaniem krajobrazu. Doprowadzi to miejsce do porządku. Spojrzał na dom. Wyglądał

zupełnie inaczej niż za życia Lily. Zatrudni dekarza. I malarza pokojowego. Tak robi.

Zbuduje jej dom nad jeziorem, może w ramach prezentu ślubnego.

A co, jeśli poślubi Wina Coffeya?

Na pewno nie będzie to nocne wesele.

Choć, znając Wina, może właśnie będzie.

Uśmiechnął się na myśl o tym, jak w tym dniu będzie wyglądała jego wnuczka. Suknia ślubna Lily nadal wisiała gdzieś na strychu. Może Emily zechce ją włożyć.

Rzecz jasna, tortem zajmie się Julia.

Zaśmiał się, widząc, że wybiega ze swoimi planami daleko naprzód.

Być może był wystarczająco wysoki, by patrzeć w przyszłość, lecz nie zaglądał tam przez długi, długi czas.

Zapomniał, że może się malować w jasnych barwach.

Tak jasnych, iż raziły go w oczy.

Siedem dni później Emily zdawało się, iż żyje w odosobnieniu, czekając na koniec kary Wina. Zaczęła się zastanawiać, czy aby ojciec nie zamierza go trzymać w domu w nieskończoność.

Niemniej nie brakowało jej rozrywek. Niespodziewanie Vance zainteresował się remontem domu, co było jak najbardziej potrzebne, lecz każdego ranka budziło

ją walenie w dach, warkot kosiarki w ogrodzie albo gryzący zapach farby. Gdy Emily spytała dziadka, po co ten pośpiech, stwierdził, iż nadchodzi burza i chciał przed nią zdążyć ze wszystkimi pracami.

W tamtym tygodniu do Mullaby dotarła fala upałów, więc Emily ciężko było uwierzyć, iż zbiera się na deszcz. Ale za każdym razem gdy poirytowana gorącem, schodziła na dół, dziadek zapewniał ją, że deszcz niedługo przyniesie im ulgę. Spytała go w końcu, skąd wie, on zaś odparł, iż uprzedziły go o tym jego stawy. Nie drażyła tematu, gdyż nie chciała wiedzieć, po co w ogóle rozmawia ze swoimi stawami.

Codziennie w porze popołudniowej drzemki Vance'a Emily składała wizytę u sąsiadek, aby mieć pretekst do posiedzenia w klimatyzowanym domu. Nie obyło się jednak bez przeszkód. Mimo upału każdego dnia przy otwartym oknie Julia piekła swoje ciasta. Gdy ją o to spytała, Julia odparła, iż przyzywa kogoś. Emily ponownie nie roztrząsała tematu. Wystarczyło jej, że Julia w to wierzy. Podczas pieczenia opowiedziała jej o Winie i Julia zdawała się zadowolona, że Emily już wie. Emily również była pewna, że Julia przebaczyła jej matce krzywdy, jakie ta jej wyrządziła. Zdawało się, iż ostatnimi czasy Julia wybaczyła wielu osobom. Widać było, że jest spokojniejsza.

Punktualnie o siedemnastej, kiedy Stella przychodziła z pracy, Julia wychodziła gdzieś ze swoim świeżo

upieczonym ciastem. Siódmego dnia Emily nie wytrzymała i spytała Stellę, dokąd Julia z nimi chodzi. Z początku myślała, że do restauracji, ale zaciekało ją to, iż wieczorami Julia nie wracała do domu.

- Znosi je Sawyerowi - odparła Stella.

- On naprawdę zjada te wszystkie ciasta? - zdziwiła się Emily.

- Nie martw się. Już on wie, jak spalić te kalorie. -Stella zdawała się zszokowana własnymi słowami. -Wymaż to z pamięci. Niczego nie słyszałaś. Cholera. Muszę się napić wina. Pamiętaj, rób, co mówię, a nie to, co robię.

Po wyjściu Julii Emily lubiła siadywać ze Stellą na tylnej werandzie; obserwować, jak powoli zapada wieczór; wyczekiwać kolacji, którą zje z dziadkiem. Stella opowiadała jej czasami o Dulcie. Miała niezwykły dar snucia historii i burzliwą przeszłość, co okazało się wspaniałą kombinacją. Emily stwierdziła, iż Stella jest bardzo zadowolona ze swojego obecnego życia. Odniosła wrażenie, iż te opowieści były dla Stelli ważniejsze niż jej pragnienie odwrócenia biegu wydarzeń.

Wracając tego wieczoru do domu, Emily uświadomiła sobie, że jeśli to w ogóle było możliwe, przez te upały czas w Mullaby jeszcze zwolnił. W mieście było nadal mnóstwo turystów, ale wśród okolicznych domów panowała cisza od czasu do czasu przerywana szumem wentylatora lub klimatyzatora dochodzącego z domów,

które właśnie mijała. Całe miasto trwało w bezruchu, jakby czekało, aż coś się stanie. I tej nocy w końcu się stało.

Gdy tylko zapadł zmierzch, nadciągnęła przerażająca burza z piorunami. Zaczęła się tak nagle, że Emily i Vance musieli biegiem pozamykać w domu okna. Zrobili z tego pełną śmiechów zabawę, po czym stanęli na werandzie i patrzyli na ścianę deszczu. Koniec dnia zdał się jej się końcem jakiejś historii i nagle Emily posmutniała. Szukała pretekstu, by zostać z dziadkiem jak najdłużej: grali w karty i przeglądali albumy pełne zdjęć jej matki, które Vance wyczarował nie wiadomo skąd.

W końcu dziadek Vance powiedział, że jest zmęczony, a ona niechętnie życzyła mu dobrej nocy. Poszła na górę i wchodząc do pokoju, przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi balkonowych. Deszcz wpadał do środka, zalewając podłogę. Spędziła kolejną godzinę, wycierając ją, drzwi, ściany i prawie wszystkie stojące w pobliżu meble. Wrzuciła mokre ręczniki do wanny, a następnie ściągnęła mokre ubranie.

Włożywszy bawełnianą koszulę nocną, opadła na łóżko. Temperatura gwałtownie spadła, a nakrycie się kołdrą uznała za fazę schyłkową tego dnia. Krople uderzające o szyby drzwi balkonowych brzmiały jak deszcz monet.

Kilka godzin później obudziła się, nieprzytomnie rozkopując pościel. W pokoju panowała cisza - ten dziwny

jej rodzaj podobny do niedokończonego zdania. Burza oddaliła się i znów zrobiło się okropnie gorąco.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała promień księżycowego światła wpadający do sypialni przez szparę między zaciągniętymi zasłonami. Powoli wstała z łóżka i podeszła do drzwi balkonowych, aby je otworzyć. Gałęzie drzew były tak obciążone wodą z deszczu, iż niektóre niemal dotykały podłogi balkonu. Powróciła upalna duchota typowa dla letnich nocy na Południu, choć światło księżyca odbijające się od mokrych powierzchni wyglądało jak pokrywa lodowa.

Z początku to wszystko wydawało jej się takie obce. W chwili przyjazdu nie miała pojęcia, że tak bardzo pokocha to miejsce.

Nie wiedziała też o bardzo wielu rzeczach.

Dziwnych i cudownych.

Promienie księżyca oświetliły futrynę i kilkanaście centymetrów ściany, co wystarczyło, by Emily dostrzegła, iż tapeta z fazami księżyca obecna tu od tygodnia niespodziewanie zniknęła. Obecna była w ciemnym kolorze, którego nie była w stanie określić, przerywanym długimi żółtymi smugami. Wyglądało to prawie tak, jakby ciemne drzwi i okna miały się zaraz otworzyć, wpuszczając do wnętrza światło. Tapeta zazwyczaj odzwierciedlała jej nastrój albo sytuację, w jakiej się znajdowała, ale cóż to mogło znaczyć? Że drzwi stoją teraz przed nią otworem? Że ktoś odzyskał wolność?

Gdy wreszcie domyśliła się, o co może chodzić, okręciła się dookoła, wpatrując się w ciemny pokój, aż go znalazła.

Win siedział na sofie naprzeciwko jej łóżka pochyłony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach i złożonymi rękami.

- O północy moja kara dobiegła końca - powiedział. Serce zabiło jej mocniej. Tak dobrze było go zobaczyć, lecz jednocześnie czuła się dziwnie skrępowana.

- Zamierzałeś tak... tak tutaj siedzieć, dopóki bym się nie obudziła?

- Owszem. - Wstając, zaszeleścił w ciszy, po czym podszedł do drzwi balkonowych. Stała w plamie księżycowego światła. Zatrzymał się tuż przy niej, jakby znajdowała się tam linia, której nie mógł przekroczyć.

- Prawie zapomniałam, jak wyglądasz - zażartowała. To był kiepski żart. Dlaczego była tak zdenerwowana?

Bo prawie ją pocałował.

- Ja bez przerwy przypomiinałem sobie, jak wyglądasz - odparł poważnym tonem.

- Wokół mnie stale ktoś walił, piłował i kosił. Ciężko było mi się skupić.

Zrobił zabawną minę.

- Taką masz wymówkę?

- I w tym domu nie ma klimatyzacji. Wiesz, jak ciężko się bez niej skupić? - Powinna już przestać, ale nie była w stanie.

- Twój dziadek kazał ściąć najgrubszą gałąź dębu, która sięgała do twojego balkonu. Było mi piekielnie ciężko tu wejść tym razem.

To ją w końcu uciszyło. Próbowwała dostrzec w cieniu jego twarz.

- Ile razy już tu byłeś?

- Kilka.

Nagle wróciła pamięcią do swoich pierwszych chwil w Mullaby.

- W dzień mojego przyjazdu na stole leżała bransoletka...

- Wiedziałem, że przyjeżdżasz - odparł. - Chciałem cię zobaczyć. Znalazłem bransoletkę na chodniku przed domem.

- Nie musisz się już do mnie zakradać - stwierdziła. - Teraz możemy spotykać się otwarcie, prawda?

W odpowiedzi stanął przed nią w plamie światła, tak blisko, iż prawie ją dotykał.

Z początku nic się nie działo, lecz potem, jakby najpierw musiało rozgrzać się do białości, pojawiło się wokół niego światło. Spojrzała mu prosto w oczy, on zaś bacznie jej się przyglądał.

- Skłamałam - wyszeptała.

Zdawał się przejęty i zaczął się wycofywać.

- Kiedy?

Wyciągnęła rękę, by go powstrzymać.



- Kiedy mówiłam, że zapomniałam, jak wyglądasz. Nie mogłabym zapomnieć. Nigdy nie zapomnę - odparła. - Do końca życia.

Uśmiechnął się i ujął jej twarz w dłoń.

A potem ją pocałował.

## ROZDZIAŁ 16

Idąc w dół ulicy, Maddie Davies poprawiła swój plecak. Przyjechała do Mullaby dzień wcześniej i zatrzymała się w gospodzie przy Main Street, którą opłacili jej rodzice. Chciała zrobić to sama, lecz rozumiała, że rodzice się o nią martwią. Jeśli zapłacenie za pokój w eleganckiej gospodzie miało im poprawić samopoczucie, jakoś to zniesie i będzie nawet jadła czekoladki zostawiane co wieczór na jej poduszce.

Ubiegłej nocy nie spała zbyt dobrze. Księżyc w pełni oświetlał jej pokój i większość czasu spędziła zwinięta na krześle, wpatrując się w park po drugiej stronie ulicy. Przy śniadaniu właścicielka gospody powiedziała jej, że sierpniowy księżyc w pełni nazywają tu Jesiotrowym Księżycem. Sprawia, że ludzie są niespokojni, jakby mieli zbyt wiele do zrobienia i miotali się niczym ryby w sieci.

Po śniadaniu Maddie rozmawiała z mamą. Starła się przybrać lekki ton. „Może wreszcie dowiemy się, dlaczego jestem taka sarkastyczna”, zażartowała Maddie. „Jeśli to wrodzone, nie będę cię mogła za to obwiniać”. Jej matka nie zaśmiała się. Maddie powinna była to przewidzieć. Jej rodzice byli najmiłszymi ludźmi, jakich знаła, ale mieli zupełnie inne poczucie humoru. Już od wczesnych lat nauczyła się powstrzymywać przy nich ze swoimi odzywkami.

Słoneczny poniedziałkowy poranek zapowiadał się doskonale. Po drodze odetchnęła głęboko słodko-cierpkim powietrzem, od którego poluzowała nieco ramiona. Podobało jej się to miasto. Przypominało jej o czymś, czego nie potrafiła nazwać.

Przed sobą dostrzegła szyld zawieszony nad drzwiami.

J's Barbecue.

Z jakiegoś powodu zatrzymała się. Jej nogi zwyczajnie nie chciały się poruszyć. Wymijali ją ludzie idący chodnikiem.

Od lat zastanawiała się, czy to zrobić, i wreszcie nadszedł ten czas. Próbowwała zbagatelizować powagę tego spotkania, rezerwując sobie na nie zaledwie parę dni wciśniętych między inne wydarzenia: koniec letnich praktyk w kancelarii adwokackiej jej ojca i rozpoczęcie drugiego roku studiów na uniwersytecie w Georgetown. Ale teraz, gdy była prawie u celu, nie była wcale tak pewna, czy chce to zrobić. Co przez to osiągnie? Miała wspaniałe

stosunki ze swoimi rodzicami adopcyjnymi. I wiedziała wystarczająco wiele na temat swojej biologicznej matki, by domyślić się, dlaczego ją oddała. Julia Winterson była szesnastoletnią uczennicą w domu poprawczym Collier, nieistniejącej obecnie, a w tamtych czasach niezwykle postępowej szkole z internatem dla dziewcząt z problemami, która została zamknięta parę lat temu z powodu cięć budżetowych. Julia mieszkała obecnie w małej miejscowości słynącej z barbecue w Karolinie Północnej i była właścicielką restauracji. Nigdy nie wyszła za mąż. Nigdy nie urodziła innych dzieci. Prywatny detektyw, którego w jej imieniu zatrudnili rodzice, dostarczył nawet zdjęcie Julii. Wyglądała ślicznie i świeżo, ale jej ciemne oczy były nieobecne. Maddie nie przypominała jej zbyt wiele ze swoimi blond włosami i niebieskimi oczami, może poza obszarem wokół ust. Stwierdziła, iż odziedziczyła wygląd po swoim biologicznym ojcu, kimkolwiek by on był. Na akcie urodzenia nie było jego nazwiska. Tylko Julia mogła jej zdradzić jego tożsamość.

Znów zaczęła iść. Puls walił jej tak, że czuła go w uszach. Prawie dotarła do dużego okna z przodu restauracji, kiedy znów musiała się zatrzymać. Oparła się o ceglana ścianę budynku, położyła plecak na ziemi i zakryła dłońmi oczy.

„Nie bądź mięczakiem”, powtarzała w duchu.

Pozwoliła, by ręce opadły jej wzdłuż ciała.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą dwoje nastolatków siedzących na ławce. Dziewczyna w szortach

i bokserce miała dziwaczne potargane włosy. Chłopak był ubrany w biały lniany garnitur i czerwoną muchę. Pochylali się ku sobie, prawie stykając się głowami. Trzymał ją za rękę i powoli pocierał kciukiem jej nadgarstek. Świat mógłby dla nich nie istnieć. Byli jak książę i księżniczka we własnym królestwie. Widząc ich, Maddie się uśmiechnęła.

Kiedy drzwi restauracji otworzyły się, oboje spojrzeli tamtą stronę. Maddie powędrowała za nimi wzrokiem i zrobiła wielkie oczy. Wychodzący ze środka staruszek musiał schylić głowę, by nie uderzyć nią o futrynę. Maddie jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak wysokiego.

Na jego widok nastolatki wstali. Olbrzym podszedł do nich niezdarzym, sztywnym krokiem. Chłopak wyciągnął rękę, staruszek zaś ją uściśnął. Zamienili parę słów, roześmiali się, a potem ten w białym garniturze odwrócił się i poszedł w jej stronę.

Mijając Maddie, uśmiechnął się nieznacznie i uprzejmie skinął głową na powitanie. Patrzyła, jak odchodzi, po czym ponownie przeniosła wzrok na olbrzyma i dziewczynę. Staruszek podał jej papierową torbę. Wzięła ją od niego i poszli razem w górę ulicy. Gdy ją mijali, Maddie wyciągała szyję, by dojrzeć twarz olbrzyma.

Czuła się jak wewnątrz jakiejś dziwnej baśni, która właśnie dobiegała końca.

Drzwi restauracji znów się otworzyły i wyszło stamtąd dwóch mężczyzn. Z wnętrza wyleciał srebrny pył i wraz

z wiatrem poleciał w jej stronę. Wzięła głęboki oddech, po czym wyprostowała się. Cukier, wanilia i masło. Niesłabnący zapach, który podążał za nią przez całe życie. Czasami widziała go tak jak teraz, lecz przeważnie tylko go wyczuwała. W dzieciństwie zdarzało się, iż siedziała na lekcjach w szkole, wyprowadzała swojego psa Chestera albo wraz ze swoim starszym bratem miała nudne zajęcia gry na skrzypcach, kiedy znikąd pojawiał się ten zapach i w niewytłumaczalny sposób wyprowadzał ją z równowagi. Nawet teraz budziła się czasem w środku nocy skłonna przysiąc, iż ktoś w akademiku właśnie piecze ciasto. Jej współlokatorki myślały wtedy, że oszalała.

Znajomy zapach dodał jej odwagi, by podnieść plecak, podejść do okna i zajrzeć do środka restauracji. Wystrój był dość zgrzebny i nijaki, lecz salę zapełniali klienci.

Maddie od razu pobiegła wzrokiem do kobiety stojącej za barem. Oto i ona.

Julia Winterson.

Kobieta, która ją urodziła.

Uśmiechnięta, rozmawiała z przystojnym blondynem, który siedział naprzeciwko niej. Maddie godzinami wpatrywała się w zdjęcie dostarczone przez prywatnego detektywa. W rzeczywistości Julia wydawała się szczęśliwsza, bardziej zadomowiona.

Obserwując ją przez okno, Maddie powoli podeszła do drzwi. Dostrzegła na nich przytwierdzoną taśmą klejącą ulotkę reklamową z napisem:

***Wypieki Niebieskookiej Dziewczyny: Wyborne ciasta na każdą okazję. Szczegóły w środku.***

Kolejna osoba wyszła na zewnątrz. Widząc ją, przytrzymała drzwi.

- Wchodzisz? - zapytał mężczyzna. Koniec jednej historii. Początek kolejnej.

- Tak, wchodzę - odparła i przekroczyła próg restauracji.

## ROK KSIĘŻYCÓW W PEŁNI

Styczeń: Wilczy Księżyc

Według tradycji ludowej pod indiańskimi wioskami wilki wyją do niego z głodu. Kiedy księżyc jest w pełni, ludzie są skłonni zbyt dużo jeść, pić i bawić się, by zapełnić czymś zimową pustkę.

Luty: Śnieżny Księżyc

Zazwyczaj w lutym spada najobfitszy śnieg. Pod tym księżycem ludzie często śnią o miejscach, w których woleliby wtedy być.

Marzec: Dżdżownicowy Księżyc Wiosną gleba odmarza i znów pojawiają się dżdżownice... i drozdy, które je zjadają. Podczas marcowej pełni nietrudno nakłonić kogoś do zrobienia rzeczy zuchwalej i gorszej.



## Kwiecień: Różowy Księżyc

Wraz z tą pełnią pojawia się floks kanadyjski, wczesnowiosenny kwiat. Nadzieja, którą czuć wtedy w powietrzu, czyni ten czas najlepszym na oświadczyzny.

### Maj: Mleczny Księżyc

Obfitość roślin o tej porze roku sprawia, iż krowy i kozy dają tłuste, wzmacniające mleko. Ludzie często myślą, że w świetle tego księżyca są najbardziej atrakcyjni.

Czerwiec: Truskawkowy Księżyc W tym miesiącu truskawki przeważnie dojrzewają i są zbierane. To najlepszy czas, by szukać u innych przebaczenia, gdyż słodycz zdaje się wtedy utrzymywać dłużej.

### Lipiec: Jeleni Księżyc

o tej porze jeleniom zaczyna wyrastać nowe poroże. Pod wpływem pełni młodzi mężczyźni są skłonni do walki i popisywania się.

### Sierpień: Jesiotrowy Księżyc

Indiańska tradycja mówi, że jesiotry z Wielkich Jezior i z jeziora Champlain najłatwiej złowić podczas tej pełni. Księżyc ten sprawia, iż ludzie stają się niespokojni i przytłoczeni.

## Wrzesień: Żniwny Księżyc

To pełnia najbliższa równonocy jesiennej, Jest na tyle jasna, by rolnicy mogli pracować do późna i zebrać ostatek swoich plonów. Czas introspekcji. Ludzie są wtedy często w złym humorze.

## Październik: Myśliwski Księżyc

Dawniej po żniwach, kiedy opadły liście, a zboża zostały zebrane, łatwiej było wypatrzyć myśliwych na polowaniu. Jeśli zadasz temu księżycowi pytanie, udzieli ci jasnej odpowiedzi.

## Listopad: Bobrzy Księżyc

Sidla na bobry zastawiano przed zamarznięciem wody w rzekach, aby zapewnić sobie dostatek ciepłych futer na nadchodzące zimne miesiące. Dla niektórych pełnia tego księżyca jest ostatnią szansą na zrobienie tego, co okładali na później.

## Grudzień: Zimny Księżyc

Pełnia tego księżyca zapowiada długie, ciemne i zimne noce. Bez wątpienia można się przy nim najlepiej wyspać.

## PODZIĘKOWANIA

Tak zawsze jestem do zgonnie wdzięczna mojej rodzinie i przyjaciołom za okazaną miłość, wsparcie i cierpliwość. Nie będę już opowiadać o barbecue. Obiecuję. Specjalne podziękowania należą się Andrei Cirillo, Kelly Harms Wimmer, Shaunie Summers i Nicie Taublib. Bez waszej pomocy ta książka by nie powstała. Chciałam tylko gwiazdki z nieba, a wy podarowaliście mi księżyc.